

Ross Macdonald

Ruchomy cel

Przełożyła Zofia Zinserling

ISKRY WARSZAWA -1979

Tytui oryginału

THE MOVING TARGET

Opracowanie graficzne MIECZYŚLAW KOWALCZYK

Copyright 1949 by Alfred A. Knopf, Inc.

For the Polish édition copyright © by Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa,
1979

ISBN 83-207-0082-5

Rozdział 1

Taksówka skręciła z autostrady U.S. 101 w kierunku morza.

Droga pętlą opasywała podnóże brunatnego pagórka i nikła w kanionie porośniętym karłowatymi dębami.

- To jest kanion Cabrillo - powiedział kierowca. Jak okiem sięgnąć, nie widać było domów.

- Ludzie tutaj mieszkają w jaskiniach?

- Też coś. Posiadłości są nad oceanem.

Minutę później poczułem zapach morza. Za kolejnym zakrętem znaleźliśmy się w przybrzeżnej strefie chłodu. Napis na tablicy przy drodze głosił: „Własność prywatna. Zezwolenie na przejazd może być w każdej chwili cofnięte”,

Karłowate dęby ustąpiły miejsca rzędom palm i cyprysowych żywopłotów. W przelocie migwały tryskające wodą spryskiwacze na trawnikach, obszerne białe werandy, dachy kryte czerwoną dachówką i zaśnieżoną miedzią. Rolls-Royce z kociakiem za kierownicą przemknął koło nas niczym podmuch wiatru, wywołując uczucie nierealności.

Bładobłękitna mgiełka w dolnym kanionie przypominała dymek, -jaki wydzielają tłące się banknoty. Nawet morze, widziane poprzez ten opar, wydawało się

5

czymś drogocennym - było jasnoniebieskie i wypolerowane jak kamień: lity klin w wylocie kanionu. Własność prywatna: gwarantowany trwały kolor [nie ogranicza „ego” właściciela. Nigdy jeszcze Pacyfik nie sprawiał wrażenia tak małego, Skręciliśmy na drogę dojazdową między dwoma stojącymi na straży cisami i pokluczywszy chwilę w sieci prywatnych szos wydostaliśmy się nad ocean, głęboki i rozległy, sięgający aż po Hawaje. Dom stał na urwistym zboczu skalnym, zwrócony tyłem do kanionu. Był długi i niski, Skrzydła, zbiegające się pod kątem rozwartym, wskazywały na morze jak masywny biały grot strzały. Za zasłoną krzewów błysnęła biel kortów tenisowych, zamigotała niebieskawa zieleń basenu.

Taksówkarz zakręcił na- wachl arz o waty m podjeździe, zatrzymując wóz koło garaży.

- To tutaj mieszkają jaskiniowcy. Wejdzie pan drzwiami dla służby?

- Nie zadzieram nosa.'

- Mam zaczekać?

- Chyba tak.

Na kuchenną werandę wyszła tęga kobieta w niebieskim płóciennym kitlu i patrzyła, jak wysiadam z taksówki.

- Pan Archer?

- Tak. Czy pani Sampson?

- Nazywam się Kromberg. Jestem tutaj gospodynią. - Uśmiech przemknął po jej pobrużdżonej twarzy jak promień słońca po zaoranym polu. - Może pan zwolnić kierowcę. Feliks odwiezie pana do miasta, jak pan skończy.

Zapłaciłem taksówkarzowi i zabrałem torbę z tylnego siedzenia. Stałem lekko zakłopotany trzymając ją w ręku. Nie wiedziałem, czy praca zapowiada się na godzinę, czy na miesiąc.

- Zaniosę torbę do schowka - zaproponowała gospodyni, - Chyba nie będzie panu potrzebna.

. Poprowadziła mnie przez kuchnię, lśniąca od chromu i porcelany, do hallu, chłodnego i sklepionego jak w klasztorze, a stąd do kabiny, która za naciśnięciem guzika podjechała na pierwsze piętro.

- Wszelkie nowoczesne udogodnienia - przemówiłem do jej pleców.

- Musieli zainstalować windę po wypadku pani Sampson z nogami. Kosztowała siedem i pół tysiąca dolarów.

Jeśli to miało mnie uciszyć, rzeczywiście poskutkowało. Zapukała do drzwi po przeciwnej stronie hallu. Nikt nie odpowiedział. Zapukała raz jeszcze i wprowadziła mnie do wysokiego białego pokoju, zbyt dużego i pustego, żeby mógł należeć do kobiety. Nad imponującym łóżem wisiał obraz przedstawiający zegar i mapę, a na toalecie leżał damski kapelusz. Czas, przestrzeń i seks. Wyglądało to jak Kuniyoshi. Pościel była zmięta, ale łóżko puste.

- Proszę pani! - zawołała gospodyni. Odpowiedział jej opanowany głos:

- Jestem na tarasie. Czego chcesz?

- Przyszedł pan Archer... ten pan, po którego pani depeszowała. . .

- Poproś go tutaj. I przynieś mi jeszcze kawy.

- Wyjdzie pan oszklonymi drzwiami - wskazała je oddalając się gospodyni.

Pani Sampson podniosła wzrok znad książki, kiedy się pojawiłem. Na wpół leżała na szezlongu, zwrócona plecami do przedpołudniowego słońca, owinięta ręcznikiem.

Obok stał fotel na kółkach, ale nie sprawiała wrażenia inwalidki. Była bardzo chuda i smagła, spieczona na tak ciemny brąz, że jej ciało wydawało się twarde. Wyblakłe

włosy, poskręcane na wąskiej głowie w drobne loczki, przypominały kulki bitej śmietany. Wiek miała równie trudny do określenia jak figurka wyrzeźbiona z mahoni.

Opuściwszy książkę na brzuch, podała mi rękę.

- Słyszałam o panu. Millicent Drew mówiła, że jej pan pomógł rozwieść się z Clyde'em. Nie powiedziała właściwie jak.

- To długa historia - odparłem. — I wstrętna.

- Nie uważa pan, że Millicent i Clyde są odrażający? Ci esteci! Zawsze podejrzewałam, że jego kochanka nie jest kobietą.

- Nigdy nie myślę o moich klientach. - Z tymi słowy zaprezentowałem jej mój chłopięcy uśmiech, troszkę już znoszony.

- Ani pan o nich nie mówi?

- Ani o nich nie mówię. Nawet z moimi klientami. Jej głos brzmiał dźwięcznie i czysto, ale śmiech

zdradzał chorobę, w wibracjach wyczuwało się lekką gorycz, Zajrzałem jej w oczy, w oczy strwożonej, chorej istoty kryjącej się pod powłoką pięknego brunatnego ciała. Spuściła powieki,

- Proszę, niech pan siada. Dziwi pana pewnie, dlaczego go wezwałam. A może nie dziwi się pan także?

Usiadłem na leżaku obok szezlonga.

- Dziwię się. Nawet snuję domysły. Zajmuję się głównie rozwodami. Jak pani widzi, jestem szakalem.

- Oczernia się pan. I nie mówi pan jak detektyw, prawda? Cieszę się, że wspomniał pan o rozwodach. Chciałabym na wstępie wyjaśnić, że nie chodzi o rozwód. Zależy mi na trwałości mojego małżeństwa. Bo. widzi pan, zamierzam przeżyć męża.

Nie odezwałem się, czekając na ciąg dalszy. Jej brązowa skóra, widziana z bliska, była szorstkawa lekko przywiedła. Słońce chłostało miedziane noc: pani Sampson, okładało mnie po głowie. Paznokcie u rąk i nóg miała pomalowane na ten sam krwawy kolor.

- Tym razem mogą przetrwać nie najsprawniejsi: Wie pan zapewne, że jestem

pozbawiona władzy w nogach. Ale mam o dwadzieścia lat mniej od niego i za-

dz: Gr

- M(

mierzam go przeżyć. - Gorycz zakradła się do jej głosu, brzęcząc jak osa.

Dosłyszała ją i przełknęła jednym haustem.

- Upał jak w piecu, prawda? To nie jest w porządku, że mężczyźni muszą nosić marynarki. Proszę ją rzucić,

Nie, dziękuję.

Jest pan bardzo dobrze wychowany. Noszę rewolwer na szelkach. I wciąż jeszcze się lwię. W swojej depeszy wspomniała pani Alberta ravesa.

- On pana polecił. To jeden z adwokatów Ralfa, bże pan porozmawiać z nim po lunchu na temat honorarium.

- Nie jest już prokuratorem okręgowym?

- Nie jest od zakończenia wojny.

- Robiłem coś dla niego w roku czterdziestym i czterdziestym pierwszym. Nie widzieliśmy się od tej pory.

- Mówił mi. Mówił mi, że pan umie odnajdywać hidzi. - Przesłała mi uśmiech olśniewający bielą, drapieżny, nieoczekiwany w ciemnej twarzy. - Umie pan odnajdywać ludzi, proszę pana?

- „Zaginione osoby” brzmi lepiej. Czy mąż pani nginał?

- Właściwie nie zaginał. Po prostu wybrał się gdzieś tam lub w towarzystwie.

Szalałby ze złości, gdybym się jgtościła do Biura Osób Zaginionych.

- Rozumiem. Chce pani, żebym go odnalazł, jeśli to •odzie możliwe i zidentyfikował towarzyszące osoby. Icb potem?

:ech mi pan tylko da znać, gdzie i z kim przeby-||•ztą zrobię sama. - Choć jestem taka chora -odpowie działa lekkim tonem skargi - chociaż nie

- :„edy odjechał?

rzoraj po południu.

- Do Los Angeles. Był w Las Vegas...tnamy tam pod miastem dom na pustyni... ale wczoraj po południu poleciał do Los Angeles z Alanem. Alan to pilot. Ralf wymknął mu się na lotnisku i wyruszył gdzieś sam.

- Dlaczego?

- Chyba dlatego, że był pijany. - Pogardliwie odeła czerwone wargi. - Alan mówi, że pił.

- Pani zdaniem ruszył w miasto? Często mu to się zdarza?

- Rzadko, ale wtedy idzie już na całego. Zatraca hamulce, kiedy wypije.

- Hamulce moralne?

- Tak jak każdy mężczyzna, prawda? Ale nie o to mi chodzi. Traci hamulce w kwestiach finansowych, Zalał się parę miesięcy temu i podarował górę.

- Górę?

- Calutką, z domkiem myśliwskim.

- Kobiecie?

- Chybabym to wołała. Dał ją mężczyźnie, ale źle się pan domyśla. Świątobliwemu z Los Angeles, z długą siwą brodą.

- Wygląda na litościwą duszę,

- Ralf? Wściekłby się ze złości, gdyby go pan tak nazwał w oczy. Zaczynał od poszukiwań naftę na własną rękę. Zna pan ten typ, pół człowiek, pół aligator, trochę potrzask na niedźwiedzia, ze skarbonką zamiast serca. Taki jest na trzeźwo. Ale mięknie pod wpływem alkoholu, a przynajmniej tak było ostatnimi laty. Po paru drinkach chce być znów małym chłopcem. Rozgląda się za człowiekiem o cechach macierzyńskich czy ojcowskich, żeby mu wycierał nos, osuszał łzy i dawał w skórę, kiedy jest niegrzeczny. Brzmi to okrutnie? Jestem po prostu obiektywna.

- Tak - odrzekłem. - Chce pani, żebym go odnalazł, zanim podaruje komuś następną górę. - Żywego czy umarłego, pomyślałem; ale nie byłem jej psychoanalitykiem.

- Jeśli jest z kobietą, oczywiście to mnie zainteresuje. Będę chciała wiedzieć o niej wszystko, bo nie mogłabym się wyrzec takiego atutu.

Ciekaw byłem, kto jest jej psychoanalitykiem.

- Ma pani na myśli jakąś określoną kobietę?
- Ralf mi się nie zwierza... znacznie silniejsza więź łączy go z Mirandą niż ze mną... a nie mam warunków, żeby go śledzić. Właśnie dlatego angażuję pana.
- Mówiąc bez ogródek - powiedziałem.
- Ja zawsze mówię bez ogródek.

Rozdział 2

W otwartych drzwiach ukazał się filipiński służący w białej kurtce,

- Przyniosłem kawę, proszę pani.

Postawił srebrną zastawę na niskim stoliku obok szeszlona. Był drobny i żwawy.

Proste czarne włosy przylegały do małej, okrągłej głowy jak tłusta polewa.

- Dziękuję ci, Feliksie. - Traktowała służbę łaskawie albo zgrywała się przede mną. -

Napije się pan?

- Nie, dziękuję.
- Może ma pan ochotę na drinka?
- Nie przed lunchem. Jestem detektywem nowego typu. 1

Uśmiechnęła się popijając kawę. Wstałem i podsze-

Idłem do balustrady od strony morza. W dole terasy opadały długimi zielonymi stopniami na skraj urwiska, które ostro zbiegało ku brzegowi. Usłyszawszy plusk za rogiem domu wychyliłem się przez poręcz. Na górnej terasie znajdował się owal zielonej wody w obramowaniu niebieskich kafli. Dziewczyna i chłopak bawili się w berka, prując wodę jak foki. Dziewczyna ścigała chłopca. Pozwolił się złapać. W tym momencie przemienili się w mężczyznę i kobietę, a pełna ruchu scena zastygła w słońcu. Poruszała

10

11

się tylko woda i ręce dziewczyny. Stała za nim, oplótłszy go w pasie ramionami.

Palcami dotykała żeber łagodnie jak harfistka, wczepiona w kępkę włosów pośrodku piersi. Twarz ukryła za jego plecami. Mina mężczyzny wyrażała dumę i gniew, jakby był ślepym posągiem z brązu.

Uwolnił się z uścisku i odsunął na bok. Ukazała się jej twarz, obnażona, niesłychanie

wrażliwa. Ramiona dziewczyny zwisły, zdawałoby się pozbawione celu. Usiadła na krawędzi basenu machając nogami w wodzie.

Ciemnowłosy młodzieniec skoczył z trampoliny robiąc półtora obrotu. Ona nie patrzyła. Krople skapywały z koniuszków jej włosów jak łzy i spływały na piersi.

- Nie jadł pan lunchu? - zawołała do mnie pani Sampson.

- Nie.

- Wobec tego lunch na trzy osoby w patio, Feliksie. Ja zjem tutaj, jak zwykle.

Feliks skłonił się i zamierzał odejść, lecz go zatrzymała,

- Przynieś fotografię pana Sampsona z mojej goto-walni. Musi pan wiedzieć, jak on wygląda, prawda?

Twarz w składanej skórzanej ramce była nalana. Mężczyzna miał rzadkie siwe włosy i skłopotane wargi. Gruby nos usiłował wyglądać zuchwale, znamionował zaś najwyżej upór. Obrzmiałe powieki były zmrużone, policzki porysowane zmarszczkami, a uśmiech martwy i wymuszony. Widywałem takie uśmiechy w kostnicach na sztucznej twarzy śmierci. Przypomniał mi, że zestarzeję się i umrę.

- Biedaczek, ale należy do mnie - powiedziała pani Sampson.

Feliks wydał cichy odgłos, który mógł być prychnięciem, chrząknięciem lub westchnieniem. Nie przychodziło mi na myśl nic, co mógłbym dorzucić do jego komentarza.

12

Podał lunch w trójkątnym patio wyłożonym czerwonymi kaflami, między domem a zboczem wzgórza. Stok ad umacniającym murem był porośnięty gęstym ko-iercem bluszczu, ageratum i płożącej się lobelii, które ływały w dół nieprzerwaną niebieską falą.

Kiedy Feliks mnie wprowadził, smagły młodzieniec się tam znajdował. Odłożył na bok gniew i dumę, izebrał się w świeże jasne ubranie i sprawiał wrażenie 'preżonego'. Był tak wysoki, że gdy wstał, poczułem się przy nim niepokojnie - miał metr dziewięćdziesiąt bo dziewięćdziesiąt dwa. Mocno uściskał mi rękę.

1 Nazywam się Alan Taggert. Latam na samolocie
mpsona.

- Lew Archer.

W lewej dłoni obracał szklanę z niewielką ilością oholu.

- Czego się pan napije?

- Mleka.

- Żartuje pan? Myślałem, że jest pan detektywem.

- To znaczy sfermentowanego kobyłego mleka. Przyjemnie błyskał bielą zębów w uśmiechu.

- Ja piję dzin z gorzkimi kropelkami. Nauczyłem się Port Moresby.

- Dużo pan latał?

- Pięćdziesiąt pięć lotów. I parę tysięcy godzin.

- Gdzie?

- Głównie na Karolinach. Miałem P-38. Wypowiedział to z tkliwą nostalgią, niby imię dziewczyny. Równocześnie pojawiła się dziewczyna, w su-ence w czarne pasy, wąskiej tam, gdzie trzeba, i gdzie

ba szerokiej. Ciemnorude włosy, wysuszone i wy-"tkowane, burzyły się na głowie.

Szeroko otwarte ne oczy olśniewały i zadziwiały w brązowej twa-, jak jasne oczy u Indianina.

Taggart dokonał prezentacji. Była to córka Sampso-

13

na, Miranda. Poprosiła nas do metalowego stolika, z którego blatu wyrastał płócienny parasol na żelaznej lodydze. Obserwowałem ją znad sałatki łososiowej: wysoka dziewczyna o ruchach pełnych jakiegoś nieporadnego wdzięku, z gatunku tych, co to wolno się rozwijają, ale na które warto poczekać. Pokwitanie około piętnastego roku życia, pierwsze małżeństwo lub romans w wieku lat dwudziestu czy dwudziestu jeden. Parę trudnych lat wyrastania z romantycznych marzeń i przeobrażania się dziewczyny w kobietę; a potem skończona piękność dwudziestoośmio- albo trzydziestoletnia. Miała chyba dwadzieścia jeden lat, była więc trochę za dorosła jak na córkę pani Sampson.

- Moja macocha - powiedziała, jakby dosłyszawszy te myśli - moja macocha zawsze popada z jednej przesady w drugą.

- Chodzi pani o mnie? Ja jestem bardzo umiarkowany.
- Niespecjalnie o pana. Przesadza we wszystkim, co robi. Inni ludzie spadają z koni, ale nie kończy się to paraliżem od pasa w dół. Elaine wręcz przeciwnie. Myślę, że ma to podłoże psychiczne. Nie jest już tą porywającą pięknoską co dawniej, więc wycofała się ze współzawodnictwa, Pozwolił jej na to upadek z konia. O ile wiem, spadła umyślnie.

Taggert wybuchnął krótkim śmiechem.

- Daj spokój, Miranda. Wyczytałaś to w książce. Popatrzyła na niego wyniośle.
- Tobie nikt nie zrobi podobnego zarzutu.
- Czy istnieje jakieś psychologiczne wytłumaczenie mojej obecności w tym domu? - zapytałam.
- Nie jestem całkiem pewna, dlaczego pana wezwała. Żeby wytropić Ralfa czy coś w tym rodzaju?
- Coś w tym rodzaju.
- Chyba chce mieć jakieś dowody obciążające. Musi pan przyznać, że to dość duża przesada wzywać detektywa, bo mężczyzna nie wrócił na noc.

14

- Jestem dyskretny, jeśli o to się pani martwi.
- O nic się nie martwię - odrzekła słodko. - Zrobiłam tylko spostrzeżenie natury psychologicznej.

Filipiński służący dyskretnie poruszał się po patio. Jego osobowość samotnie czaiła się za maską przylepionego do twarzy uśmiechu, wyzierając ukradkiem z głębi czarnych, jakby podsiniaczonych oczu. Odnosił wrażenie, że nastawia uszu na każde moje słowo, icszy moje oddechy i mógłby w pogodny dzień dosły-eć rytm mego serca.

Taggert chyba poczuł się nieswojo i raptem zmienił temat.

- Zdaje się, że nigdy w życiu nie spotkałem prawdziwego detektywa.
- Dałbym panu mój autograf, ale podpisuję się „X”.
- Mówię poważnie. Interesuje mnie ten zawód. Kiedyś nawet chciałem być detektywem... zanim zacząłem atak. Ale to się pewnie marzy większości dzieciaków.

- Nie, większość dzieciaków nie czepia się tego arzenia.
- Co pan powie? Nie lubi pan swojej pracy?
- Nie pozwala mi robić głupstw. A teraz się zastawmy. Był pan panem Sampsonem, kiedy się ulotnił?
- Owszem.
- Jakie miał na sobie ubranie?
- Sportowe, Kurtkę ze szkockiego tweedu, brązową ełnianą koszulę, brązowe spodnie, buty z nie wypra-onej skóry. Był bez kapelusza.
- A o której godzinie to się stało?
- Około trzeciej trzydzieści... po wylądowaniu na rbank wczoraj po południu. Musieli przesunąć jesz-
jakąś maszynę, zanim mogłem odstawić samolot na ejсце. Zawsze sam to robię. Mam różne specjalne yrządy i nie chcielibyśmy, żeby je ktoś ukradł. Pan pson poszedł zadzwonić do hotelu po limuzynę.
- Do którego hotelu?
- Do Valerio.

15

- To ta wioska indiańska w bok od Wilshire?
- Ralf ma tam parterowy domek - wyjaśniła Miranda. - Lubi go z uwagi na ciszę.
- Zanim doszedłem do głównego wejścia - ciągnął Taggert - pan Sampson znikł. Niezbyt się tym przejąłem. Przedtem tego popił, ale to mu się nieraz zdarzało i sam jeszcze dawał sobie radę. Trochę się jednak zezłościłem. Zostawił mnie na lodzie tylko dlatego, że nie chciało mu się zaczekać pięciu minut. Taksówka z Burbank do Valerio kosztuje trzy dolary i nie stać mnie było na przejazd. Spojrzał na Mirandę, żeby się upewnić, czy nie mówi za dużo. Wydawała się ubawiona.
- Tak czy owak - podjął - pojechałem do hotelu autobusem. Trzema autobusami, każdym po pół godziny. A jego tam nie było. Czekałem prawie do zmroku, po czym poleciałem do domu.
- Nie pokazał się w Valerio?

- Nie. W ogóle tam nie był.
- A jego bagaż?
- Nie miał bagażu.
- Więc nie zamierzał zostać na noc?
- To nie ma nic do rzeczy - wtrąciła Miranda. -Wszystko, co potrzebne, trzymał w domku w Valerio.
- Może jest tam teraz?
- Nie. Elaine dzwoni co godzinę. Zwróciła się do Taggerta.
- Nie wspomniał, jakie ma plany?
- Zamierzał przenocować w hotelu.
- Ile czasu był sam, kiedy pan odstawił samolot?
- Około piętnastu minut. Nie więcej niż dwadzieścia.
- Limuzyna z hotelu musiałaby zatem przyjechać dość szybko. Może w ogóle tam nie dzwonił.
- Mógł spotkać kogoś na lotnisku - powiedziała Miranda.
- Czy w Los Angeles miał dużo przyjaciół?

16

- Raczej ludzi, z którymi łączyły go interesy. Ralf nie lubił życia towarzyskiego.
- Może mi pani podać ich nazwiska? Opędziła się ręką, jakby nazwiska były owadami.
- Lepiej niech pan zapyta Alberta Gravesa. Zadzwońię do jego biura i zapowiem pana przyjazd. Podrzuci pana Feliks. A potem wróci pan chyba do Los Angeles.
- " - To wygląda na sensowny początek.
- Alan może polecieć z panem. - Wstała i popatrzyła na niego z góry z błyskiem jakby wyuczzonej stanowczości. - Nie masz nic specjalnego do roboty dziś po południu, co, Alan?
- Chętnie polecę - odparł. - Uniknę nudy. Śmignęła do domu - ładna babka doprowadzona do furii.

- Niech jej pan da szansę - powiedziałem. Wstając zasłonił mi słońce.

- Co pan przez to rozumie?

Był w nim jakiś ślad zadowolenia z siebie, studenckiej buty, więc przekłułem balonik.

- Potrzebny jej wysoki mężczyzna. Tworzylibyście przystojną parę.

- No pewnie. - Przecząco pokręcił głową. - Więcej osób wysuwa pochopne wnioski na nasz temat.

- Nie wyłączając Mirandy?

- Tak się składa, że jestem zajęty kimś innym. Ale ki nic do tego. I temu cholernemu mikrofonowi

Miał na myśli Feliksa stojącego w drzwiach kuchni, ^fclopak nagle znikł z oczu.

- Ten drań działa mi na nerwy - stwierdził Taggert. -2»w^ze kręci się w pobliżu i podsłuchuje.

- Może jest po prostu ciekawy, fcfchnął.

- On należy do tych rzeczy, które mnie tutaj irytują. a"^^ z nimi przy jednym stole, taak, ale niech pan

17

pamięta, że jak przyjdzie co do czego, to jestem służącym, cholernym latającym szoferem.

Nie dla Mirandy, pomyślałem, ale nie wypowiedziałem tych słów na głos.

- To dość wygodna posada, prawda? Sampson pewnie dużo nie lata.

- Latanie mi nie przeszkadza. Lubię to zajęcie. Czego nie lubię, to opiekować się starym.

- Potrzebuje opieki?

- Potrafi rozrabiać jak wszyscy diabli. Nie mogłem opowiadać o nim przy Mirandzie, ale w zeszłym tygodniu na pustyni chlał, jakby chciał się zalać na śmierć. Półtora litra dziennie. Jak jest zalany, to popada w manię wielkości, a mnie rzygać się chce od słuchania jego pijackich przechwałek. Potem robi się sentymentalny. Chce mnie adoptować i kupić mi linię lotniczą. - Jego głos zabrzmiał ochryple i bełkotliwie, kiedy zaczął przedrzeźniać starego pijaka. - Zaopiekuję się tobą, mój chłopcze.

Dostaniesz linię lotniczą.

- Albo górę?

- Z tą linią lotniczą to nie żartuję. I mógłby mi ją dać, Ale na trzeźwo nic nie popuści. Ani cencika.

- Typ schizoidalny - stwierdziłem. - Dlaczego jest taki?

- Nie wiem na pewno. Ta dziwka na gorze potrafi każdego doprowadzić do szału.

Poza tym stracił na wojnie syna. Tu chyba ja wkraczam na plan. Pilot na pełnym etacie nie jest mu właściwie potrzebny. Bob Sampson też był lotnikiem. Zestrzelony nad Sakisimą. Miranda uważa, że stary się wtedy załamał.

- A jak ona sobie z nim radzi?

- Nieźle, choć ostatnimi czasy "się gryzą. Sampson próbuje wydać ją za męż.

- Ma upatrzonogo kandydata?

- Alberta Gravesa. - Wypowiedział to nazwisko beznamiętnie, jakby nie miał nic za ani przeciw.

18

Rozdział 3

Autostrada wpadała do Santa Teresa u podnóża miasta, nad morzem. Przez półtora kilometra ciągnęły się slumsy: mijaliśmy walące się budy i sklepy, wydeptane ścieżki tam, gdzie powinny być chodniki, czarne i brunatne dzieci bawiące się w kurzu.

Bliżej głównej ulicy znajdowało się kilka hoteli turystycznych z neonowymi szyldami podobnymi do lukru na atrapach w ciastkach, pomalowane na czerwono meksykańskie jadłodajnie, parę odrapanych knajp, w których zbierały się opoje, Co drugi przechodzień był niski jak Indianin, o twarzy koloru marokinu. Po wizycie w kanionie Cabrillo czułem się jak przybysz z innej planety. Cadillac niczym statek kosmiczny sunął tuż nad powierzchnią ziemi.

Przy wjeździe w główną ulicę Feliks skręcił w lewo, oddalając się od morza. W miarę jak wznosiliśmy się wyżej, ulica zmieniała wygląd. Mężczyźni w kolorowych koszulach i prążkowanych bawełnianych ubraniach, kobiety w marynarskich spodniach i sukniach odsłaniających różne części brzucha wchodzili i wychodzili ze sklepów z hiszpańszczyzną i budynków biurowych. -Nikt nie patrzył na góry

wznoszące się nad miastem, one jednak tam były, i na ich tle wszyscy sprawiali niemądre wrażenie.

Taggert milczał. Jego przystojna twarz pozbawiona była wyrazu.

- Jak się panu tutaj podoba? - zagadnął,

- Nie musi mi się podobać. A panu?

- Moim zdaniem kompletna martwota. Ludzie przyjeżdżają tu, żeby umrzeć, jak słonie. Ale potem żyją dalej... jeśli można to nazwać życiem.

- Szkoda, że pan nie widział tego miasta przed wojną. Dzisiaj przypomina ul w porównaniu z tym, co było wtedy. Same bogate stare damy obcinające kupony, robiące oszczędności za centa i obniżające pensję pomocnikowi ogrodnika.

19

- Nie wiedziałem, że zna pan Santa Teresa.

- Prowadziłem tu parę spraw z Bertem Gravesem, kiedy był prokuratorem okręgowym.

Peliks zaparkował przed żółtą, zdobioną stiukami bramą wiodącą na podwórze budynku biurowego. Otworzył drzwi w szklanym przepierzeniu.

- Biuro pana Gravesa znajduje się na pierwszym piętrze. Może pan pojechać windą.

- Ja zaczekam tutaj - powiedział Taggert.

Biuro Gravesa niczym nie przypominało brudnego pomieszczenia w gmachu sądów, gdzie ongiś przygotowywał sprawy.

W przedpokoju dominowało sukno w chłodnym zielonym odcieniu i białe drewno.

Jasnowłosa recepcjonistka o chłodnych zielonych oczach uzupełniała kompozycję barw.

- Jest pan umówiony, proszę pana? - zapytała.

- Zechce pani tylko powiedzieć panu Gravesowi, że przyszedł Lew Archer.

- Pan Graves jest obecnie zajęty.

- Poczekam.

Usiadłem w za twardo wypchanym fotelu i zacząłem myśleć o Sampsonie. Białe palce blondynki płały po klawiszach maszyny. Byłem niespokojny i w dalszym ciągu miałem poczucie nierealności, bo płacono mi, żebym szukał człowieka, którego

niezupełnie potrafiłem sobie wyobrazić. Magnat naftowy obcujący ze świątobliwymi ludźmi i zapijający się na śmierć. Wyciągnąłem jego fotografię z kieszeni i przyjrzałem jej się ponownie. Odwzajemniła spojrzenie.

Otworzyły się wewnętrzne drzwi i jakaś stara dama zaczęła wycofywać się tyłem, z dygami i chichotem. Kapelusz znalazła chyba na plaży, gdzie wyrzuciły go fale. W zegarku przypiętym do fioletowego jedwabiu na piersi skrzyły się brylanty.

Graves szedł za nią. Mówiła mu, jaki to on jest zdolny, jak bardzo zdolny i pomocny. Udawał, że słu-

20

cha. Wstałem. Na mój widok zrobił do mnie oko nad kapeluszem. Kapelusz zniknął, a on zawrócił do drzwi.

- Miło mi cię widzieć, Lew.

Nie poklepał mnie po ramieniu, ale uścisnął rękę mocno jak zawsze. A jednak zmienił się z upływem lat. Na skroniach zaczynały rysować się kąty, małe szare oczka wyzierały z sieci drobniutkich zmarszczek. Mięśnie na kwadratowych szczękach o niebieskawym zaroście zaczynały obwisać, stanowiąc zapowiedź podbródka. Z przykrością pomyślałem, że jest ode mnie o niecałe pięć lat starszy. Ale Graves z trudem torował sobie w życiu drogę, a to zawsze postarza.

Powiedziałem mu, że miło mi go widzieć. I była to prawda.

- To już chyba ze sześć, siedem lat - zauważył.

- Co najmniej. Przestałeś się zajmować ściganiem?

- Nie stać mnie było.

- Ożeniłeś się?

- Jeszcze nie. Inflacja. - Uśmiechnął się. - Jak tam Sue?

- Zapytaj jej adwokata. Nie lubiła towarzystwa, w którym się obracałem.

- To przykre, Lew.

- Nie bardzo. - Zmieniłem temat. - Dużo masz spraw?

- Żadnych od czasu wojny. Nie opłaca się w takim mieście.

- Coś się musi opłacać. - Rozejrzałem się po pokoju. Opanowana blondynka pozwoliła sobie na uśmiech.

- To tylko fasada. Nadal jestem przebijającym się prokuratorem. Ale uczę się rozmawiać ze starszymi paniami. - Uśmiechnął się krzywo. - Wejdz do gabinetu, Lew.

Pokój w głębi był większy, chłodniejszy i zastawiony solidniejszymi meblami. Na dwóch wolnych ścianach wisały sztychy przedstawiające sceny łowieckie. Po-
21

zostałe ściany przesłaniały rzędy książek, Graves jakby zmałał za ogromnym biurkiem.

- A co z polityką? - zapytałem. - Zamierzałeś zostać gubernatorem, pamiętasz?

- W Kalifornii partia się rozleciała. A zresztą przejadła mi się polityka, Przez dwa lata zarządzałem miastem w Bawarii. Zarząd wojskowy.

- Speculant, co? Ja byłem w wywiadzie. Ale wracając do Ralfa Sampsona...

~ Rozmawiałeś z panią Sampson?

- Tak. Dosyć ciekawe przeżycie, Tylko niezupełnie pojmuję, na czym ma polegać moja praca. A ty?

- Ja powinienem. Namówiłem ją, żeby ciebie zaangażowała.

- Dlaczego?

- Bo Sampson może potrzebować ochrony. Facet z pięcioma milionami dolarów nie powinien tak ryzykować. To alkoholik, Lew, Pogorszyło mu się od śmierci syna i czasem się boję, że traci rozum. Mówiła ci o tym facecie, któremu oddał domek myśliwski, o tym Claudzie?

- Taa. O tym świątobliwym człowieku.

- Claude wydaje się nieszkodliwy, ale ktoś drugi może już taki nie być. Nie muszę opowiadać ci o Los Angeles. Nie jest bezpieczne dla podstarzałego opoja wypuszczającego się samopas.

- Nie jest - przyznałem. - Nie potrzebujesz mi mówić. Ale pani Sampson uważa chyba, że on się tam wesoło zabawia.

- Ja jej to podsunąłem. Nie wydawałaby pieniędzy na jego ochronę.

- Za to ty byś wydawał.

- Jej pieniądze. Jestem tylko jej adwokatem. Oczywiście dosyć starego lubię.

I mam nadzieję zostać jego zięciem - pomyślałem.

- Ile jest gotowa zapłacić?

- Ile zażadasz. Pięćdziesiąt dziennie plus koszty?

- Zgódźmy się na siedemdziesiąt pięć. W tej sprawie nie podobają mi się imponderabilia.

- Sześćdziesiąt pięć. - Roześmiał się. - Muszę chronić mojego klienta,

- Nie będę się targował. Może zresztą nie być żadnej sprawy. Sampson mógł się zatrzymać u przyjaciół.

- To sprawdziłem. Nie miał ich wielu. Dam ci listę ludzi, z którymi się kontaktował, ale na to nie traciłbym czasu, chyba w ostateczności. Prawdziwych przyjaciół ma w Teksasie. Tam właśnie zbił majątek.

- Bardzo poważnie do tego podchodzisz - powiedziałem. - Czemu nie posuniesz się o krok dalej i nie zawiadomisz policji?

- Próbujesz wymigać się od roboty?

- Tak.

- To niemożliwe, Lew. Gdyby policja odszukała go na moje polecenie, z miejsca by mnie wywalił. A nie mogę mieć pewności, że nie jest z kobietą. Ubiegłego roku odnalazłem go w drogim burdelu w San Francisco.

- A coś ty tam robił?

- Szukałem go.

- To mi coraz bardziej pachnie rozwodem - zauważyłem. - Ale pani Sampson stanowczo twierdzi, że nie. Nadal nie rozumiem tego... albo jej.

- Nie spodziewaj się zrozumieć. Znam ją od lat i też jej nie rozumiem. Ale do pewnego momentu potrafię nią kierować. Jeśli wyłoni się jakaś drażliwa kwestia, przychodź do mnie. Dwa dominujące motywy jej postępowania to zachłanność i próżność. Możesz je brać pod uwagę, kiedy będziesz miał z nią do czynienia. I nie chce rozwodu. Woli raczej poczekać i odziedziczyć cały majątek... czy też połowę. Drugą połowę dostanie Miranda.

- Czy zawsze to były jej główne motywy postępowania?

- Odkąd ją znam, odkąd jest żoną Sampsona. Przedtem usiłowała zrobić karierę:

tańczyła, malowała, była

23

22

projektantką mody. Beztalencie. Została kochanką Sampsona, znalazła w nim oparcie i wyszła za niego za męż. To było sześć lat temu.

- A co się stało jej nogami?

- Spadła z konia, którego próbowała ujeździć, i ude-rzyła głową o kamień. Od tej pory nie chodzi.

- Miranda uważa, że nie chce chodzić.

- Rozmawiałeś z Mirandą? - Twarz mu pojaśniała. -Czyż to nie wspaniała dziewczyna?

- Z całą pewnością. - Wstałem. - Moje gratulacje.

Zarumienił się i nic nie odpowiedział. Nigdy przedtem nie widziałem, żeby się rumienił. Poczulem lekkie zakłopotanie.

Kiedy zjeżdżaliśmy automatyczną windą, zapytał:

- Mówiła coś o mnie?

- Ani słowa. Przyszło mi to do głowy z powietrza.

- Wspaniała dziewczyna - powtórzył. W wieku lat czterdziestu był pijany miłością.

Wytrzeźwiał prędko, kiedy podeszliśmy do samochodu. Z tyłu, koło Alana Taggerta, siedziała Miranda.

- Przyjechałam za wami. Zdecydowałam się także polecieć do Los Angeles. Cześć, Bert.

- Cześć, Miranda.

Spojrzał na nią urażony. Patrzyła na Taggerta. Tag-gert nie patrzył w żadnym określonym kierunku. Był to trójkąt, ale nie równoboczny.

Rozdział 4

Owiał nas wiatr wiejący w stronę morza i omiatający lotnisko. Wznosiliśmy się ku przełęczy w południowym paśmie^ gór. Santa Teresa była kolorową mapą lotniczą rozłożoną na kolanach gór, a żagłówki wporcie białymi płatkami mydlanymi w balii z farbką. W bardzo przejrzystym powietrzu szczyty rysowały się tak wyraźnie, jakby

zrobione były z papier-mache, który mógłbym przebić palcem na wylot. Kiedy przelecieliśmy nad nimi, zrobiło się chłodniej i przed nami górskie pustkowie rozpostarło się po horyzont odległy o siedemdziesiąt pięć kilometrów.

Samolot przechylał się powoli, zawracając nad morze. Była to czteroosobowa maszyna przystosowana do nocnych lotów. Ja siedziałem z tyłu, Miranda z przodu, po prawej ręce Taggerta. Obserwowała tę rękę, czujnie spoczywającą na sterze. Pilot zdawał się czerpać dumę z tego, że prowadzi samolot równo i spokojnie.

Wpadliśmy w dziurę powietrzną i zlecieliśmy o jakieś trzydzieści metrów w dół. Dziewczyna lewą ręką chwyciła go za kolano. Nie odtrąciła jej.

Rzecz oczywista dla mnie musiała być oczywista i dla Alberta Gravesa. Taggert mógł rozporządzać duszą i ciałem Mirandy, gdyby tylko zechciał. Graves tracił czas, musiał go w końcu spotkać bardzo przykry zawód.

Znałem go wystarczająco dobrze, by to rozumieć. Miranda miała wszystko, o czym marzył: pieniądze, młodość, piersi spiczaste jak pąki, urodę w rozkwicie. Uparł się, że będzie jego, i musiał ją zdobyć. Przez całe życie pragnął różnych rzeczy - po czym je osiągał.

Był synem farmera z Ohio. Kiedy miał lat czternaście czy piętnaście, jego ojciec stracił ziemię i wkrótce potem umarł. Bert utrzymywał matkę pracując przez sześć lat w fabryce opon. Po jej śmierci ukończył college i został członkiem Phi Beta Kappa. Jeszcze przed trzydziestką uzyskał dyplom na wydziale prawa uniwersytetu stanu Michigan. Przez jeden rok był radcą prawnym korporacji w Detroit, ale postanowił przenieść się na Zachód. Osiadł w Santa Teresa, bo nigdy przedtem nie widział gór ani nie kąpał się w morzu. Jego ojciec zawsze myślał, że lata emerytury spędzi w Kalifornii, i Bert odziedziczył to marzenie mieszkańca Środkowego Zachodu - obejmujące też córkę teksaskiego nafia-rza milionera.

Marzenie przetrwało nie naruszone. Pracował zbyt

25

2_4

ciężko, żeby mieć czas na kobiety. Zastępca prokuratora okręgowego, prokurator

miejski, prokurator okręgowy. Przygotowywał swoje sprawy, jak gdyby kładł podwaliny ładu społecznego. Wiem, bo mu pomagałem. Sędzia stanowego sądu najwyższego stawiał jego pracę na sali rozpraw za wzór, jeśli idzie o znajomość prawa. A teraz, mając czterdziestkę, Graves postanowił przebić mur głową.

Może jednak zdoła wdrzeć się na mur albo mur sam runie. Taggert szarpnął nogą jak koń opędzający się od much. Samolot skręcił, potem wyrównał lot. Miranda cofnęła rękę.

Taggert, po uszy rumiejąc się ze złości, pociągnął drążek sterowy i zaczął się piąć w górę-w górę, jakby mógł pozostawić ją z tyłu i być całkiem sam pośród nieba.

Umieszczony na dachu termometr wskazywał poniżej czterdziestu stopni. Z wysokości dwu i pół kilometra widziałem Katalinę daleko w dole, na prawo przed nami. Po paru minutach skręciliśmy w lewo ku białej plamie Los Angeles.

- Może pan wylądować na Burbank? - zawołałem przekrzykując szum silnika. - Chcę popytać ludzi.

- Właśnie mam ten zamiar.

Upał rozgrzanej letnim słońcem doliny wzniosł się na nasze powitanie, kiedyśmy kołowali. Żar niczym drobniutki popiół przyprószał wysypiska śmieci i pola, i na pół zabudowane przedmieścia, przyhamowując małe samochodziki na szosach i bulwarach, zagęszczając powietrze. Niewyczuwalny biały pył zaatakował mi nozdrza, wysuszył gardło. Suchość w gardle kojarzyła się z uczuciem, jakie zawsze, nawet po kilkugodzinnej nieobecności, nawiedzało mnie, kiedy wracałem do miasta. Dyspozytor taksówek na lotnisku miał opaski ze stalowego drutu na rękawach czerwonej, pasiastej koszuli. Żółtą czapkę nasadził niemal pionowo na tył siwej głowy. Słoneczne pory roku i brak wstrzemięzli-

26

wości zarumieniły jego gniewną twarz, nadając postaci pozór wielkiego spokoju. Przypomniawszy sobie Sampsona, kiedy pokazałem mu fotografię.

- Tak, był tu wczoraj. Zauważyłem go, bo był na lekkim gazie. Nie zalany, bobym wezwał strażnika. Ale wypił trochę za dużo. |

- Jasne. Był z nim ktoś jeszcze?

- Ja nie widziałem.

Kobieta w etoli z dwóch lisów, które wyglądały, jakby padły z gorąca, wybiegła z kolejki czekającej przy krawężniku.

- Muszę się dostać do miasta. Zaraz.

- Przepraszam panią. Musi pani poczekać na swoją kolej.

. - Mówię panu, że to pilne.

- Musi pani poczekać na swoją kolej - powtórzył monotonnym głosem. - Mamy za mało taksówek.

Znów zwrócił się do mnie.

- Coś jeszcze, kolego? Facet jest w tarapatkach czy co?

- Skąd mogę wiedzieć? Jak się stąd wydostał?

- Samochodem... czarną limuzyną. Zauważyłem ją, bo nie miała żadnych znaków.

Może była z któregoś z hoteli.

- Czy ktoś w niej siedział?

- Tylko kierowca.

- Zna go pan?

- Nee. Znam kilku kierowców hotelowych, ale wciąż się zmieniają. To był mały facecik, tak mi się zdaje, i jakiś blady.

- Nie pamięta pan marki wozu albo numeru rejestracyjnego?

- Mam oczy otwarte, kolego, ale nie jestem żaden geniusz.

- Dziękuję. - Dałem mu dolara. - Ja też nie. Wszedłem na górę do cocktail-baru, gdzie

Miranda

27

i Taggert siedzieli jak para obcych sobie ludzi, którzy spotkali się przypadkiem.

- Dzwoniłem do Valerio - powiedział Taggert. - Limuzyna powinna tu być lada chwila.

Kiedy zajechała, za kierownicą siedział blady człowieczek w świecącym ubraniu z granatowej serży, jakie noszą sędziowie sportowi, i sukiennej czapce. Dyspozytor taksówek zapewnił, że to nie ten sam facet, który poprzedniego dnia zabrał Sampsona.

Usiadłem z przodu obok kierowcy. Obrócił się z nerwowym pośpiechem, ziemisty na twarzy, z zapadniętą piersią i wyłupiastymi oczami.

- Słucham pana? - Pytanie brzmiało cicho i uniżenie.

- Jedziemy do Valerio. Miał pan służbę wczoraj po południu?

- Tak, proszę pana. - Zmienił biegi,

- I ktoś jeszcze?

- Nie, proszę pana. Jest jeszcze jeden na nocnej zmianie, ale on przychodzi dopiero o szóstej.

- Wzywał ktoś pana na lotnisko Burbank wczoraj po południu?

- Nie, proszę pana. - Wyraz niepokoju zakradł się do jego oczu i zdawał się do nich pasować. - Chyba nie.

- Ale nie jest pan pewny.

- Tak, proszę pana. Jestem pewny. Nie jeździłem w tę stronę.

- Zna pan Ralfa Sampsona?

- Z Valerio? Tak, proszę pana. Znam go bardzo dobrze.

- Widział go pan ostatnio?

- Nie, proszę pana. Nie widziałem go od kilku tygodni.

- Rozumiem. Proszę mi powiedzieć, kto odbiera dla pana wezwania? j

- Telefonistka z centrali. Mam nadzieję, że nie stało

IB

się nic złego. Czy pan Sampson jest pańskim przyjacielem?

- Nie - odrzekłem. - Jestem jednym z jego pracowników.

Do końca drogi prowadził wóz nabrawszy wody w usta, żałując, że na próżno tytułował mnie panem. Na pożegnanie dałem mu dolara, żeby go zbić z tropu.

Miranda zapłaciła za przejazd.

- Obejrzę domek - powiedziałem jej w hallu. - Ale najpierw wolałbym porozmawiać z telefonistką.

- Wezmę klucz i zaczekam na pana. Telefonistka była zasuszoną dziewczyną, która po nocach śni o mężczyznach, a w ciągu dnia irb nienawidzi.

- Słucham?

- Wczoraj po południu ktoś zamawiał limuzynę z lotniska Burbank.
- Nie odpowiadamy na tego rodzaju pytania.
- To nie było pytanie, tylko stwierdzenie.
- Jestem bardzo zajęta - odparła tonem urywanym jak brzęk monet. Oczka miała małe, surowe i lśniące niczym srebrne dziesięciocentówki.

Na blacie przy jej łokciu położyłem jednego dolara. Popatrzyła na niego, jakby banknot był nieczysty.

- Będę musiała wezwać dyrektora.
- Proszę bardzo. Jestem pracownikiem pana Sampsona.
- Pana Ralfa Sampsona? -zapytała śpiewnie, wibruje0-
- I owszem.
- Ale przecież to on dzwonił!
- Wiem. I co się potem stało?
- Odwołał zamówienie prawie natychmiast, zanim miałam okazję powiedzieć kierowcy. Zmienił plany?
- Najwyraźniej. Jest pani pewna, że oba razy on telefonował?
- O, tak - odrzekła. - Dobrze znam pana Sampsona. Przyjeżdża tu od lat.

29

Wzięła nieczystego dolara, żeby nie kalał jej biurka, i wepchnęła go do taniej plastikowej torebki. Potem obróciła się do tablicy, na której płonęły trzy czerwone światełka.

Miranda podniosła się, kiedy wróciłem do hallu. Był zaciszny, bogaty, z puszystymi dywanami i głębokimi fotelami, a chłopcy hotelowi w fioletoworóżowych kurtkach czekali w pogotowiu. Poruszała się jak żywa młoda nimfa w muzeum.

- Ralfa nie było tu prawie od miesiąca. Pytałam zastępcę dyrektora.
- Dał pani klucz?
- Oczywiście. Alan poszedł otworzyć domek.

Ruszyłem za nią korytarzem do drzwi z kutego żelaza. Teren za głównym budynkiem przecinały małe alejki-z domkami po obu stronach, rozrzuconymi wśród tarasowatych trawników i rabat kwiatowych. Obszar o powierzchni takiej, jaką w

mieście obejmują cztery sąsiadujące ze sobą ulice, był otoczony wysokim, jakby więziennym murem z kamienia. Ale więźniowie zamknięci w tych murach mogli wieść życie niesłychanie urozmaicone. Mieli do dyspozycji korty tenisowe, basen, restaurację, bar, nocny lokal. Musieli mieć tylko wypchany portfel albo książeczkę czekową.

Domek Sampsona, wyróżniający się spośród niemal całej reszty wielkością i powierzchnią tarasu, stał otworem. Przeszliśmy przez hall zagracony hiszpańskimi krzesłami, które sprawiały wrażenie mało wygodnych, do dużego, wysokiego pokoju o suficie z dębowych belek.

Na kanapce przed wygasłym kominkiem Taggart przygarbił się nad książką telefoniczną.

- Chciałem zadzwonić do kumpla. - Z półuśmiechem podniósł wzrok na Mirandę. - Skoro i tak muszę się tu kręcić.

- Myślałam, że zostaniesz ze mną. - Głos jej brzmiał cienko, niepewnie.

30

- Naprawdę?

Rozejrzałem się po pokoju, standardowo umeblowanym i bezosobowym jak większość pokoi hotelowych.

- Gdzie ojciec trzyma swoje osobiste rzeczy?

- Chyba w swoim pokoju. Nie ma ich tutaj dużo. Parę zmian ubrania.

Wskazała mi drzwi sypialni po drugiej stronie hallu zapaliła światło.

- Cóż on tu narobił? - wykrzyknęła. Pokój był dwunastokątem pozbawionym okien. yte lampy rozsiewały czerwone światło. Ściany za-aniała gruba czerwona materia zwisająca w fałdach sufitu i sięgająca do podłogi. Ciężki fotel i łóżko na *dku miały pokrycie w tym samym ciemnoczerwo-i kolorze. Ukoronowaniem wszystkiego było okrą-lustro w suficie, w którym pokój odbijał się do góry ami. W czerwonym półmroku wyteżałem pamięć, óki nie natrafiłem na właściwe porównanie: burdel u neapolitańskiego, który odwiedziłem w Mexico . w związku z pewną sprawą. |c dziwnego, że ciągnęło go do butelki, jeśli ł spać tutaj. \

Pokój wcale tak nie wyglądał - powiedziała. -

nie go przerobił, "dziłem dokoła. Każda z dwunastu płaszczyzn cyjnych miała wyhaftowany złotem jeden ze zodiaku - Strzelca, Byka, Bliźnięta i dziewięć "łych. Ojciec pani interesuje się astrologią?

- Tak - wyznała zawstydzona. - Próbowałam mu swadować, ale bez skutku.

Zwariował na tym

ne po śmierci Boba. Nie miałam jednak pojęcia, pmał się tak daleko,

Try odwiedza jakiegoś jednego astrologa? W la-t?* ich pełno. "tзд nie wiem.

-. :homą zasłoną znalazłem wejście do garderoby.

Była wypchana ubraniami, koszulami i obuwiami, od strojów golfowych począwszy, na wieczorowych skończywszy. Zrewidowałem je systematycznie. W wewnętrznej kieszeni jakiejś kurtki natrafiłem na portfel. Zawierał mnóstwo dwudziestodolarówek i jedną fotografię.

Podniosłem ją do żarówki oświetlającej garderobę. Ukazywała sybillińską twarz o ciemnych, smętnych oczach i pełnych, rozchylonych wargach. Czarne włosy opadały prosto po obu stronach na mały dekolt czarnej sukni stopionej z artystycznym cieniem u dołu zdjęcia. Kobięca dłoń napisała białym atramentem w poprzek tych cieni: „Ralfowi od Fay z błogosławieństwem".

Tę twarz powinienem był znać. Pamiętałem melancholijne oczy, ale nic więcej.

Włożyłem portfel z powrotem do kieszeni w kurtce Sampsona, a zdjęcie dołączyłem jako drugie do mojej kolekcji.

- Niech pan spojrzy - powiedziała Miranda, kiedy znów znalazłem się w sypialni.

Leżała na łóżku ze spódnicą zadartą powyżej kolan. W różowym blasku jej ciało zdawało się żarzyć. Przymknęła oczy. - Co ten zwariowany pokój nasuwa panu na myśl?

Końce jej włosów gorzały dokoła głowy. Zwrócona ku górze twarz była zamknięta i martwa. Smukłe ciało płonęło niczym ofiara na ołtarzu.

Podszedłem i położyłem rękę na jej ramieniu. Czerwonawe światło prześwitywało przez dłoń przypominając mi, że posiadam szkielet.

- Proszę otworzyć oczy. Otworzyła je z uśmiechem.

- Widział pan to, prawda? Ofiara na ołtarzu pogańskim... jak Salammbó.

- Naprawdę za dużo pani czyta - stwierdziłem.

Moja ręka wciąż spoczywała na jej ramieniu, świadoma dotyku opalonego ciała.

Obróciła się ku mnie, pociągając w dół. Jej usta zapiekły mi twarz.

- Co się tam dzieje? - zapytał od drzwi Taggert.

32

Czerwona poświata nadawała jego rysom wyraz pasji, lecz w dalszym ciągu na pół się uśmiechał. Ten incydent go ubawił.

Wstałem i przyglądałem marynarce. Ja nie byłem ubawiony. Od wielu dni nie dotknąłem nic tak świeżego jak Miranda. Pod wpływem tego dotyku krew zaczęła mi krążyć w żyłach niczym konie po torze wyścigowym.

- Co to było takie twarde w kieszeni pana kurtki? -zapytała Miranda wyraźnie.

- Broń.

Wyciągnąłem fotografię brunetki i pokazałem im obojgu.

- Widzieli ją państwo kiedyś? Podpisuje się „Fay”.

- Nigdy — odparł Taggert.

- Nie - odrzekła Miranda uśmiechając się do niego kątem oka, skrycie, jakby zyskała punkt przewagi.

Posłużyła się mną, żeby go podniecić, a to mnie rozzłościło. Rozzłościł mnie czerwony pokój. Przypominał wnętrze chorego mózgu, pozbawiony oczu, przez które można by wyrzeć, pozbawiony czegokolwiek, na co można by popatrzeć, poza własnym odwróconym do góry nogami odbiciem. Wyszedłem na dwór.

Rozdział 5

Przycisnąłem dzwonek i w minutę później głęboki kobiecy głos zagruchał przez domofon.

- Kto tam?

- Lew Archer. Czy zastałem Morrisa?

- Oczywiście. Proszę, niech pan wejdzie na górę. -Rozległ się brzęczyk otwierający wewnętrzne drzwi w przedsionku kamienicy.

Czekała u szczytu schodów, tłusta, przekwitająca blondyna, szczęśliwa w małżeńskim stanie.

- My się dawno nie widzieli. - Skrzywiłem się, ale

3 - Ruchomy cel

nie zauważyła tego mojego grymasu. - Morris zasnął dzisiaj. Dopiero je śniadanie.

Spojrzałem na zegarek. Było wpół do czwartej. Morris Cramm, jako pomocnik felietonisty, pisywał w nocy, od siódmej wieczór do piątej rano.

Jego żona poprowadziła mnie przez zawalony papierami i książkami salon, a zarazem sypialnię, w którym stał rozgrzebany tapczan. Morris siedział w szlafroku przy kuchennym stole i wpatrywał się w dwa smażone jajka odwzajemniające jego spojrzenie. Był to drobny ciemnowłosy mężczyzna o bystrych czarnych oczach za grubymi szklami okularów. A w głębi za oczami mieścił się mózg zawierający kartotekę mieszkańców Los Angeles,

- Witaj z rannym brzaskiem, Lew - powiedział nie wstając.

Usiadłem naprzeciwko niego.

- Już późne popołudnie. „:

- Dla mnie to rano. Czas jest pojęciem względnym. W lecie, kiedy kładę się spać, żółte słońce świeci mi nad głową, jak powiedział Robert Louis Stevenson. W którym płacie mojego mózgu chcesz poszperać dziś rano?

Położył nacisk na ostatnim słowie, a pani Cramm tym mocniej je podkreśliła nalewając mi kawy. Niemal mnie przekonali, że tylko co zbudziłem się ze snu o Sampsonach. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby mi ktoś wmówił, że o nich śniłem.

Pokazałem mu zdjęcie podpisane „Fay”.

- Znasz tę twarz? Mam wrażenie, że gdzieś ją widziałem, co by mogło oznaczać, że jest aktorką filmową. To typ sceniczny.

Baczenie wpatrzył się w kawałek sztywnego papieru.

- Wamp na emeryturze. Po czterdziestce, ale fotografia może być sprzed dziesięciu lat. Fay Estabrook.

- Znasz ją?

Dźgnął jajko i obserwował, jak żółci mu talerz.

- Widywałem ją tutaj. Była gwiazdą w epoce Pearl White.

- Z czego się utrzymuje?

- Z ogonów. Prowadzi skromny tryb życia. Raz czy dwa była zamężna. -

Przewyciężywszy niechęć zaczął jeść.

- A teraz ma męża?

~ Nie wiem. Chyba ostatni się nie przyjął. Zarabia trochę grając drobne rólki. Sim Kuntz bierze ją do swoich filmów. Był jej reżyserem w dawnych czasach.

- A nie mogłaby na boku dorabiać astrologią?

- Owszem, mogłaby. - Ze złością dziabnął drugie jajko. Czuł się upokorzony, kiedy nie umiał odpowiedzieć na pytanie. - Nie mam jej w kartotece, Lew. Nie jest już taka ważna. Ale musiała znaleźć jakieś źródło dochodu. Wzbudza umiarkowaną sensację.

Widziałem ją u Chasena.

- Niewątpliwie samą.

Wykrzywił małą, poważną twarzyczkę, przeżuwając bokiem, jak wielbłąd.

- Szperasz w obu płatach, ty draniu. Płacą mi za to, że je przeciążam?

- Dam piątaka - powiedziałem. - Rozliczam się z wydatków. - Pani Cramm zawisła nade mną piersiami, nalewając drugą filiżankę kawy.

- Widywałem ją nieraz z takim typkiem przypominającym angielskiego nieroba w koloniach.

- Wygląd?

- Włosy przedwcześnie posiwiałe, oczy niebieskie albo szare. Średniego wzrostu, żyłasty. Dobrze ubrany. Przystojny, jeśli podobają ci się podtatusiali tancerze z zespołów rewiowych.

- Wiesz, że mi się podobają. I z kim jeszcze? - Nie mogłem pokazać mu fotografii Sampsona ani wymienić jego nazwiska. Morrisowi płacono za dobieranie nazwisk parami. Bardzo źle płacono.

- Przynajmniej raz. Jadła późno kolację z tłustym

35

facetem w typie turysty, ubranym w banknoty dziesięciodolarowe. Tak się zalał, że musieli odprowadzić go do drzwi. To było kilka miesięcy temu. Od tej pory jej nie

widziałem.

- A nie wiesz, gdzie mieszka?

- Gdzieś za miastem. Nie mój rejon. Zresztą za piątką więcej się nie należy.

- Nie przeczę, ale powiedz coś jeszcze. Czy Simeon Kuntz obecnie pracuje?

- Robi film autorski w studio Telepictures. Ona może tam być. Słyszałem, że kręcą. Wręczyłem mu banknot. Ucałował go i udawał, że zapala nim papierosa. Żona wyrwała mu go z ręki. Kiedy wychodziłem, ganił się po kuchni, śmiejąc się jak para sympatycznych pomyleńców.

Taksówka czekała na mnie przed domem. Pojechałem do siebie i zacząłem szperać w książkach telefonicznych Los Angeles i okolic. W żadnym spisie nie znalazłem Fay Estabrook.

Zadzwoiłem do Telepictures w Universal City i zapytałem o nią. Telefonistka nie wiedziała, czy jest w studio; będzie musiała zasięgnąć informacji. W małym studio oznaczało to, że jeśli chodzi o film, Fay zdecydowanie należy do przeszłości.

Telefonistka wróciła do aparatu.

- Panna Estabrook jest tutaj teraz, ale zajęta. Czy coś powtórzyć?

- Sam pójde. Która to scena?

- Numer trzy,

- Reżyseruje Simeon Kuntz?

- Tak. Wie pan, że trzeba mieć przepustkę?

- Mam - skłamałem.

Przed wyjściem z domu popełniłem ten błąd, że zdjawszy rewolwer powiesiłem go w szafie ściennej w hallu. Niewygodnie go było nosić w upalny dzień, a nie przewidywałem, by się okazał potrzebny. W szafie leżała torba ze sfatygowanymi kijami golfowymi. Za-

36

brałem ją do garażu i rzuciłem na tylne siedzenie samochodu.

Universal City obnosiło swoje stiukowe fasady niczym zółknące papierowe kryzy. Budynki Telepictures były nowsze od pozostałych, ale całkiem dobrze pasowały do walących się barów i odrapanych restauracji ciągnących się wzdłuż bulwaru. Ich

gipsowe ściany wyglądały tandetnie, jakby nie spodziewały się stać tutaj długo.

Zaparkowałem wóz za rogiem, obok domów mieszkalnych, i zataszczyłem torbę z kijami do głównego wejścia do studio. Z dziesięć, może dwanaście osób siedziało na twardych krzesłach przed biurkiem przydziału ról i usiłowało sprawiać wrażenie ludzi wziętych, zadowolonych z siebie. Dziewczyna w schludnym czarnym kostiumie, czyszczonym tak często, że wyłysiał od szczotki, ściągała i wkładała rękawiczki. Ponura kobieta trzymała na kolanach ponurą dziewczynkę, ubraną w różowe jedwabie i piszczącą żałośnie. Zwykle zbiorowisko aktorów bez pracy-tłusty, chudy, brodaty, ogolony, w smokingu, w sombrero, chory, alkoholik i starzec - siedziało tu z wielką godnością, nie oczekując niczego.

Oderwałem się od całego tego splendoru i ruszyłem przez obskurny hall w stronę bramy wahadłowej. Siedział przy niej mężczyzna w sile wieku, o podbródku niczym grubszy koniec szynki, w granatowym mundurze strażnika, w czapce z czarnym daszkiem na głowie i z czarną kaburą na biodrze. Zatrzymałem się przed bramą, tuląc torbę z kijami jak rzecz bardzo mi drogą. Strażnik uchylił powiek próbując mnie zakwalifikować.

Zanim zdążył zapytać o cokolwiek, co mogłoby wzbudzić jego podejrzenia, powiedziałem:

- Są pilnie potrzebne panu Kuntzowi.

W dużych wytwórniach strażnicy żądali okazywania paszportów i wiz i robili wszystko, nie szukali tylko

37

granatów ręcznych ukrytych w zagłębieniach ciała. W mniejszych byli bardziej niefrasobliwi, na to też liczyłem.

Popchnął bramę i ruchem ręki wskazał mi przejście. Wyostałem się na rozżarzoną do białości betonową uliczkę, przypominającą wejście do labiryntu, i zagubiłem się pośród anonimowych budynków. Wybrawszy wiejską drogę z napisem „Zachodnia Ulica Główna”, zaczepiłem dwóch malarzy malujących wypaczoną od deszczu i słońca fasadę baru. z drzwiami wahadłowymi, lecz bez wnętrza.

- Scena trzy? - zapytałem.

- Skręci pan w prawo, potem w lewo na pierwszym zakręcie. Zobaczy pan tablicę na wprost Nowojorskiego Domu Czynszowego.

Skręciłem w prawo, mijając Ulicę Londyńską i Pionierską Chatę z Okraglaków, a potem w lewo przed Hotelem Kontynentalnym. Sztuczne fasady wydawały się z daleka tak rzeczywiste, a tak brzydkie i cienkie z bliska, że kazały mi powątpiewać we własną realność. Miałem ochotę cisnąć torbę golfową i wstąpić do Hotelu Kontynentalnego na niby-drinka z innymi duchami. Ale duchy są pozbawione gruczołów, ja zaś pociłem się obficie. Powinienem był przynieść coś lżejszego, na przykład raketkę do badmintonu.

Kiedy dotarłem do sceny trzeciej, nad zamkniętymi drzwiami dźwiękoszczelnymi paliło się czerwone światło. Oparłem torbę o ścianę i czekałem. Po chwili żarówka zgasła. Drzwi się otwarły, wypuszczając na ulicę stadko tancerek rewiowych w kostiumach królików. Przytrzymałem drzwi ostatniej parze, po czym wszedłem do środka.

Scena przedstawiała teatr, z czerwonymi pluszowymi krzesłami dla orkiestry, łóżami i złożonymi rokokowymi dekoracjami. Kanał dla orkiestry był pusty, scena ogołocoła, lecz w pierwszych paru rzędach zebrała się

38

grupka widzów. Młody człowiek w samej koszuli nastawiał górny reflektorek. Poprosił o światło i reflektorek rozbłysł nad głową kobiety siedzącej pośrodku pierwszego rzędu, twarzą do kamery. Ruszyłem bocznym przejściem i zanim zrobiło się ciemno, rozpoznałem Fay.

Światło znowu się rozjarzyło, zadźwięczał brzęczyk, na sali zaległo ciężkie milczenie. Przerwał je głęboki głos kobiety:

- Czyż nie jest wspaniała?

Zwróciła się do siedzącego obok mężczyzny z siwym wąsikiem i delikatnie potrząsnęła go za ramię. Uśmiechnięty, pokiwał głową.

- Stop! - Mały człowieczek o wyrazie znużenia na twarzy i łysej głowie, wystrojony w jasnoniebieski gabardynowy garnitur, wstał zza kamery, nachylając się do Fay Estabrook.

- Słuchaj, Fay, jesteś jego matką. On tam na scenie wyśpiewuje dla ciebie serce. To jego pierwsza wielka szansa; coś, na co liczyłaś i o co modliłaś się przez wszystkie te lata.

Nabrzmiały uczuciem środkowoeuropejski głos reżysera był tak sugestywny, że mimo woli spojrzałem na scenę. Nadal świeciła pustkami.

- Czyż nie jest wspaniały? - powtórzyła kobieta z wysiłkiem.

- Lepiej. Lepiej. Ale pamiętaj, że tonie jest prawdziwe pytanie. To pytanie retoryczne. Akcent spoczywa na słowie „wspaniały”.

- Czyż nie jest wspaniały?! - wykrzyknęła,

- Silniej zaakcentuj. Włóż w to więcej serca, moja droga Fay. Daj upust macierzyńskiej miłości do syna śpiewającego tak przepięknie tam za światłami rampy. Spróbuj jeszcze raz.

- Czyż nie jest wspaniały?! - zaskowyczała fałszywie.

39

- Nie! Fałsz tu nie pasuje. Nie wolno ci zdradzać inteligencji. Prostota. Ciepła, kochająca prostota. Rozumiesz, moja droga Fay?

Wydawała się zła i roztargniona. Wszyscy na sali, począwszy od asystenta reżysera, a na rekwizytorze skończywszy, patrzyli na nią wyczekująco.

- Czyż nie jest wspaniały? - powiedziała ochryple.

- Dużo, dużo lepiej - pochwalił mały człowieczek. Poprosił o światła i kamerę.

- Czyż nie jest wspaniały? - Mężczyzna z siwym wąsikiem uśmiechnął się i jeszcze trochę pokiwał głową. Nakrył jej rękę dłonią; uśmiechali się spoglądając sobie w oczy.

* - Stop!

Uśmiechy rozplynęły się w pełnej zmęczenia nudzie. Reflektory pogasły. Mały reżyser poprosił, o numer siedemdziesiąt siedem.

- Możesz już iść, Fay. Jutro o ósmej. I spróbuj porządnie wyspać się w nocy, kochanie, - Powiedział to w taki sposób, że zabrzmiało bardzo nieprzyjemnie.

Nie odezwała się ani słowem. Podczas kiedy nowa grupa aktorów ustawiała się za kulisami sceny teatralnej przed podjeżdżającą ku nim kamerą, dźwignęła się i odaliła

środkowym przejściem.

Z budynku ponurego niczym skład wyszedłem za nią w blask słońca. Stojąc w drzwiach obserwowałem jej niespieszny chód, ruchy trochę nieskoordynowane, jakby bezcelowe.

W niegustownym przebraniu - czarny kapelusz z wdowim welonem i prosty czarny płaszcz - jej duże, dorodne ciało sprawiało wrażenie niezgrabnego, ociążałego. Może to słońce świecące mi w oczy, może zwykły romantyzm wywołał uczucie, że zło, które unosiło się w powietrzu studia niczym bezwonny gaz, skupia się w tej masywnej czarnej postaci kroczącej pustą, sztuczną ulicą,

Kiedy znikła mi z oczu za rogiem Hotelu Kontynen-

40

talnego, podniosłem z ziemi torbę i podażyłem jej śladem! Znow zacząłem się pocić i byłem jak podstarzały chłopak do noszenia przyborów golfowych, z tych, co to nigdy nie zostają zawodowcami.

Dołączyła do sześciu kobiet w różnym wieku i różnych kształtów, zmierzających do głównej bramy. Po drodze skręciły w boczną uliczkę. Pośpieszyłem za nimi i zobaczyłem, że znikają pod stiukowym, sklepionym wejściem do garderoby.

Popchnąwszy skrzydło bramy przeszedłem obok strażnika. Przypomniał sobie mnie i kije golfowe.

- Nie były mu potrzebne?

- Nie będzie grał w golfa, tylko w badmintona.

Rozdział 6

Czekałem na nią w samochodzie zaparkowanym przy żółtym krawężniku niedaleko wejścia, z silnikiem pracującym na wolnych obrotach. Wyszła i ruszyła chodnikiem w przeciwnym kierunku. Przebrała się w dobrze skrojony ciemny kostium, kapelusik nasadziła na bakier. Wola albo pas elastyczny pomogły jej się wyprostować. Z tyłu wyglądała o dziesięć lat młodziej.

W połowie drogi do następnej przecznicy przystanęła koło czarnego czterodrzwiowego samochodu, otworzyła go i usiadła za kierownicą. Włączyłem się w strumień pojazdów i pozwoliłem jej jechać przede mną. Miała nowego Buicka. Nie

bałem się, że zauważy mój wóz. W okręgu Los Angeles roilo się od niebieskich kabrioli-muzyn, a pojazdy na bulwarze migaly niczym szkiełka w kalejdoskopie, Odciskała na tym wzorze osobiste piętno, co chwila zmieniając pas, prowadząc jak szalona, ale pewną ręką. Na wiadukcie musiałem przekroczyć setkę, by nie stracić jej z oczu. Chyba nie uświadamiała sobie, że ją ścigam; robiła to dla zabawy. Bulwarem Zachodzącego

Słońca ciągnęła w stronę morza równą siedemdziesiątką piątką. A na zakrętach w Beverly Hills zwiększała prędkość do osiemdziesięciu i dziewięćdziesięciu kilometrów. Jej ciężki samochód ścierał gumy. W moim lżejszym walczyłem z siłą odśrodkową. Opony piszczały.

Na ostatniej długiej pętli, opadającej ku Pacific Pali-sades, pozwoliłem Buickowi oddalić się i omal go nie zgubiłem. Dogoniłem Fay na prostej, a w minutę później już skręciła z bulwaru na prawo.

Pojechałem za nią drogą wijącą się pod górę, oznaczoną napisem „Aleja Podleśna”. Kiedy wynurzyłem się zza zakrętu, zatoczyła szeroki łuk o jakieś sto kroków przede mną, skręcając na podjazd. Zatrzymałem się w miejscu i zaparkowałem wóz pod eukaliptusem.

Przez pigwowy żywopłot równoległy do chodnika widziałem, jak idzie po schodach do drzwi białego domu. Otworzyła je z klucza i znikła w środku. Dom był piętrowy, ukryty wśród drzew z dala od ulicy, połączony z garażem wbudowanym w stok wzgórza. Niebrzydki dom jak na kobietę u schyłku kariery.

Po pewnym czasie zmęczyło mnie obserwowanie wciąż zamkniętych drzwi. Zdjąłem marynarkę i krawat, przewiesiłem je przez oparcie siedzenia, a następnie podwinąłem rękawy. Zabrałem z bagażnika kanister z długim dziobkiem i mijając Buicka skierowałem się prosto do otwartych drzwi garażu.

Był ogromny, dostatecznie duży, by pomieścić dwutonową ciężarówkę i Buicka na dodatek. Dziwna rzecz, ale wyglądał tak, jakby niedawno stała tu duża ciężarówka. Na betonowej podłodze odcisnęły się ślady szeroko rozstawionych opon i pozostały plamy gęstego oleju.

Małe okno w tylnej ścianie, na wysokości mojej głowy .wychodziło na podwórko za

domem tuż nad powierzchnią ziemi. Barczysty mężczyzna w szkarłatnej jedwabnej koszulce sportowej siedział na leżaku,

42

plecami do mnie. Jego krótko ostrzyżone włosy wydawały się gęściejsze i czarniejsze, niż powinny być włosy Ralfa Sampsona. Wspiałem się na palce, przyciskając twarz do szyby. Nawet przez zmatowiałe szkło scena rysowała się żywo jak namalowana: szerokie, niczego nieświadome ramiona mężczyzny w szkarłatnej koszuli, brązowa butelka piwa i miska solonych orzeszków w trawie obok leżaka, drzewo pomarańczowe nad jego głową, a na gałęziach niedojrzałe owoce wiszące niczym ciemnozielone piłki golfowe.

Przechylił się na bok, zakrzywionymi palcami wielkiej łapy szukając po omacku miski z orzeszkami. Ręka chybiła celu i grzebała w trawie jak okaleczony krab. Wtem obrócił głowę i zobaczyłem go z profilu. Nie była to twarz Ralfa Sampsona ani twarz, z jaką mężczyzna w szkarłatnej koszuli wszedł w życie. Te kamienne rysy wyciosane przez prymitywnego rzeźbiarza mówiły o historii bardzo w dwudziestym wieku pospolitej; o zbyt wielu walkach, nadmiarze zwierzęcej odwagi, niedostatku inteligencji.

Powróciłem do odcisków opon i ukląknęłam, żeby dokładnie je zbadać. Szuranie nóg na podjeździe usłyszałem tak późno, że mogłem już tylko pozostać na miejscu.

Mężczyzna w szkarłatnej koszuli zapytał od drzwi:

- Co tu masz za interes i czego szukasz? Nie masz tu czego szukać.

Przechyliłem kanister polewając olejem ścianę.

- Proszę nie zasłaniać mi światła.

- O co chodzi? - Mozolnie wymawiał słowa. Górną wargę miał obrzmiałą jak ochraniacz na szczękę,

Nie był wyższy ode mnie ani nie wypełniał sobą drzwi, takie jednak sprawiał wrażenie. Zdenerwowałem się, zupełnie jakbym przemawiał do obcego buldoga na terenie posiadłości jego pana. Wstałem.

- Tak - powiedziałem. - Na pewno je masz, bracie. Nie podobał mi się sposób, w jaki szedł ku mnie.

Lewy bark wysunął do przodu, brodę cofnął, jak gdyby każda godzina jego dnia dzieliła się na dwadzieścia rund po trzy minuty.

- Co to znaczy, że je mamy? My nic nie mamy, ale ty nawarzysz sobie piwa, jak będziesz gadał głupstwa.

- Termity - wyjaśniłem pośpiesznie. Był na tyle blisko, że czułem jego oddech.

Pachniał piwem, orzeszkami ziemnymi, popsutymi zębami. - Proszę powiedzieć pani Goldsmith, że ma je na pewno.

- Termity? - Przysiadł na piętach. Mógłbym go powalić, ale on by się podniósł.

- Takie małe zwierzątka, co żrą drzewo. - Wylałem jeszcze trochę oleju na ścianę. - To małe paskudztwo.

- Co tu masz w tym kanistrze? No, tutaj.

- W tym kanistrze?

- Taa. — Nawiązałem z nim kontakt.

- Trutkę na termity - odparłem. - Żrą to i zdychają. - Proszę powiedzieć pani Goldsmith, że ma je na pewno.

- Nie znam żadnej pani Goldsmith.

- To właścicielka domu. Dzwoniła do centrali, żeby przysłali kogoś na inspekcję.

- Do centrali? - zapytał podejrzliwie. Poznaczone bliznami, obrzmiałe powieki opadły jak żaluzje na małe, pozbawione wyrazu oczka.

- Centrali do walki z termitami. Owadom to centrala do walki z termitami na terenie południowej Kalifornii.

- Och! - Łamał sobie nad tym głowę. - Taa. Ale żadna pani Goldsmith tu nie mieszka.

- To nie Aleja Eukaliptusowa?

- Niece, Aleja Podleśna, Pomyliłeś adres, brachu.

- Strasznie mi przykro. Zdawało mi się, że Eukaliptusowa.

- Niece, Podleśna. - Uśmiechnął się od ucha do ucha, ubawiony swoją głupią pomyłką.

- To ja już pójdę. Pani Goldsmith będzie na mnie czekała.

- Taa. Jedną chwilkę.

Szybkim ruchem lewej ręki chwycił mnie za kołnierz. Zamachnął się prawą.

- Żebyś więcej nie przyłąził tu myszkować. Nie masz tu żadnego interesu.

Zła krew napłynęła mu do twarzy. Spojrzenie miał zgorączkowane i dzikie. Jasne strużki śliny sączyły się ze splekanych, zaciśniętych kącików ust. Krzepki zapaśnik był bardziej nieobliczalny niż buldog i dwakroć groźniejszy.

- Uważaj.- Podniosłem kanister. - To cię oślepi. Chlusnąłem mu olejem w oczy.

Wydał ryk, jakby

umierał w męczarni. Uskoczyłem w bok, Jego prawa pięść otarła się o moje ucho, wywołując pieczenie. Oderwany kołnierzyk mojej koszuli zwił mu w zaciśniętej dłoni. Prawą ręką osłonił zalane olejem oczy, kwiląc jak niemowlę. Jeśli czegoś się lękał, to ślepoty.

Kiedy byłem już w połowie podjazdu, za moimi plecami otwarły się drzwi, ale nie odwróciłem twarzy, żeby jej nie pokazywać. Dałem nura za żywopłot i biegłem dalej, w przeciwną stronę niż samochód. Obszedłem pieszo kwadrat najbliższych ulic.

Wróciwszy do samochodu stwierdziłem, że dokoła jest pusto. Drzwi garażu były zamknięte, lecz Buick wciąż stał na podjeździe. W przedwieczornym zmierzchu biały dom pośród drzew wyglądał bardzo spokojnie i niewinnie.

Ściemniło się niemal całkowicie, gdy jego właścicielka wyszła ubrana w cętkowane futro z ocelotów. Minałem wylot podjazdu, zanim Buick wycofał się z niego na wstecznym biegu, i zaczekałem na Bulwarze Zachodzącego Słońca. Prowadziła z większą pasją, a mniejszą precyzją z powrotem do Hollywood, przez Westwood, Bei-Air i Beverly Hills. Nie traciłem jej z oczu.

Prawie na styku Hollywood i Vine, gdzie wszystko się kończy, wiele zaś rzeczy .zaczyna, zostawiła wóz na prywatnym parkingu. Ja zaczekałem obok na ulicy, aż

45

44

wejdzie do Swifta, barwna postać krocząca jak na lekkim gazie. Następnie pojechałem do domu zmienić koszulę. ,

Kusił mnie pistolet ukryty w(szafie ściennej, ale nie zawiesiłem go pod kurtką, tylko kompromisowo wyjąłem z kabury i wsadziłem do schowka w samochodzie.

Rozdział 7

Ściany tylnej sali lokalu Swifta były wyłożone czarną dębową boazerią połyskującą niewyraźnie w blasku wypolerowanych mosiężnych żyrandoli. Po dwóch stronach ciągnęły się łóża obite skórą. Wolną przestrzeń pośrodku zajmowały stoliki. We wszystkich łóżach i przy większości stolików wystrojeni ludzie jedli bądź czekali na jedzenie. Kobiety prawie bez wyjątku były bardzo chude, dosłownie skóra i kości. Panów prawie bez wyjątku cechował ten męsko hollywoodzki wygląd, który trudno jest opisać. W głośno wypowiedzianych słowach i zamaszystych gestach kryła się natarczywa pewność siebie, jakby Bóg za milion dolarów zobowiązał się nad nimi czuwać.

Fay Estabrook siedziała w łóżu w głębi sali, naprzeciwko łokcia w granatowej flaneli, spoczywającego na stoliku. Postać jej towarzysza zasłaniało przepierzenie.

Podszedłem do baru znajdującego się pod trzecią ścianą i zamówiłem piwo.

- Angielskie Bass, Black Horse, Carta Blanca czy porter Guinness? Po szóstej nie podajemy piwa miejscowej produkcji.

Zamówiłem Bass i dałem barmanowi dolara mówiąc, żeby zatrzymał resztę. Reszty nie było. Odszedł.

Pochyliwszy się do przodu zajrzałem w lustro za barem. Odbita w ujęciu trois quatre twarz Fay Estabrook była szczera i przejęta, Wargi poruszały się szybko. Właśnie wtedy mężczyzna wstał.

46

Zaliczał się do gatunku tych, co to zwykle dotrzymują towarzystwa młodszym kobietom, do gatunku tych wymuskanych i nie starzejących się, którzy rok po roku robią forszę nie wiadomo na czym. Był podtatusiałym tancerzem rewiowym z opisu Cramma. Granatowa marynarka aż za dobrze na nim leżała. Biała jedwabna chustka pod brodą uwydatniała srebrzystość włosów.

Ścisnął dłoń rudzielcowi stojącemu obok łóżu. Tego poznałem, kiedy się odwrócił i odszedł do własnego stolika na środku sali. Był to pisarz nazwiskiem Russell Hunt, zatrudniony w wytwórni Metro.

Srebrnowłosy, pokiawszy Fay Estabrook na pożegnanie, ruszył do drzwi.

Obserwowałem go w lustrze. Szedł energicznym, równym krokiem, patrząc prosto

przed siebie, jakby w restauracji nie było żywej duszy. Dla niego nie było tu żywej duszy. Nikt nie podniósł ręki w powitalnym geście ani nie rozchylił warg w uśmiechu. Po jego wyjściu odwróciło się kilka głów, tu i ówdzie uniosły się brwi. Fay Estabrook została w loży sama, jakby zaraziła się od niego i sama też mogła być zaraźliwa.

Zaniosłem moją szklankę do stolika Russella Hunta. Siedział z tłusciochem o brzydkim perkatym nosie jak kartofel i bystrych oczkach agenta.

- Jak tam słowny interes, Russell?

- Cześć, Lew.

Nie ucieszył się na mój widok. Zarabiałem trzy setki tygodniowo, kiedy miałem pracę, należałem więc do pospólstwa. On zarabiał półtora kawałka. Były reporter z Chicago, który pierwszą powieść sprzedał wytwórni Metro i nigdy już żadnej nie napisał, przekształcał się z rokujuącego nadzieje młodzieńca w paskudnego starucha z migreną i basenem kąpielowym, z którego nigdy nie korzystał, bo bał się wody. Pomogłem mu uwolnić się od drugiej żony i zrobić miejsce dla trzeciej, nic nie lepszej.

- Siadaj z nami-powiedział, gdy nie odchodziłem. -

47

Napij się. To zalewa migreny. Nie piję po to, żeby sam się zalewać. Ja zalewam migreny.

- Chwileczkę - odezwał się agent bystre oczko. -Jeśli jest pan twórcą, może pan siadać. W przeciwnym wypadku trudno oczekiwać, że będę tracił dla pana czas.

- Timothy to mój agent - wyjaśnił Russell. - Ja jestem tą kurą, co mu znosi złote jajka. Spójrz, jak nerwowymi palcami igra z nożem do mięsa, jak tęsknym wzrokiem zawisł na mej toczonej szyi. Nie wróży mi to nic dobrego, jak mniemam.

- On mniema - powtórzył Timothy. — Czy pan tworzy?

Siadając na krześle wpadłem w ich żargon.

- Jestem człowiekiem czynu. A mianowicie tropicielem.

- Lew jest detektywem - oznajmił Russell. - Odgrzebuje ludzkie grzeszki i roztacza przed oczami zgorszonego świata.

- A jak nisko można przy tym zajęciu upaść? -zapytał Timothy ochoczo.

Dowcip mi się nie podobał, lecz przyszedłem tu po informacje, nie dla ćwiczenia się w ripostach. Spostrzegłszy wyraz mojej twarzy obrócił się do kelnera, który stał przy jego krześle.

- Komu ścisłałeś dłoń? - zagadnąłem Russella.

- Chodzi ci o tego elegancika w chustce? Fay mówiła, że nazywa się Troy. Byli kiedyś małżeństwem, więc powinna wiedzieć.

- Czym on się zajmuje?

- Nie jestem na sto procent pewny. Widywałem go w różnych miejscach: w Palm Springs, Las Vegas, Tia Juana.

- W Las Vegas?

- Chyba tak. Fay twierdzi, że jest importerem, ale taki z niego importer, jak ze mnie małpi wujek. - Nie wychodził ze swojej roli. - Rzecz dość dziwna, bo

48

jestem małpim wujkiem, chociaż muszę wyznać, że nikt nie był bardziej ode mnie zdziwiony, kiedy na Zielone Świątki moja młodsza siostra, ta z trzema piersiami, powiła najładniejszego szympanzika pod słońcem. Wiesz, po pierwszym mężu nazywała się lady Greys-toke.

Nagle przestał trajkotać. Jego twarz znowu przybrała pochmurny, żaloszny wyraz.

- Jeszcze jednego drinka - zwrócił się do kelnera. -Podwójną szkocką whisky. To samo dla wszystkich.

- Chwileczkę, proszę pana.-Kelner był zasuszonym staruszkiem o czarnych oczach jakpinezki. -Przyjmuję zamówienie od tego pana.

- Nie chce mnie obsłużyć. - Russell rozłożył ramiona w karykaturalnym geście rozpaczy. - Znów nie ma tego, o co proszę.

Kelner udawał pochłoniętego słuchaniem agenta.

- Ale ja nie chcę przysmażanych ziemniaków. Chcę zapiekankę.

- Nie mamy zapiekanki, proszę pana.

- A nie można jej zrobić? - nalegał Timothy rozdy-mając nozdrza zadartego nosa.

- Za trzydzieści pięć, czterdzieści minut, proszę pana.

— Mój Boże! - odparł Timothy. - Cóż to za jadłodajnia? Chodźmy do Chasena, Russell. Muszę mieć zapiekanekę ziemniaczaną.

Kelner stał przyglądając mu się jakby z bardzo daleka. Ominąłem go wzrokiem i zobaczyłem, że Fay Esta-brook wciąż siedzi przy swoim stoliku, zajęta butelką wina.

- Nie wpuszczają mnie już do Chasena - odrzekł Russell.

- Znasz Fay Estabrook? - zapytałem.

- Nie za dobrze. Minałem ją pnać się w górę kilka lat temu. Jeszcze kilka lat i minę ją staczając się w dół.

- Przedstaw mnie.

- Ruchomy cel

49

- Po co?

- Zawsze chciałem ją poznać.

- Nie pojmuję, Lew. Jest na tyle stara, że mogłaby być twoją żoną.

Zrozumiałem dla niego językiem wyjaśniłem:

- Żywię dla niej sentymentalny szacunek wywodzący się z dobrych dawnych dni, nieodwołalnie minionych.

- Przedstaw go, jeśli sobie życzy - wtrącił się Timo-thy. - Psy policyjne działają mi-na nerwy. Jak pójdzie; będę mógł zjeść zapiekanekę ziemniaczaną w spokoju.

Russell wstał z wysiłkiem, jakby czubkiem rudej głowy podtrzymywał sufit.

- Dobranoc - powiedziałem Tiraothy'emu. - Niech się pan dobrze bawi kosztem obsługi, dopóki nie wywalą pana za tłusty kark,

Zabrawszy mojego drinka pokierowałem Russella przez salę.

- Nie mów jej, kim jestem - szepnąłem mu na ucho.

- A kim ja jestem, żeby mieć publicznie prać twoją brudną bieliznę? Na osobności to całkiem inna sprawa. Uwielbiałbym prać twoją brudną bieliznę na osobności. To dla mnie fetysz.

- Wyrzucam ją, jak się zabrudzi.

- Cóż za marnotrawstwo! Bardzo cię proszę, na przyszłość chowaj ją dla mnie. Po prostu przysyłaj mi ją pod adresem kliniki Kraffta-Ebinga.

Pani Estabrook podniosła na nas oczy jak dwa ciemne reflektory.

- To Lew Archer, Fay. W głębi serca twój stary wielbiciel.

- Bardzo mi miło! - odezwała się głosem, który marnowała grając rolę matek. -

Usiądzie pan?

- Dziękuję, - Usiadłem na skórzanej kanapie naprzeciwko niej.

- Darujcie - rzekł Russell. - Muszę zaopiekować się Timothyem. Toczy walkę klasową z kelnerem. Jutro

wieczór on z kolei będzie się mną opiekował. O rany! -Odszedł zagubiony w labiryncie własnych słów.

- To miło, że ktoś czasem o nas pamięta - stwierdziła kobieta. - Większość moich przyjaciółek nie żyje, a o wszystkich zapomniano. Helena i Florence, i Mae... żadna z nich nie żyje i żadnej nikt nie pamięta.

Jej pijacki sentymentalizm, po części fałszywy, po części jednak prawdziwy, stanowił na swój sposób przyjemną odmianę po żalonym bełkocie Russella. Udzielił mi się.

- Sic transit glona mundi. Helena Chadwick była swego czasu wielką aktorką. Ale pani jest nią nadal.

- Próbuję trzymać rękę na pulsie. Ale z miasta uszło życie. Nam zależało na robieniu filmów... naprawdę zależało. W moim szczytowym okresie zarabiałam po trzy kawałki tygodniowo, pracowaliśmy jednak nie dla pieniędzy.

- Chodzi o grę. - Cytowanie było mniej kłopotliwe. -Chodziło o grę. Teraz jest inaczej. Miastu

zabrakło szczerości. Nie ma w nim życia. Nie ma życia w nim ani we mnie.

Z zamówionej pół butelki wylała do kieliszka resztę sherry i wychyliła jednym długim, posepnym haustem. Ja piastowałem mojego drinka w dłoni.

- Jest pani w świetnej formie. - Pozwoliłem oczom ześliznąć się po jej obcym ciele, częściowo wyzierającym spod rozchylonego futra. Miała niezłą figurę jak na swój wiek, szczupła w talii, o sterczących piersiach i biodrach w kształcie amfory. I pulsowała życiem, nieco natarczywą siłą kobiecości, zwierzęcą, jakby kocią dumą.

- Pan mi się podoba. Jest pan życzliwy. Proszę mi powiedzieć, kiedy się pan urodził.

- To znaczy, w którym roku?

- Którego dnia i miesiąca.

- Drugiego czerwca.

- Naprawdę? Nie przypuszczałam, że pan jest z Bliź-

50

51

niąt. Bliźnięta nie mają serca. Mają dwie dusze i prowadzą podwójne życie. Czy jest pan nieczuły?

Pochyliła się ku mnie, nie ześrodkowując spojrzenia szeroko rozwartych oczu w jednym punkcie. Nie umiałem odgadnąć, czy kpi ze mnie, czy z siebie.

- Przyjaźnię się ze wszystkimi - powiedziałem, żeby rozwiać urok. - Przepadają za mną dzieci i psy. Hoduję kwiaty i mam złotą rękę do roślin.

- Jest pan cynikiem - odparła nadąsana. - Myślałam, że będzie pan pokrewną duszą, ale pan jest w trois-tości Powietrza, a ja Wody.

- Tworzylibyśmy cudowną powietrzno-morską ekipę ratunkową.

Uśmiechnęła się i rzekła karcąco:

- Nie wierzy pan w gwiazdy?

- A pani?

- Oczywiście że wierzę. W sposób czysto naukowy. Kiedy się przyjrzeć dowodom, są po prostu nieodparte. Na przykład ja urodziłam się pod znakiem Raka i widać to po mnie. Jestem wrażliwa, obdarzona wyobraźnią; nie umiem się obyć bez miłości. Ci, których kocham, mogą owinać mnie koło małego palca, ale w razie potrzeby potrafię być uparta. Byłam nieszczęśliwa w małżeństwie, jak tylu ludzi spod mojego znaku. A pan jest żonaty?

- W chwili obecnej nie.

- To znaczy, że był pan żonaty. Ożeni się panponow-nie. Bliźniak zawsze to robi. I często żeni się z kobietą starszą od siebie. Wiedział pan o tym?

- Nie. - Jej apodyktyczny ton lekko zbijał mnie z tropu, grożąc, że zapanuje nad rozmową i nade mną.

- Brzmi to bardzo przekonująco.

- Mówię panu prawdę.

- Powinna pani robić to zawodowo. Jak się ma dobre gadane i siłę przekonywania, można ciągnąć z tego pieniądze.

Jej szczerze oczy zmieniły się w dwie wąskie ciem-

52

ne szpary niczym otwory strzelnicze w murze fortu. Przyjrzała mi się przez te szpary, powzięła decyzję taktyczną i znów szeroko otworzyła oczy. Były ciemnymi sadzawkami niewinności, podobnymi do zatrutych studni.

- Och, nie - odparła. - Nigdy nie traktuję tego zawodowo. To, co mam, to talent, dar... Wśród Raków często zdarzają się media... i uważam posługiwanie się tym darem za swój obowiązek. Ale nie dla pieniędzy... tylko dla przyjaciół.

- Szczęście, że jest pani niezależna finansowo. Obracała w palcach cienką nóżkę kieliszka, aż wysliznął się z nich i przełamał na stoliku na dwoje.

- Typowy Bliźniak - stwierdziła, - Zawsze ciekawy faktów.

Poczułem lekki niepokój, ale go odegnałem. Strzeliła na oślep i przypadkiem trafiła.

- Nie zamierzałem być ciekawy.

- Och, wiem o tym, - Wstała niespodziewanie i uświadomiłem sobie ciężar jej ciała wznoszącego się nade mną. - Chodźmy stąd. Znów zaczynam tłuc różne rzeczy.

Chodźmy gdzieś, gdzie można porozmawiać.

- Chodźmy.

Zostawiła banknot na stoliku i wyszła z ociężałym dostojeństwem.

Ruszyłem za nią, uradowany moim zaskakującym sukcesem, ale i z niewyraźnym uczuciem, że jestem pajakiem płci męskiej, którego niebawem zje pajak płci żeńskiej.

Russell siedział przy swoim stoliku z głową ukrytą w ramionach. Timothy poszcze kiwał na szefa sali jak terier na zapędzone w ciemny kąt małe, zaszczute zwierzątko. Szef sali wyjaśniał, że zapiekanka ziemniaczana będzie gotowa za piętnaście minut.

53

Rozdział 8

W hollywoodzkim barze Roosevelt narzekała na duchotę i powiedziała, że czuje się stara i nieszczęśliwa. Bzdura, zaoponowałem, ale przenieśliśmy się do Zebry.

Przerzuciła się na irlandzką whisky, którą piła bez wody. W Zebrze oskarżyła mężczyznę siedzącego przy sąsiednim stoliku o to, że przygląda się jej z pogardą. Zaproponowałem przejażdżkę na świeżym powietrzu. Popędziła bulwarem Wilshire, jakby próbując przedrzeć się w inny wymiar. Musiałem wyręczyć ją w zaparkowaniu Buicka przed Ambasadorem. Mój własny samochód zostawiłem u Swifta, Pokłóciła się z portierem z Ambasadora, bo rzekomo śmiał się z niej, obrócony do nas plecami. Zabrałem ją do piwnicy Huntoon Park, zwykle pustawej. Wszędzie, gdzieśmy się znaleźli, jacyś ludzie ją poznawali, ale nikt się do nas nie przysiadał ani jej nie pozdrawiał. Staczała się w dół.

Jeśli nie liczyć pary nachylonej ku sobie w drugim końcu baru, Huntoon Park świecił pustką. Wyłożony grubymi dywanami, dyskretnie oświetlony lokal w podziemiu był zakładem pogrzebowym, w którym wystawiano zwłoki zabitego przez nas wieczoru, Pani Estabrook, choć blada jak nieboszczka, utrzymywała się w pozycji pionowej, widziała, mówiła, mogła pić i zapewne nawet myśleć.

Naprowadzałem ją na Valerio w nadziei, że wymieni nazwę hotelu. Jeszcze parę drinków i będę mógł zaryzykować taką propozycję. Piłem razem z nią, ale za mało, żeby alkohol mógł na mnie podziałać. Prowadziłem idiotyczną rozmowę, więc nie dostrzegała różnicy. Czekałem. Chciałem do tego stopnia ją upić, żeby mówiła, co jej ślina przyniesie na język. Archer, niebiański Bliźniak, akuszer niepamięci.

Spojrzałem na swoją twarz w lustrze za barem i wcale się nią nie zachwyciłem. Stawała się chuda i drapieżna!

Nos miałem zbyt wąski, uszy zanadto przylepione do głowy. Powieki, z gatunku tych obwisłych w zewnętrznych kącikach, nadawały oczom kształt trójkąta, co zazwyczaj mi się podobało. Dziś oczy były jak małe kamienne kliny wbite między powieki.

Fay Estabrook pochyliła się nad barem, z brodą wspartą na dłoniach, wpatrując się wnapół opróżniony kieliszek z likierem. Wyciekła gdzieś дума, która nakazywała ciału trzymać się prosto i strzegła rysów przez rozmazaniem. Aktorka siedziała przygarbiona, smakując osad goryczy na dnie życia, monotonna recytując elegię:

- Nigdy na siebie nie uważał, ale miał ciało zapaśnika i głowę indiańskiego wodza. W jego żyłach płynęła krew indiańska. Nie był jednak zły. Co za słodki facet. Cichy i

niewymagający, nigdy dużo nie mówił. Przy tym namiętny i naprawdę nie dziwkarz, nie widziałam już później takiego. Nabawił się gruźlicy i zawiął w jedno lato. Załamalam się po tym. Nigdy już nie przyszedł do siebie. Był jedynym mężczyzną, jakiego w życiu kochałam.

- Mówiła pani, że na imię miał...?

- Bill, - Rzuciła mi przebiegłe spojrzenie. - Nie mówiłam. Pracował u mnie jako nadzorca. Miałam jeden z pierwszych dużych domów w dolinie. Byliśmy ze sobą przez rok, a potem umarł. To się stało dwadzieścia pięć lat temu i od tej pory zawsze czułam, że też mogłabym nie żyć.

Podniósłszy duże, suche oczy napotkała w lustrze mój wzrok. Chciałem odpowiedzieć na jej melancholijne spojrzenie, ale nie wiedziałem, co zrobić z twarzą. Spróbowałem uśmiechem dodać sobie otuchy. Przecież ze mnie taki dobry kumpel. Miewałem do czynienia z chuliganami, paniami lekkich obyczajów, prostytutkami i naiwniakami; prywatny kapuś podglądający przez dziurkę od klucza nielegalne pary w łóżku, konfident zazdrośników, szpicel za ścianą, rewolwerowiec

55

54

do wynajęcia za pięćdziesiąt dolarów dziennie; a mimo to dobry kumpel. W kącikach oczu zarysowały mi się zmarszczki; rozdałem nozdrza, rozciągnąłem wargi ukazując zęby, ale nie w uśmiechu. Moja chuda twarz przybrała zgłodniały wyraz, podobny do szyderczego grymasu kojota. Widziałem zbyt wiele barów, zbyt wiele walących się hoteli i obskurnych gniazdek miłosnych, za dużo sal sądowych i więzień, sekcji zwłok i policjantów gotowych do akcji, zbyt wiele obnażonych zakończeń nerwowych, przypominających torturowane robaki. Gdybym zobaczył tę twarz u kogoś obcego, nie miałbym do niej zaufania. Przyłapałem się na rozważaniach, jaka wydała się Mirandzie Sampson. | - Do diabła z trzydniowymi przyjęciami - oświadczyła pani Estabrook. - Niech diabli wezmą konie i szmaragdy, i jachty. Jeden dobry przyjaciel jest lepszy niż każda z tych rzeczy, a ja nie mam ani jednego dobrego przyjaciela. Sim Kuntz mówił, że jest moim przyjacielem, a teraz powiada, że to mój ostatni film. Przeżyłam swoje życie dwadzieścia pięć lat temu i

jestem do niczego. Nie chcesz się we mnie ubrać, Archer.

Miała rację. A mimo to ciekawiła mnie, niezależnie od zleconej mi pracy. Odbyła długą drogę z wyżyn w dół, poznała cierpienie. Zapomniała o sztucznej poprawności głosu i innych rzeczach wyuczonych przez instruktorów w studio. Brzmiał wulgarnie i w przyjemny sposób ochryple. Sądząc po nim, dzieciństwo spędziła w biednej dzielnicy Detroit, Chicago czy Indianapolis na początku stulecia. " Wysączyła resztkę likieru i wstała. ' " ,

- Proszę mnie odwieźć do domu. Ześliznąwszy się ze stołka ze skwapliwością żigolaka, ująłem ją pod ramię.

- Nie może pani jechać do domu w tym stanie. Musi pani jeszcze coś wypić na wzmocnienie.

- Jest pan miły. - Miałem na tyle cienką skórę, że

56

wyczułem ironię. - Tylko że nie mogę tu wytrzymać. To kostnica. Na litość boską - wrzasnęła do barmana -gdzież się podziały wszystkie hulaki?

- A czyż szanowna pani nie hula?

Odciągnąłem ją, żeby zapobiec kolejnej kłótni, i wyprowadziłem po schodach na ulicę. W powietrzu wisiała lekka mgielka przyćmiewająca neony. Nad dachami budynków nisko rozpościerało się bezgwiezdne, pochmurne niebo. Zadygotała i poczułem to drżenie, bo trzymałem jej ramię.

- Na sąsiedniej ulicy jest dobry bar - powiedziałem.

- Valerio?

- Chyba tak się nazywa.

- Zgoda. Wypiję jeszcze jednego, a potem muszę wracać do domu.

Otworzyłem drzwiczki Buicka i pomogłem jej wsiąść. Złożyła mi ciężką pierś na ramieniu. Cofnąłem się. Wolałbym jakąś zwykłą poduszkę, wypchaną pierzem, a nie wspomnieniami i frustracjami.

Kelnerka w barze Valerio przywitała ją po imieniu, poprowadziła nas do łoży, udała, że opróżnia pustą popielniczkę.

Barman, gładko wygolony młody Grek, aż wyszedł | z za iady, żeby powiedzieć dobry

wieczór i zapytać o pana Sampsona.

- Jeszcze nie wrócił z Newady - odparła. Obserwowałem jej twarz, a ona pochwyciła moje spojrzenie. -Mój bardzo bliski przyjaciel. Zatrzymuje się tutaj, kiedy jest w mieście.

Krótką przejażdżka albo serdeczne powitanie dobrze jej zrobiło, Była nieomal wesoła. Może popełniłem błąd.

- Wspaniały starszy pan - stwierdził barman. - Brak nam go tutaj.

- Ralf to cudowny, najcudowniejszy człowiek -oświadczyła pani Estabrook. - Słodki facet.

57

Barman przyjął zamówienie i odszedł.

- Stawiała mu pani horoskop? - zapytałem. - Temu swojemu przyjacielowi?

- A po czym się pan domyślił? To Koziorożec. Słodki facet, ale okropnie władczy. Zresztą przeżył tragedię. Jego jedyny syn zginął na wojnie. Słońce Ralfa zaćmił Uran, wie pan. Trudno przewidzieć, jakie to może mieć dla Koziorożca znaczenie.

- Rzeczywiście trudno. A dla niego ma duże znaczenie?

- Owszem, ma. Ralf rozwijał swoje władze duchowe. Uran jest przeciwko niemu, ale inne planety są mu przychylne. Ta świadomość dodała mu odwagi. - Nachyliła się konfidencyjnie do mojego ucha. - Szkoda, że nie mogę pokazać panu pokoju, który dla niego urządziłam. Choć to w jednym z tutejszych domków, nie zechcą nas wpuścić.

- On jest tu teraz?

- Nie, jest w Newadzie. Ma bardzo piękny dom na pustyni.

- Była tam pani?

- Zadaje pan tyle pytań, - Uśmiechnęła się z ukosa w przyływie upiornej kokieterii.

— Nie jest pan przypadkiem zazdrosny?

- Skarżyła się pani na brak przyjaciół.

- Czyżby? Zapomniałam o Ralfie.

Barman podał drinki i podniosłem szklanekę do ust. Siedziałem zwrócony twarzą w stronę sali. Drzwi obok milczącego fortepianu prowadziły do hallu. Weszli nimi Alan

Taggert i Miranda.

- Przepraszam - powiedziałem do pani Estabrook. Miranda dojrzała mnie, kiedy wstawałem z miejsca,

i ruszyła do przodu. Z palcem na wargach dałem jej znak drugą ręką. Cofnęła się zaskoczona, z szeroko otwartymi ustami.

Alan był szybszy. Wziął ją pod ramię i wypchnął za drzwi. Pośpieszyłem za nimi.

Barman mieszał drinka.

58

Kelnerka obsługiwała klienta. Pani Estabrook nie podniosła oczu. Drzwi się za mną zamknęły.

- Nic nie rozumiem - naskoczyła na mnie Miranda. - Ma pan podobno szukać Ralfa.

- Złapałem kontakt. Proszę stąd odejść.

- Ale ja próbowałam porozumieć się z panem. - Byłam taka napięta, że o mały włos nie wybuchnęła płaczem.

Zwróciłem się do Taggerta:

- Proszę ją stąd zabrać, zanim popsuje mi robotę całego wieczora. Jeśli to możliwe, poza miasto. - Trzy godziny spędzone w towarzystwie Fay wzmogły moją skłonność do irytacji.

- Ale pani Sampson dzwoniła do pana - powiedział. Filipiński goniec hotelowy stojący pod ścianą słyszał

naszą rozmowę. Poprowadziłem ich za róg, do na pół oświetlonego hallu.

- W jakiej sprawie?

- Miała wiadomość od Ralfa. - Oczy Mirandy jarzyły się bursztynowym blaskiem jak oczy łani. - Ekspres. Chce, żeby przesłała mu pieniądze. A właściwie nie przesłała, tylko trzymała w pogotowiu.

-He?

- Sto tysięcy dolarów.

- Proszę to powtórzyć.

- Chce, żeby podjęła sto tysięcy dolarów pod zastaw obligacji.

- Czy ona ma aż tyle?

- Ona nie ma, ale może mieć. Pełnomocnikiem Ralfa jest Bert Graves.
- Co jej kazał zrobić z pieniędzmi?
- Pisze, że jeszcze da znać albo kogoś po nie przyśle.
- Jesteście pewni, że on to pisał?
- Elaine twierdzi, że tak.
- Czy wspomina o miejscu pobytu?
- Nie, ale list ma stempel Santa Maria. Musiał być tam dzisiaj.

59

- Niekoniecznie. Czego chce ode mnie pani Sampson?
- Tego nie mówiła. Chyba chce zasięgnąć pańskiej rady.
- Oto moja rada. Proszę jej powiedzieć, żeby miała naszykowane pieniądze, ale nie dawała ich nikomu bez dowodu, że ojciec pani żyje.
- Myśli pan, że nie żyje? - Skubała palcami dekolt sukni.
- Nie stać mnie na domysły. - Zwróciłem się do Taggerta: - Czy może pan odwiedzić dzisiaj Mirandę do domu samolotem?
- Przed chwilą dzwoniłem do Santa Teresa. Nad lotniskiem jest mgła. Ale będę mógł to zrobić jutro z samego rana.
- Więc proszę powiedzieć jej przez telefon. Przypuszczalnie natrafiłem na ślad i będę nim szedł dalej. Graves powinien po cichu skontaktować się z policją. Lokalną i z Los Angeles. I z FBI.
- Z FBI? - szepnęła Miranda.
- Tak - odparłem. - Porwanie to przestępstwo podlegające jurysdykcji federalnej.

Rozdział 9

Po powrocie do baru ujrzałem młodego Meksykanina w smokingu, wspartego o fortepian i trzymającego gitarę. Nikłym tenorem, płaczkliwym i dalekim, śpiewał hiszpańską piosenkę o walkach byków. Palcami grzmiąco trącał struny, Pani Estabrook przyglądała mu się, a mnie jakby nie zauważyła, kiedy siadałem, Głośno biła brawo po zakończeniu piosenki i gestem przywołała chłopca do naszej łoży.

- Babalu. Proszę, żeby było ładnie. - Wręczyła mu dolara.

Skłonił się z uśmiechem i znów zaczął śpiewać.

60

- To ulubiona piosenka Ralfa - oznajmiła. - Domingo tak dobrze ją śpiewa. Ma w żyłach prawdziwą krew hiszpańską.

- A ten pani przyjaciel, Ralf?

- Co mój przyjaciel?

- Nie miałyby nic przeciwko temu, że pani jest tu ze mną?

- Niech się pan nie wygłupia. Chciałabym, żebyście się kiedyś poznali. Wiem, że się panu spodoba.

- Czym się zajmuje?

- Jest tak jakby na emeryturze. Ma pieniądze.

- Czemu pani za niego nie wyjdzie? Roześmiała się chrapliwie.

- Nie mówiłam panu, że mam męża? Ale o niego nie musi się pan martwić. To sprawa czysto handlowa.

- Nie wiedziałem, że pani prowadzi interes.

- Czy mówiłam, że prowadzę interes? - Roześmiała się znowu, o wiele za czujnie, i zmieniła temat. To śmieszne, że pan mi radzi wyjść za Ralfa. On ma żonę, a ja mam męża. Zresztą nasza przyjaźń istnieje na innej płaszczyźnie. Wie pan, ma charakter bardziej duchowy.

Trzeźwiała w oczach. Podniosłem szklankę.

- Za przyjaźń. Na innej płaszczyźnie.

Zanim skończyła pić, skinieniem dwu palców przywołałem kelnerkę. Ta druga kolejka ją wykończyła.

Jej twarz obwisała jakby pod własnym ciężarem. Oczy straciły blask, patrzyły bez zmrużenia. Dolna szczęka opadła w nieruchomym ziewnięciu, szkarłatne wargi zaś kontrastowały z różowobiałym wnętrzem jamy ustnej. Ściągając je z uczuciem odrętwienia szepnęła:

- Nie za dobrze się czuję.

- Odwiozę panią do domu.

- Miły pan jest.

Pomogłem jej wstać. Kelnerka przytrzymała drzwi. Panią Estabrook obdarzyła pobłażliwym uśmiechem, mnie zaś przenikliwym spojrzeniem. Fay potykała się na chodniku jak stara kobieta wsparta na nie istniejącej

61

lasce. Utrzymałem ją na zdrętwiałych nogach i tak dotarliśmy do samochodu. Wpakowanie pijanej do środka przypominało ładowanie worka z węglem. Jej głowa wtoczyła się w kąt między drzwiczkami i oparciem siedzenia. Uruchomiwszy silnik skierowałem się w stronę Pacific Palisades.

Pęd wozu ożywił ją po chwili.

- Muszę wracać do domu - powiedziała tępo. - Wie pan, gdzie mieszkam?

- Mówiła mi pani.

- Rano znów czeka mnie kierat. Bzdura! Nie powinnam płakać, jeśli wyrzuci mnie z filmu. Mam z czego żyć.

- Wygląda pani na kobietę interesu - podsunąłem zachęcająco.

- Miły pan jest, Archer. - Te słowa zaczynały wprawiać mnie w oszołomienie. - Że się pan zaopiekował taką starą wiedźmą. Nie podobałabym się panu, gdybym powiedziała, skąd mam pieniądze.

- Proszę mnie poddać próbie.

- Ale ja nie powiem. - Wybuchnęła wrednym, wyuzdanym śmiechem, utrzymując go w dolnym rejestrze. Zdawało mi się, że pochwyliłem w nim podźwięk szyderstwa, mógł jednak rozbrzmiewać tylko w mojej głowie. - Zbyt miły z pana chłopiec.

Owszem, mówiłem sobie, wzorcowy typ Amerykanina. Zawsze z chęcią poda dłoń, by pomóc damie polecieć na twarz do rynsztoka.

Dama znów straciła przytomność. Przynajmniej nic już nie mówiła. Czulem się samotny jadąc bulwarem w środku nocy, z jej na pół przytomnym ciałem u boku. W cętkowanym futrze przypominała śpiące na sąsiednim siedzeniu zwierzę, lamparta albo żbika przytłoczonego brzemieniem wieku. Nie było to ciało naprawdę stare - najwyżej pięćdziesięcioletnie, ale noszące piętno przeżytych lat, wezbrane i nurtowane złymi wspomnieniami. Opowiedziała mi o sobie to i owo, a choć

62

chciałem usłyszeć coś innego, za bardzo mi obrzydła, żebym miał sondować głębiej. Jedno wiedziałem na pewno i wcale nie potrzebowała mi tego mówić, a mianowicie, że jej towarzystwo nie służy Sampsonowi ani jakiemukolwiek nieostrożnemu mężczyźnie. Miała niebezpiecznych towarzyszy zabaw - jeden brutal, drugi gładki w obejściu. Gdyby cokolwiek przytrafiło się Sampsonowi, wiedziałyby o tym albo by się dowiedziała.

Ocknęła się, kiedy parkowałem wóz przed jej domem. -

- Wprowadź go na podjazd, dobrze, złotko? Cofnąłem się na drogę i skręciłem na podjazd. Nie

mogła sama wejść po schodach i wręczyła mi klucz, żebym otworzył drzwi.

- Wstąp na chwilę. Właśnie się zastanawiam, co by tu wypić.

- Na pewno można? A mąż? Śmiech zbulgotał jej w gardle,

- Od lat nie mieszkamy razem.

Wszedłem za nią do hallu. Powietrze zagęszczone mrokiem przepelniały jej dwa zapachy: pizma i alkoholu, zwierzęcy i ludzki. Pod stopami poczułem gładkość wywoskowanej posadzki i ciekaw byłem, czy nie upadnie. We własnym domu poruszała się ze ślełą precyzją lunatyczki, Po omacku podążyłem jej śladem w lewo. Zapaliła lampę, a pokój, który światło wydobyło z ciemności, w niczym nie przypominał obłąkanej czerwonej sypialni, jaką urządziła dla Ralfa Sampsona. Był duży, wesoły nawet nocą, ze spuszczoneymi żaluzjami. Solidny mieszczański pokój z reprodukcjami postimpresjo-nistów na ścianach, wbudowanymi w ścianę regałami pełnymi książek, z radiem, gramofonem, szafką na płyty, z kominkiem z glazurowanej cegły, przed którym zataczała łuk ciężka segmentowa kanapa. Zdumiewał jedynie wzór obicia na kanapie i fotela pod lampą: jaskrawozielone rośliny tropikalne na tle białego nieba

63

nad pustynią, z pojedynczymi oczami wyzierającymi spośród liści. Wzór zmieniał się, kiedy na niego patrzyłem. Oczy znikwały i znowu się pojawiały. Usiadłem na kilku takich oczach. Stała przy ruchomym barze w kącie obok kominka.

- Czego się napijesz?

- Whisky z wodą.

Przyniosła mi szklanę, Połowę zawartości wylała po drodze; whisky rozbryznięta się znacząc jasnozielony dywan smugą ciemnych kropel. Usiadła koło mnie, wgniatając poduszki kanapy. Jej ciemna głowa stoczyła się na moje ramię i zastygła w bezruchu. Mogłem dostrzec parę stałowoszarych pasemek pozostawionych przez fryzjerkę, żeby włosy nie wyglądały na farbowane.

- Nie wiem, czego by tu się napić - jęknęła. - Trzymaj mnie, bo upadnę.

Otoczyłem ramieniem plecy niemal równie szerokie jak moje. Mocno wsparła się na mnie. Czulem, jak oddech unoszący jej piersi stopniowo zamiera.

- Nie próbuj żadnych sztuczek, złotko, jestem dziś skonana. Innym razem...-Głos brzmiał łagodnie i jakoś po dziewczęcemu, ale niewyraźnie. Był zamazany niczym podwodne przebliski młodości w jej wzroku.

Zamknęła oczy. Widziałem delikatne pulsowanie żył w więdnących powiekach.

Frędzla podwiniętych czarnych rzęs była śladem młodości i urody, a w zestawieniu z nim ruina Fay wydawała się straszna i nieodwracalna. Łatwiej przychodziło ją żałować, kiedy spała.

Żeby się upewnić, czy śpi, delikatnie uniosłem jedną powiekę. Pożyłkowana, gałka oczna bielą wpatrując się w próżnię. Cofnąłem ramię podtrzymujące jej ciało i pozwoliłem, by osunęła się na poduszki. Piersi Fay obwisły krzywo. Pończochy miała przekręcone. Zaczęła chrapać.

Przeszedłem do drugiego pokoju i zamknąwszy za sobą drzwi zapaliłem światło.

Blask górnej lampy padał

na stół jadalny z wybielonego mahoni, ze sztucznymi kwiatami pośrodku, serwantką po jednej stronie, wbudowanym w ścianę kredensem po drugiej i sześcioma masywnymi krzesłami pod ścianą. Zgasilem światło i zajrzałem do czystej, dobrze wyposażonej kuchni.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie byłem niesprawiedliwy w ocenie tej kobiety. Zdarzali się uczciwi astrologowie - i mnóstwo nieszkodliwych pijaków. Jej dom przypominał sto tysięcy domów w okręgu Los Angeles, niemal za typowy, żeby być prawdziwy. Wyjąwszy olbrzymi garaż i buldoga na straży.

Łazienka miała ściany z pastelowo niebieskich kafli i prostokątną niebieską wannę. Szafka nad umywalką była zapchana odżywkami i najróżniejszymi specyfikami, kremami, farbami i pudrami, luminalem, nembuta-lem i weronalem. Flaszeczki i pudełeczka hipochon-'dryczki zawały występ umywalki, kosz na brudną bieliznę i toaletkę. Odzież w koszu była damska. W uchwycie tkwiła tylko jedna szczoteczka do zębów. Żyletka, ale brak kremu do golenia czy innego śladu mężczyzny.

Sypialnia obok łazienki, ukwiecona i upiększona różowościami, przywodziła na myśl przedwojenne sentymentalne marzenie. Na nocnym stoliku leżała książka o gwiazdach. Szafa była pełna sukni od Saksa i Magnina, a komoda - daytimej i nocnej bielizny koloru brzoskwiowego i jasnoniebieskiego, wykończonej czarną koronką. Pod skłębioną masą pończoch w drugiej szufladzie natrafiłem na coś, co stanowiło o osobowości tego domu. Był to rząd wąskich pakietów opasanych gumką. Zawierały pieniądze, wyłącznie banknoty jedno-, pię-cio- i dziesięciodolarowe, na ogół stare i tłuste. Jeśli każdy plik odpowiadał wartością temu, który przeliczyłem, dno szuflady wyścielało osiem, może dziesięć tysięcy dolarów.

Przykucnąłem zapatrzony w całą tę forszę. Szufladę

5 - Ruchomy cel

65

64

w sypialni trudno nazwać dobrym schowkiem. Ale dla ludzi nie mogących ujawnić swoich dochodów była bezpieczniejsza niż bank.

Brzęczenie telefonu wdarło się w ciszę jak świder dentystyczny. Natrafiło na nerw, więc podskoczyłem. Ale przed wyjściem do hallu, gdzie stał telefon, zasunąłem szufladę. Śpiąca w salonie Fay nie wydała żadnego dźwięku.

Żeby stłumić głos, podniosłem do ust krawat.

- Halo.

- Pan Troy? - zapytała jakaś kobieta.

- Tak.

- Czy Fay jest w domu? - Mówiła szybko, krótkimi zdaniem. - Tu Betty.

- Nie ma jej.

- Niech pan słucha. Fay była zalana w Valerio jakąś godzinę temu. Możliwe, że jej towarzysz to tajniak. Mówił, że odwiezie ją do domu. Lepiej, żeby się tam nie kręcił, jak przyjedzie ciężarówka. A wie pan, jaka jest Fay na bani.

- Tak - odparłem i zaryzykowałem; - Skąd dzwonisz?

- Oczywiście z Fortepianu.

- Czy jest tam Ralf Sampson?

Aż zachłysnęła się ze zdziwienia. Przez chwilę milczała. Po drugiej stronie drutu słyszałem szmer rozmów, szcęk talerzy. Przypuszczalnie restauracja.

Odzyskała głos:

- Dlaczego mnie pan pyta? Nie widziałam go ostatnio.

- Gdzie on jest?

- Nie wiem. Kto mówi? Pan Troy?

- Tak. Zajmę się Fay. - Odłożyłem słuchawkę. Gałka u drzwi frontowych skrzypnęła lekko za moimi

plecami, Zastygłem z dłonią na telefonie, zapatrzony w kulę z rżniętego szkła obracającą się powoli, roziskrzoną w świetle padającym z salonu. Drzwi otwarły

66
się gwałtownie i stanął w nich mężczyzna w jasnym płaszczu. Na srebrzystej głowie nie miał kapelusza. Wkroczył do środka jak aktor na scenę, starannie zamykając drzwi lewą ręką. Prawą trzymał w kieszeni płaszcza. Kieszeń była wypchnięta w moją stronę. Obróciłem się twarzą do niego.

- Kim pan jest?

- Wiem, że to niegrzecznie odpowiadać pytaniem na pytanie. - Jego głos łagodziła bardzo odległa pozostałość akcentu południowoangielskiego. - Ale kim pan jest?

- Jeśli to rewolwer..,

Ciężar w jego kieszeni milcząco mi potaknął. Mężczyzna stał się bardziej apodyktyczny.

- Zadałem ci proste pytanie, stary. Udziel mi prostej odpowiedzi.

- Nazywam się Archer - odrzekłem. - Czy używa pan farbki do mycia włosów?

Miałem ciotkę, która mawiała, że to bardzo skuteczne.

Nie zmieniając miny okazał gniew w ten sposób, że cedził słowa z jeszcze większą precyzją.

- Nie lubię bez potrzeby stosować przemocy. Proszę, niech pan mnie do tego nie zmusza.

Widziałem czubek jego głowy, skórę przeświecającą spod starannie rozdzielonych włosów.

- Przeraza mnie pan - powiedziałem. - Zitalianizowany Anglik to szatan wcielony. Ale rewolwer w jego kieszeni był małą, niesłychanie silną chłodziarką, która zamroziła pół hallu. Oczy mężczyzny już zamieniły się w lód.

- Z czego pan żyje, panie Archer?

- Sprzedaję ubezpieczenia. Moje hobby to być fagasem rewolwerowców. - Sięgnąłem do portfela, żeby mu pokazać wizytówkę agenta, „ubezpieczeń wszelkiego rodzaju”.

- Nie, proszę trzymać ręce na wierzchu, a język za zębami, dobrze?

67

- Z miłą chęcią. Niech pan nie liczy, że sprzedam panu polisę. Nie warto ryzykować z kimś, kto obnosi się ze spluwą po mieście.

Moje słowa przeleciały mu koło ucha nie wywierając żadnego wrażenia.

- Co pan tu robi, panie Archer?

- Odwiozłem Fay do domu.

- Jest pan jej przyjacielem?

- Najwyraźniej. A pan?

- Pytać będę ja. Co pan zamierza robić dalej?

- Właśnie miałem wezwać taksówkę i wracać do domu.

- Może lepiej niech pan to zrobi.

Podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer. Podszedł do mnie sprężystym krokiem. Lewą ręką obmacał mi piersi i pachy, przesunął nią po bokach i biodrach. Choć się cieszyłem, że rewolwer został w samochodzie, dotyk Troya wzbudzał we mnie wstręt. Miał ręce hermafrodyty.

Cofnąwszy się pokazał mi swoją broń, niklowany rewolwer kalibru 0.32 albo 0.38. Rozpatrywałem szanse obalenia go kopniakiem i odebrania broni.

Lekko zeszywniał, a rewolwer zogniskował się jak oko.

- Nie - powiedział. - Strzelam szybko, panie Archer. Nie ma pan absolutnie żadnej szansy. A teraz proszę się obrócić.

Usłuchałem. Przytknął mi lufę do pleców powyżej nerek.

- Do sypialni,

Odeskortował mnie do oświetlonego pokoju i ustawił twarzą do drzwi. Usłyszałem jego prędkie kroki przemierzające podłogę, otwieranie drzwi i zamykanie szuflady, Rewolwer znów dziabnął mnie w nerki.

- Co pan tu robił?

- Ja tu nie byłem. Fay zapaliła światło.

- Gdzie jest teraz?

68

- W salonie.

Przeprowadził mnie do pokoju, w którym pani Estab-rook leżała ukryta za oparciem kanapy. Zapadła w le-targiczny sen podobny do śmierci. Usta miała otwarte, lecz już nie chrapała. Jedno ramię zwisało na podłogę niczym przekarmiony biały wąż. Spojrzał na nią z taką pogardą, jaką mogłyby czuć srebra stołowe dla przepitego ciała.

- Nigdy nie mogła pić.

- Zrobiliśmy rundę po knajpach - wyjaśniłem. - Ubaw był po pachy.

Obrzucił mnie baczny wzrokiem.

- Najwyraźniej. No a skąd to zainteresowanie takim worem robactwa?

- Mówi pan o kobiecie, którą kocham.

- O mojej żonie, - Lekkim drgnieniem nozdrzy zdradził, że nie ma nieruchomej twarzy.

- Doprawdy?

- Nie jestem zazdrosny, panie Archer, ale muszę pana ostrzec, żeby się pan trzymał od niej z daleka. Ma własny niewielki krąg znajomych, a pan by do niego po prostu nie pasował. Fay jest oczywiście bardzo wyrozumiała. Ja mniej. A niektórzy z jej znajomych wcale nie są wyrozumiali.

- Czy wszyscy są tacy wygadani jak pan? Błysnął drobnymi, regularnymi zębami i nieznacznie

zmienił pozycję. Przechylił na bok tors, a wraz z nim głowę lśniącą w blasku lampy.

Był to plugawy typ, zdeprawowany chłopiec, czujny i żywy pod maską starości.

Rewolwer okręcił mu się na palcu jak srebrne kółko i znieruchomiał wymierzony w moje serce.

- Oni umieją wyrażać się inaczej. Czy mówię jasno?

- Myśl jest całkiem prosta. - Pot ziębił mi plecy. Na ulicy zatrafił samochód.

Podszedł i otworzył mi

drzwi. Na zewnątrz było cieplej.

Rozdział 10

— Dobrze, że połączyłem się z centralą - powiedział kierowca. - Zaoszczędziłem sobie darmowego kursu. Odwaliłem kawał drogi do Malibu. Cztery brudasy zaproszone na przyjęcie na plaży. Nigdy w życiu nie zbliżą się do wody. | Tył wozu wciąż jeszcze wydzielał ciepłarniany odór.

- Trzeba było słyszeć te kobiety. - Zwolnił przed wjazdem na Bulwar Zachodzącego Słońca. - Wraca pan do miasta?

~ Chwileczkę. Zahamował. - Zna pan knajpę o nazwie Fortepian?

~ Szalony Fortepian? - zapytał. - W zachodnim Hollywood. - To taka pijacka spelunka.

- Do kogo należy?

- Nie pokazywali mi ksiąg rachunkowych - odrzekł niedbale, włączając bieg. - Chce pan tam jechać?

- Czemu nie? Noc się dopiero zaczęła. - Kłamałem, Noc dawno się już zaczęła, była chłodna, pulsowała w zwolnionym rytmie. Opony zapiszczały niczym głodne koty na wilgotnym od mgły asfalcie. Neony wzdłuż Hollywood Strip jarzyły się bezsennością.

Noc w Szalonym Fortepianie dobiegała końca, lecz puls jej ozywiano sztucznymi środkami. Knajpa mieściła się przy źle oświetlonej bocznej ulicy, w rzędzie dwurodzinnych domów, rozpychających się nad zaśmieconymi zaułkami. Nie miała

żadnego szyldu, żadnego frontonu ze szkła i plastyku. Nad wejściem wyginało się sklepienie zdobione zbrunatniałym od niepogod stiukiem, który łuszczył się jak strupy. Wyżej wąski balkon z balustradą z kutego żelaza maskował okna zasłonięte ciężkimi kotarami.

Spod sklepienia wynurzył się murzyński portier w liberii i otworzył drzwiczki taksówki. Zapłaciwszy kierowcy poszedłem za Murzynem, W mdłym świetle padającym znad drzwi dojrzałem, że meszek na jego granatowej kurtce jest wytarty do gołych nici. Drzwi obite brązową skórą poczerniały wokół klamki od dotyku mnóstwa spotniałych dłoni. Wiodły do długiej, wąskiej sali, podobnej do tunelu.

Drugi Murzyn, w kelnerskiej kurtce i z przerzuconą przez ramię serwetką, podszedł do wejścia na moje spotkanie. W niebieskim świetle emanującym ze ścian jego rozciągnięte w uśmiechu wargi miały kolor indy-go. Ściany były ozdobione jednobarwnymi niebieskimi aktami w różnych pozach. Po obu stronach sali stały stoliki nakryte białymi obrusami, środkiem biegło przejście. Jakaś kobieta grała na fortepianie umieszczonym na niskiej estradzie w głębi. Przesłonięta dymem wydawała się nierzeczywista, jak mechaniczna lalka o zręcznych dłoniach i sztywnych, nieruchomych plecach.

Oddałem kapelusz szatniarce siedzącej w kąciku i poprosiłem o stolik blisko fortepianu. Kelner sunął przede mną przejściem, z serwetką powiewającą niczym proporzec, i usiłował wywołać złudzenie ruchu w interesie. Na próżno. Dwie trzecie stolików było wolnych. Resztę zajmowały czule parki. Mężczyźni byli typowymi wyrzutkami z lepszych barów, odwlekającymi powrót do domu. Tłuści i chudzi, mieli rybie twarze w niebieskawym świetle jak w akwarium, rybie twarze i ostrygowe oczy.

! Większość ich towarzyszek wyglądała na opłacone albo gotowe przyjąć zapłatę. Dwie albo trzy blondynki widywałem w zespołach rewiiowych z uśmiechami pierwszych naiwnych przylepionymi do twarzy, jakby mogły w ten sposób zatrzymać uciekający czas. Parę starszych kobiet miało ciała jak z nadmuchanej gumy, dzięki czemu mogły jeszcze rok, dwa pływać po powierzchni. Te ciężko pracowały rękami,

językami, oczyma. Jeśli spadną poniżej poziomu Szalonego Fortepianu, mogą trafić w gorsze miejsca.

Przy sąsiednim stoliku siedziała samotnie młoda Me-

71

70

ksykanka o znudzonej żółtej twarzy. Przesłała mi spojrzenie i znów je odwróciła.

- Dla pana szkocka czy bourbon? - zapytał kelner.

- Bourbon z wodą. Sam zmieszam.

- Już się robi, proszę pana. Mamy kanapki. Przypomniało mi się, że jestem głodny.

- Z serem.

- Doskonale, proszę pana.

Spojrzałem na fortepian, zastanawiając się, czy wszystkiego nie traktuję zbyt

dosłownie. Kobieta, która przedstawiła się jako Betty, dzwoniła z Fortepianu.

Ochryply głos tego instrumentu przeplatał się w melancholijnym kontrapunkcie.

Palce pianistki odbijały się w lustrze nad klawiaturą w ruchu pełnym pośpiesznej nieuchronności, jakby fortepian grał sam, ona zaś musiała dotrzymywać tempa. Jej napięte obnażone ramiona były chude i kształtne. Włosy spływały na nie jak smoła, wywołując wrażenie śnieżnej bieli skóry. Twarz miała ukrytą.

- Cześć, przystojniaczku. Zafunduj mi drinka.

Przy moim krześle stała Meksykanka. Kiedy podniosłem wzrok, usiadła. RuChy jej przygarbionego bezbio-drego ciała przypominały śmignięcie batem. Nie pasowała do niej suknia z dużym dekoltem - jak ubranie do dzikusa. Próbowwała się uśmiechnąć, lecz jej drewniana twarz nigdy nie opanowała tej sztuki.

- Powinienem zafundować ci szkła. Wiedziała, że to ma być żart, i na tym koniec.

- Zabawny z ciebie chłopiec. Podobają mi się zabawni chłopcy. - Takim gardłowym, wymuszonym głosem mogła mówić osoba o drewnianej twarzy.

- Ja ci się nie spodobam. Ale zafunduję ci drinka.

Przewróciła oczami na znak zadowolenia. Były zakrzeple, niezmiennie jak kulki żywicy. Wyciągnęła ręce i zaczęła głaskać moje ramię.

- Podobasz mi się, zabawny chłopcze. Powiedz coś śmiesznego.

Nie podobaliśmy się jednak sobie nawzajem. Pochyliła się, żebym mógł zajrzeć jej za dekolt. Piersi miała małe, jędrne, z sutkami sterczącymi niczym zaostrowany ołówek. Ramiona i górną wargę pokrywał czarny meszek.

- Namysliłem się i zafunduję ci hormony.

- Czy to coś do jedzenia? Strasznie jestem głodna. -Dla zilustrowania tego żarłocznie błysnęła białymi zębami.

- Czemu mnie nie nadgryziesz?

- Kpisz sobie - odparła nadąsana, mimo to nie przestając ugniatać mi lamienia.

Zjawił się kelner, więc mogłem uwolnić rękę. Przetawił z tacy na stolik małą kanapkę na talerzyku, szklanek wody, filiżankę do herbaty, a w niej pół cala. whisky, pusty dzbanek do herbaty i szklanek czegoś, co kierując się telepatią przyniósł dziewczynie.

- Razem będzie sześć dolarów, proszę pana.

- Nie dosłyszałem.

- Po dwa dolary za drinka, proszę pana. Dwa dolary za kanapkę.

Uniosłem górną warstwę chleba, popatrzyłem na plasterek sera w środku. Był cieniutki jak płatek złota i niemal równie drogi. Resztę z dziesięciodolarowego banknotu, którym płaciłem, zostawiłem na stoliku. Moja prymitywna towarzyska wypila sok owocowy, zerknęła na cztery papierowe dolary i znów zaczęła ugniatać mi ramię.

- Masz bardzo namiętne ręce - przyznałem - tylko tak się składa, że czekam na Betty.

- Betty? - Pogardliwym spojrzeniem czarnych oczu obrzuciła plecy pianistki. — Ależ Betty to artystka. Nie będzie... - Gestem dokończyła zdanie. i

- Mam ochotę na Betty.

Ściągnęła usta, wysuwając czerwony koniuszek języka, jakby zamierzała splunąć.

Skinąłem na kelnera i zamówiłem drinka dla kobiety przy fortepianie, Kiedy

73

72

znów odwróciłem się do Meksykanki, już jej nie było.

Kelner postawił szklanek na fortepianie i wskazał na mnie, pianistka zaś podążyła

wzrokiem w tę stronę. Twarz miała owalną, tak drobną i delikatnie wymodelowaną, że wyglądała jak skurczona. Oczom brakło określonej barwy i wyrazu. Nie wysiliła się na uśmiech. Zapraszająco uniosłem brodę. Na znak odmowy szarpnęła głową i znów pochyliła się nad klawiaturą.

Obserwowałem jej białe dłonie przedzierające się przez sztuczną dżunglę boogie-woogie. Muzyka podążała ich śladem krokami olbrzyma, szeleszcząc w metalicznym poszyciu. Widać było cień olbrzyma i słycać łomot jego serca. Miała temperament.

*

Melodia się zmieniła. Palcami lewej ręki w dalszym ciągu tłukła i przebierała w basie, podczas gdy prawa kunsztownie wygrywała bluesa. Pianistka zaczęła śpiewać twardym, świszczącym głosem, trochę zdartym, ale w jakiś sposób wzruszającym.

' W brzuchu mam rozum, Miłość moje wargi głoszą, Chcę iść na północ -Na południe nogi niosą. Psychosomatyczny spleen Mam, doktorze, ach, doktorze, Zanalizuj pan mój mózg, Zintegruj mnie pan, doktorze, Może mi to co pomoże Na mój psychosomatyczny spleen*.

Frazowała piosenkę z dekadencckim wyczuciem. Śpiew mi się nie podobał, lecz zasługiwał na lepsze audytorium niż roztrajkotani goście za moimi plecami.

Przełożyła Ewa Życieńska.

Gdy skończyła, zacząłem bić brawo i zamówiłem dla artystki następną kolejkę. Podeszła ze szklanką i usiadła przy moim stoliku. Miała ciało jak figurka z Tanagry, drobne i nieskazitelne, zawieszona w czasie gdzieś między dwudziestką i trzydziestką.

- Podoba ci się moja muzyka - stwierdziła. Schyliła głowę i popatrzyła na mnie unosząc wzrok w zmanierowany sposób kobiety dumnej ze swoich oczu. Ich nakrapiane brązem tęczówki były nieześrodkowane, niepokojące.

- Powinnaś grać na Pięćdziesiątej Drugiej ulicy.

- Nie myśl, że nie grałam. Ale chyba dawno już tam nie byłeś? Teraz ta ulica zeszła na psy.

- Tutaj nie płaci się za muzykę. Splajtują, Wszystko na to wskazuje. Kto jest właścicielem?

- Mój znajomy. Masz papierosa?

Kiedy podałem jej ogień, zaciągnęła się głęboko. Jej twarz nieświadomie zdradzała oczekiwanie na moment uniesienia, a gdy nie nadszedł, lekko zwiotczała. Była niemowlęciem o twarzy bez wieku, ssącym pustą butelkę. Obrzeżenia nozdrzy miała bezkrwiste, białe jak śnieg, a nie było to freudowskie przejęzyczenie.

- Na imię mi Lew - powiedziałem. - Musiałem gdzieś o tobie słyszeć.

- Nazywam się Betty Fraley. - To stwierdzenie zawierało margines żalu, podobny do wąskiej czarnej obwódki na karcie. Nazwisko nic nie mówiące jej mówiło bardzo dużo.

- Przypominam sobie - zełgałem już śmieiej. - Miałaś pecha, Betty. - Wszyscy amatorzy prochów są naznaczeni stygmatem pecha,

- Jeszcze jakiego. Dwa lata kicia, i bez fortepianu. Stukanie w ścianę to było mormorando. Zdołali dowieść tyle, że sama tego potrzebuję. Mówili, że zamykają mnie dla mojego dobra. Dla ich dobra! Szukali rozgłosu, a moje nazwisko było znane. Nie jest już znane i jeśli

75

kiedy wyleczę się z nałogu, to nie z pomocą glin. -Wykrzywiła czerwone wargi zaciśnięte na wilgotnym czerwonym koniuszku papierosa. — Dwa lata bez fortepianu.

- Mimo braku wprawy dobrze sobie radzisz.

- Nie bujasz? Szkoda, żeś mnie nie słyszał w Chicago, w moim najlepszym okresie. Wzlatywałam z fortepianem pod sufit i zwisałam na klawiaturze. Może słuchałeś moich płyt?

- Kto ich nie słuchał?

- Były takie, jak mówię?

- Wspaniałe! Wariuję na ich punkcie.

Ale nie za bardzo lubiłem gorący fortepian, więc użyłem niewłaściwych słów bądź też przesadziłem z pochwałami.

Gorzki wyraz jej ust udzielił się oczom i głosowi.

- Nie wierzę ci. Wymień jedną płytę.

- To było tak dawno temu.
- Podobały ci się moje Gin Mili Blues?
- Bardzo - odrzekłem z ulgą. - Robisz to lepiej niż Sullivan.
- Kłamiesz, Lew. Tego nigdy nie nagrywałam. Dlaczego tak mnie ciągniesz za język?
- Podoba mi się twoja muzyka.
- Terefere. Pewno jesteś głuchy jak pień. - Uporczywie wpatrywała mi się w twarz. Zmienne oczy miały źrenice twarde, lśniące jak diament. - Wiesz, że mógłbyś być gliną. Nie jesteś w tym typie, ale tak jakoś podchodzisz do różnych rzeczy, niby ich chcesz, choć ci się nie podobają. Masz oczy gliniarza, które chętnie widzą, jak się ludziom zadaje ból.
- Nie denerwuj się, Betty. Domyślasz się tylko połowy. Nie lubię patrzeć, jak się ludziom zadaje ból, ale jestem gliną.
- Od narkotyków? - Na jej twarzy odmalował się blady strach.
- Nic w tym guście. Prywatnym gliną. Niczego od ciebie nie chcę. Tak się składa, że podoba mi się twoja muzyka.
- Kłamiesz. - Mimo nienawiści i przerażenia nadal mówiła szeptem. Jej głos szeleścił sucho. - To ty odebrałaś u Fay telefon i podałaś się za Troya. Czego szukasz?
- Mężczyzny nazwiskiem Sampson. Nie tłumacz mi, żeś o nim nie słyszała. Boś słyszała.
- Nigdy w życiu.
- Co innego mówiłaś przez telefon.
- Zgoda. Więc widywałam go tutaj jak tylu innych. Czy dlatego mam być jego niańką? Czemu przychodzisz do mnie? Dla mnie to po prostu jeszcze jeden stały bywalec.
- To ty podeszłaś do mnie. Pamiętasz? Pochyliła się w moją stronę roztaczając nienawiść jak pole magnetyczne.
- Wynoś się stąd i nie wracaj.
- Zostaję.
- Też coś. - Gwałtownym ruchem białej ręki przywołała kelnera, który nadbiegł

klusem. -Idź po Puddle-ra. Ten dureń to prywatny gliniarz.

Przyglądał mi się niezdecydowanie, skubiąc granatowoczną twarz.

- Wolnego - powiedziałem.

Wstała i podeszła do drzwi za fortepianem.

- Puddler! - Wszystkie głowy na sali poderwały się w górę.

Drzwi otwarły się natychmiast i na salę wkroczył mężczyzna w szkarłatnej koszuli.

Jego małe oczka biegały na boki, wypatrując rozróbny.

Wskazała na mnie palcem.

- Wyprowadź go i daj mu wycisk. To tajniak, chciał mnie pociągnąć za język.

Zdażyłbym uciec, ale zabrakło mi ochoty. Trzy razy spływać to jak na jeden dzień za dużo. Wyszedłem mu na spotkanie i oberwałem jak gówniarz. Uderzona

77

76

głowa odskoczyła z lekkością piłki. Spróbowałem wymierzyć cios prawą. Zasłonił się przedramieniem i natarł.

Jego tępe oczka spojrzwały w inną stronę. Miałem zabawne wrażenie, że mnie nie poznają. Jedną pięścią oberwałem w żołądek. Opuściłem gardę. Druga wylądowała na szyi pod uchem.

Potknąłem się o estradę i poleciałem na fortepian. Rozległ się brzękliwy dysonans i moją świadomość pochłonął olbrzymi cień.

Rozdział 11

Na dnie czarnego pudła bezradny człowieczek siedział oparty plecami o coś twardego. Coś równie twardego waliło go po twarzy. Najpierw w jeden policzek, potem w drugi. Za każdym razem uderzał głową o twardą powierzchnię z tyłu. Cios, a po nim uderzenie -w przykry sposób następujące po sobie - powtarzały się z monotonną regularnością przez dłuższy czas. Ilekroć pięść przybliżała się do szczęki, bezradny człowieczek bezradnie kłapał na nią bolącymi zębami. Ręce jednak zwisały mu spokojnie po bokach. Nogi były wyjątkowo bezwładne i jakby oderwane od ciała.

Wysoki cień zamajaczył u wylotu zaułka, przez chwilę stał na jednej nodze jak

bocian, potem groteskowo pokuśtykał w naszym kierunku. Puddler, zbyt zajęty swoją robotą, wcale tego nie zauważył. Cień wyprostował się za jego plecami i wyrzucił jedno ramię wysoko w powietrze. Opadło, biorąc zamach ciemnym przedmiotem, Przedmiot ten z wesołym trzaskiem, podobnym do tłuczenia włoskich orzechów, wylądował na głowie Puddlera i rzucił go przede mną na klęczki. W jego oczach nie mogłem wyczytać żadnej myśli, bo widać było tylko białka. Przewróciłem go na wznak.

Alan Taggert włożył but i przykucnął koło mnie.

- Lepiej stąd spłyńmy. Nie uderzyłem go bardzo mocno.

- Niech mnie pan zawiadomi, kiedy będzie miało być mocno. Chciałbym to zobaczyć.

Wargi miałem obrzmiałe. Nogi wydawały się odległymi, zbuntowanymi koloniami mojego ciała. Ustanowiłem nad nimi władzę i wstałem. Dobrze, że nie mogłem utrzymać się tylko na jednej, bo kopnąłbym mężczyznę leżącego na chodniku i później bym tego żałował - po latach.

Taggert chwycił mnie za ramię i pociągnął do wylotu zaułka. Taksówka z otwartymi drzwiczkami czekała przy krawężniku. Po przeciwnej stronie ulicy stiukowe wejście do Szalonego Fortepianu świeciło pustkami. Wepchnął mnie do wozu i sam wsiadł także.

- Gdzie pan chce jechać?

Przez mgnienie oka nie miałem w głowie nic. Później wypełnił ją gniew.

- Do domu i do łóżka, ale tam nie pojedę. Do Swifta na Bulwarze Hollywoodzkim.

- Już zamknięty - powiedział kierowca.

- Zostawiłem wóz na parkingu. - A w samochodzie miałem rewolwer.

Dopiero w połowie drogi zacząłem myślni nadążać za tym, co mówiłem.

- Skąd się pan tam wziął? - zapytałem Taggerta.

- Spadłem z nieba.

- Tylko bez głupich żartów - warknąłem. - Nie jestem w nastroju.

- Przepraszam - odrzekł poważnie, - Szukałem Sampsona. Jest tam taka knajpa, Szalony Fortepian. Byłem w niej raz z Sampsonem, więc pomyślałem, że o niego

zapytam.

- I ja chciałem zrobić to samo. Widział pan, jaką dostałem odpowiedź.

- Jakim cudem pan tam trafił? Nie stać mnie było na wyjaśnienia.

79

78

- Wpadłem. A potem wypadłem.

- Widziałem, jak pan wypada.

- Szedłem na własnych nogach?

- Mniej więcej. Korzystał pan z pomocy. Czekałem w taksówce, żeby zobaczyć, co będzie dalej. Kiedy pięściarz wciągnął pana w zaułek, ruszyłem za wami.

- Jeszcze panu nie podziękowałem.

- Mniejsza z tym. - Pochyliwszy się ku mnie zapytał szeptem pełnym przejęcia. -

Naprawdę myśli pan, że to porwanie?

- W tej chwili nie myśli mi się najlepiej, Coś takiego przychodziło mi do głowy, kiedy miewałem różne pomysły.

- Któż mógłby go porwać?

- Jest kobieta nazwiskiem Estabrook - odparłem. -Mężczyzna nazwiskiem Troy. Zna go pan?

- Nie. Ale słyszałem o tej Estabrook. Była z Sampsonem w Newadzie ze dwa miesiące temu. *

- W jakim charakterze? - Moja rozkwaszona gęba zapragnęła wykrzywić się złośliwie. Pozwoliłem jej na to.

- Nie jestem pewny. Pojechała tam samochodem. Samolot się popsuł, więc zostałem w Los Angeles. Nie widziałem jej, ale Sampson mi o niej wspominał. O ile wiem, przesiadywali na słońcu rozmawiając o religii. Wydaje mi się, że to kumpelka tego świątobliwego Claude'a. Tego, któremu Sampson podarował górę.

- Trzeba było powiedzieć mi o tym wcześniej. To jej fotografię panu pokazywałem.

- Nie wiedziałem.

- Teraz to już nieważne. Spędziłem z nią wieczór. Z nią właśnie byłem w Valerio.

- Naprawdę? - Sprawiał wrażenie zdziwionego. -Wie, gdzie jest Sampson?

- Może i wie, ale nie mówi. Zamierzam złożyć jej jeszcze jedną wizytę. Przydałby mi się ktoś do pomocy, W jej domu traktują ludzi dość brutalnie,

- Dobra - zgodził się Taggert.

Nadal miałem zwolnione reakcje, więc pozwoliłem mu prowadzić. Lubił ścinać narożniki, ale wszystko szło dobrze, dopóki nie zajechaliśmy przed dom pani Estabrook. Panowały w nim ciemności. Buick zniknął z podjazdu, garaż był pusty. Zastukałem do drzwi frontowych lufą rewolweru. Żadnej odpowiedzi.

- Widocznie nabrała podejrzeń - powiedział Taggert.

- Włamiemy się.

Ale drzwi były zaryglowane i jak dla nas za solidne. Obeszliśmy dom od tyłu. Na podwórku potknąłem się

O coś gładkiego i obłego. Okazało się to butelką pn piwie.

- Spokojnie, stary - rzekł Taggert głosem Rovera Boya. Wyglądało, że dobrze się bawi.

Z młodzieńczą werwą rzucił się na drzwi kuchenne. Kiedy napaarliśmy razem, odłupały się koło zamka

I ustąpiły. Przez kuchnię przedostaliśmy się do ciemnego hallu.

- Nie ma pan rewolweru? - zapytałem.

- Nie.

- Ale umie się pan nim posłużyć?

- Oczywiście. Wolę pistolet maszynowy - dorzucił z przechwałką.

Wręczyłem mu swój automatyczny.

- Musi panu wystarczyć. - Odsunąłem rygiel drzwi frontowych i lekko je uchylilem. -

W razie gdyby ktoś nadszedł, proszę mnie zawiadomić. Niech się pan nie pokazuje.

Zajął stanowisko przy szparze z wielką powagą niczym nowy wartownik przed pałacem Buckingham. Zlustrowałem salon, jadalnię, kuchnię i łazienkę, zapalając i gasząc światła. Nic się tam nie zmieniło od mojej ostatniej bytności. Drobną zmianą zaszła tylko w sypialni.

W drugiej szufladzie komody nie znajdowało się

6 -Ruchomy cel

81

80

mianowicie nic prócz pończoch. I starej koperty, pustej, naddartej, która leżała zmięta w rogu za pończochami. Była adresowana do pani Estabrook i pod tym adresem przebywałem obecnie. Na odwrocie ktoś nabazgrał ołówkiem kilka słów i liczb: Śred. brutto \$ 2000. Śred. wydatki (Maks) \$ 500. Śred. netto \$ 1500. Maj - 1500x31^46 500 minus 6500 (nagle patrz.) - 40000; -42|PP. - 20 000.

Wyglądało to na skreślony z grubsza prospekt wybitnie dochodowego przedsiębiorstwa. Jedno wiedziałem na pewno: Szalony Fortepian nie przynosił takich zysków.

Jeszcze raz obróciłem w palcach kopertę. Była ostemplowana 30 kwietnia, czyli przed tygodniem, w Santa Maria. Nie zdążyło to dotrzeć do mojej świadomości, gdy usłyszałem donośny warkot silnika na drodze. Szybko zgasłem lampę i wycofałem się do hallu.

Fala białego światła obmyła front domu, przeciekając przez szparę w drzwiach, w której stał Taggert.

- Proszę pana! - szepnął ochryple.

A potem zrobił rzecz dowodzącą odwagi i głupoty. Wyszedł na werandę, w pełny blask, i strzelił.

- Chwileczkę - odezwałem się trochę za późno. Kula zabębniła o metal i rykoszetowała ze skowytym. Strzał pozostał bez odpowiedzi.

Odepchnąwszy łokciem Taggerta, zbiegłem w dół po schodach. Ciężarówka z zamkniętą budą wycofywała się pośpiesznie z podjazdu. Pognałem przez trawnik i dogoniłem ją na drodze, zanim zdołała nabrać prędkości. Okienko z prawej strony szoferki było otwarte. Zaczepiłem się o nie ramieniem, a jedną stopą natrafiłem na błotnik. Chuda i blada trupia twarzyczka obróciła się do mnie znad kierownicy, z błyskiem małych, przerażonych oczu. Ciężarówka zahamowała, jakby wyrznęła w mur. Puściłem się i upadłem na drogę.

Kierowca cofnął wóz, ze zgrzytem zmienił biegi i ruszył w moją stronę, zanim poderwałem się z klęczek. Jaskrawe światła

zahipnotyzowały mnie na sekundę. Koła zbliżały się z łoskotem. Zrozumiałem, o co mu chodzi, i rzuciłem się w bok, przetaczając przez krawężnik. Ciężarówka niezdarnie przejechała nad miejscem, gdzie przed chwilą leżałem, i dalej ulicą, a warkot silnika nabierał wysokości i mocy. Numer rejestracyjny, jeśli w ogóle go miała, nie był oświetlony. Tylne drzwi nie miały okienka.

Kiedy dotarłem do mojego samochodu, Taggert uruchomił już silnik. Wypchnąłem go zza kierownicy i podążyłem śladem ciężarówki. Zniknęła nam z oczu przy wjeździe na Bulwar Zachodzącego Słońca. Nie dało się odgadnąć, czy skręciła w stronę gór, czy też morza.

Zwróciłem się do Taggerta, który siedział dość smętnie, z rewolwerem na kolanach.

- Niech pan nie strzela, kiedy tego zabraniam.

- Zabronił pan zbyt późno. Zresztą celowałem wyżej niż głowa kierowcy, żeby wykurzyć go z szoferki.

- Próbował mnie przejechać. Gdyby nie zawiódł pan zaufania i nie strzelił, nie byłby uciekł.

- Przepraszam - powiedział skruszony. - Widocznie ręce mnie zaświerbiły. - Podał mi rewolwer, trzymając go za lufę.

- Puśćmy to w niepamięć. - Skręciłem w lewo, do miasta. - Przyjrzał się pan dobrze tej ciężarówce?

- Była chyba z nadwyżek wojskowych, taka, w jakich przewozili personel.

Pomalowana na czarno, prawda?

- Na granatowo. A kierowca?

- Nie widziałem wyraźnie. Miał czapkę z daszkiem, tyle tylko mogłem zobaczyć.

- Nie dojrzał pan tablicy rejestracyjnej z przodu?

- Bo chyba jej nie miał.

- Wielka szkoda - powiedziałem. - Istnieje cień możliwości, że Sampson siedział w tej ciężarówce. Przed chwilą albo kiedyś wcześniej.

82

83

- Naprawdę? Uważa pan, że powinniśmy zawiadomić policję?

- Chyba tak. Ale najpierw będę musiał porozmawiać z panią Sampson. Dzwonił pan do niej?

- Nie mogłem się dodzwonić. Zażyła proszki nasenne przed moim telefonem. Bez nich nie sypia.

- Wobec tego zobaczę ją rano.

- Poleci pan z nami?

- Pojadę. Najpierw chcę coś załatwić.

- Co takiego?

- Drobną sprawę prywatną - uciąłem.

Zamilkł. Nie miałem ochoty rozmawiać. Zbliżał się świt. Ciemnoczerwona chmura nad miastem zaczynała blednąć po brzegach. Ruch prywatnych samochodów i taksówek kursujących późną nocą zmalał niemal do zera, wyruszały teraz na trasę poranne ciężarówki. Rozglądałem się za granatową budą z nadwyżek wojskowych, ale na próżno.

Podrzuciwszy Taggerta do Valerio wróciłem do domu. Na progu czekała butelka mleka. Zabrałem ją sobie do towarzystwa. Elektryczny zegar w kuchni wskazywał dwadzieścia po czwartej. Znalazłem pudełko ostryg w zamrażalniku i ugotowałem je na śniadanie. Moja żona nigdy ich nie lubiła. Teraz mogłem siedzieć przy stole kuchennym o dowolnej porze dnia czy nocy i zajadać się do woli ostrygami, podbudowywać swoją męskość.

Rozebrałem się i położyłem nie patrząc na puste bliźniacze łóżko pod przeciwległą ścianą. W pewnym sensie byłem zadowolony, że nie muszę się nikomu tłumaczyć, co robiłem przez cały dzień.

Rozdział 12

W śródmieściu znalazłem się dopiero o dziesiątej. Peter Colton siedział przy zwykajnym biurku w swoim gabinecie. Kiedy pod nim służyłem w wywiadzie, miał 84

stopień pułkownika. Teraz otwarłem drzwi z matowego szkła, on zaś spojrzał bacznie znad pliku raportów policyjnych i natychmiast spuścił wzrok, dając do zrozumienia, że nie jestem mile widziany. Był głównym śledczym w biurze prokuratora

okręgowego, ocieężałym mężczyzną w średnim wieku, o krótko przyszczyżonych jasnych włosach i wydatnym nosie przypominającym odwrócony dziób ślizgacza. Urzędował w otynkowanej izbie z jednym oknem w stalowej ramie. Zająłem miejsce pod ścianą na niewygodnym krześle o twardym oparciu.

Po chwili skierował nos w moją stronę.

- Jaki wypadek przytrafił się temu czemuś, co w braku lepszego określenia postanowiłem nazywać twoją twarzą?

- Miałem zatarg.

- I chcesz, żebym aresztował postrach sąsiedztwa. -Kąciki ust wygięły mu się w uśmiechu. — Będziesz musiał sam staczać swoje walki, mój mały, oczywiście jeśli nie znajdzie się tam coś dla mnie.

- Motocykl i trzy gumy balonowe - odparłem kwaśno.

- Próbujesz przekupić organa sprawiedliwości trzema balonówkami? Czy nie zdajesz sobie sprawy, że mamy erę atomową, mój przyjacielu? Trzy gumy zawierają dostateczny ładunek pierwotnej energii, żeby nas wszystkich rozerwać na strzępy.

- Puścimy to w niepamięć. Miałem zatarg z szalonym fortepianem.

- I uważasz, że nie mam nic lepszego do roboty, jak zajmować się przyduszaniem szalonych fortepianów? Albo odgrywaniem wodewilowych numerów ze skonanym detektywem od spraw rozwodowych? No proszę, gadaj. Znowu chcesz coś za nic.

- Coś ci daję, Mogłoby to wyrosnąć na największą rzecz w twoim życiu.

- I oczywiście chcesz coś za to.

85

- Jeden drobiazg - przyznałem.

- Wysłuchajmy tej historii. W dwudziestu pięciu słowach.

- Twój czas nie jest aż taki cenny.

- Siedem - powiedział wspierając nos na czubku kciuka.

- Mąż mojej klientki odjechał przedwczoraj z lotniska Burbank czyjąś czarną limuzyną. Nikt nie widział go od tej pory.

- Dwadzieścia pięć.

- Zamknij się. Wczoraj dostała list napisany jego ręką z prośbą o sto kawałków w

banknotach.

- Nie ma aż tyle pieniędzy w mieście. Przynajmniej w banknotach.

- Przeciwnie. Oni je mają. Co ci przychodzi na myśl? Wyjął plik powielanych arkuszy z lewej górnej szuflady biurka i szybko przebiegł je wzrokiem.

- Porwanie? — zapytał w. roztargnieniu.

- Mnie to pachnie uprowadzeniem. Może mam węch przytępiony. Co mówi kartka prosto spod prasy?

- Żadnych czarnych limuzyn w ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin.

Właściciele limuzyn dobrze ich pilnują. Przedwczoraj, powiadasz. O której?
Podałem mu szczegóły.

- Czy twoja klientka nie cierpi na trochę spóźniony refleks?

- Jest zwariowana na punkcie dyskrecji.

- Ale chyba nie na punkcie męża. Nie zaszkodzi, jeśli mi podasz nazwisko.

- Zaraz. Powiedziałem ci, że czegoś chcę. Dwóch rzeczy. Po pierwsze, tego nie można rozgłaszać. Moja klientka nie wie, że tu jestem. Po drugie, chcę, żeby facet wrócił żywy, nie martwy.

- To mi się we łbie nie mieści, Lew. - Wstał i jak niedźwiedź w klatce przemierzał tam i na powrót przestrzeń dzielącą drzwi od okna.

- Dotrze to do ciebie oficjalnymi kanałami. Kiedy wymknie się z moich rąk. Tymczasem możesz coś zrobić.

- Dla ciebie?

- Dla siebie samego. Zaczynj sprawdzać wypożyczalnie samochodów. To numer dwa. Numer trzy to Szalony Fortepian...

- Wystarczy. - Zamachał rękami przed twarzą. -Zaczekam na raport służbowy, jeśli w ogóle wpłynie.

- Naprowadziłem cię kiedy na fałszywy trop?

- Mnóstwo razy, ale nie będziemy się w to zagłębiali. Możesz przecież trochę przesadzać.

- Po co bym miał bujać?

To tani i łatwy sposób odwalenia roboty, zaoszczędzisz sobie mnóstwo rozjazdów. -

Oczy mu się zwięzły w niebieskie szparki, z których błyskała inteligencja. -W tym okręgu jest straszna masa wypożyczalni wozów.

- Zrobiłbym to sam, ale muszę wyjechać. Ci ludzie mieszkają w Santa Teresa,

- Nazwisko?

- Czy mogę ci zaufać?

- Do pewnego stopnia. Bardziej niż ci się zdaje.

- Sampson - odrzekłem. - Ralf Sampson.

- Słyszałem o nim. I rozumiem, co masz na myśli mówiąc o stu kawałkach.

- Kłopot polega na braku pewności, co się z nim stało. Musimy poczekać.

- Powtarzasz to po raz drugi. - Obrócił się na pięcie, twarzą do okna, plecami do mnie. -Wspomniałeś także o Szalonym Fortepianie.

- Ale zanim mi powiedziałeś, że szukam kogoś, kto by tanio odwalił rozjazdy.

- Nie wmawiaj mi, że potrafię urazić twoje uczucia.

- Sprawiasz jedynie zawód - stwierdziłem. - Mam dla ciebie historię, gdzie w grę wchodzi sto kawałków gotówką i kapitał wysokości pięciu milionów. A ty się targujesz o dzień twojego cennego czasu.

- Ja zależę od moich pracodawców, Lew. - Obrócił

87

86

się do mnie raptownie. - Czy Dwight Troy macza w tym patce?

- Kto to jest Dwight Troy?

- Najgorsza zaraza. On prowadzi Szalony Fortepian.

- Zdawało mi się, że istnieją ustawy wymierzone przeciw takim lokalom. I takim ludziom. Zechciej wybaczyć moją ignorancję.

- A więc wiesz, kto to taki?

- Jeśli jest nim siwowłosy Anglik, to i owszem. -Archer skinął głową. - Raz go spotkałem. Z niewiadomej przyczyny wygrażał mi rewolwerem. Odszedłem. Nie do mnie należało odbieranie mu broni.

Colton zażenowany wzruszył szerokimi ramionami.

- Od dawna próbujemy go przyłapać. Jest gładki i obrotny. Posuwa się w swoich

machinacjach akurat tak daleko, jak daleko może sobie bezpiecznie pozwolić, potem przerzuca się na coś innego. Na początku lat trzydziestych zbijał grubą forszę na przemyśle alkoholu z Baja California, dopóki to się nie urwało. Od tego czasu miewał swoje wzloty i upadki. W pewnym okresie miał szulemię w Newadzie, ale wyparł go syndykat. Jak słyszę, ostatnio nie za wiele udaje mu się skubnąć, wciąż jednak czekamy, żeby nam wpadł w ręce.

- W trakcie czekania - powiedziałem z piekącą ironią - mógłbyś zamknąć Szalony Fortepian.

- Zamykamy go co pół roku-warknął.-Powinieneś widzieć ten lokal przed ostatnią obławą, kiedy nazywał się Kryształ Górski. Mieli na górze okienko dla podglądaczy i masochistów, do stałego repertuaru należało biczowanie mężczyzny przez kobietę i podobne numery. Z tym zrobiliśmy koniec.

- Kto prowadził go wtedy?

- Kobieta nazwiskiem Estabrook. I co się z nią stało? Nawet jej nie oskarżyli. - Prychnął gniewnie. - Nie mam żadnego wpływu na takie rzeczy. Nie jestem politykiem.

- Troy też nim nie jest - odparłem. - Wiesz, gdzie mieszka?

- Nie. To ja cię o niego pytałem, Lew.

- Istotnie. Odpowiedź jest przecząca. Ale on i Sampson obracali się częściowo w tych samych kręgach. Postąpiłbyś niegłupio, gdybyś kazał obserwować Fortepian.

- Jeśli ktoś z ludzi będzie wolny. - Nieoczekiwanie podszedł do mnie i położył mi ciężką łapę na ramieniu. - W razie gdybyś znów spotkał się z Troyem, nie próbuj odbierać mu broni. Już tego próbowali.

- Inni, ale nie ja.

- Tak - odrzekł. - Ci, co próbowali, nie żyją.

Rozdział 13

Z prędkością stu kilometrów jechało się z Los Angeles do Santa Teresa dwie godziny. Kiedy dotarłem do posiadłości Sampsonów, słońce minawszy już zenit zstępowało ku morzu pośród rozproszonych na niebie chmur, które rzucały ruchome cienie na terasy. Drzwi otworzył Feliks i poprowadził mnie do salonu.

Pokój był tak ogromny, że ciężkie meble zdawały się w nim ginać. Ścianę od strony morza, wykonaną z pojedynczej szklanej tafli, obrzeżały zasłony z włókna szklanego," podobne do pasm światła zebranych wpełki. Pani Sampson, niczym lalka naturalnych rozmiarów, siedziała w miękkim fotelu koło olbrzymiego okna. Była kompletnie ubrana, w sukni z cytrynowego jedwabnego jerseyu. Nogi w złotych pantoflach spoczywały na podnóżku. Wyblakłe włosy miała starannie uczesane. Metalowy fotel na kółkach stał koło drzwi.

Pogrążona w bezruchu i milczeniu, rozmyślnie tworzyła żywy obraz, który w miarę upływu sekund zaczynał graniczyć ze śmiesznością. Pod naporem milczenia trwającego ułamek minuty powiedziałem:

89

- Doskonale. A więc próbowała pani skontaktować się ze mną? • '

- Nie śpieszył się pan z przyjazdem. - Mahoniową twarz miała martwą, głos rozdrażniony.

- Nie moja wina. Pracowałem ciężko z pani polecenia, ale prosiłem o przekazanie mojej rady. Usłuchała jej pani?

- Częściowo. Proszę podejść bliżej i siadać. Jestem naprawdę całkiem nieszkodliwa. - Wskazała mi fotel naprzeciwko siebie.

- Jaka to była część?

~ Ja cała - odrzekła z drapieżnym uśmiechem. -Pozbawiono mnie żądła. Ale oczywiście panu chodzi o radę. Bert Graves podejmuje w tej chwili pieniądze.

- Czy był na policji?

- Jeszcze nie. Chcę z panem o tym pomówić. Ale najpierw niech pan przeczyta list.

Ze stolika do kawy wzięła kopertę i rzuciła mi na kolana. Dla porównania wyciągnąłem z kieszeni pustą kopertę znaną w szufladzie pani Estabrook.

Różniły się rozmiarem, gatunkiem papieru i charakterem pisma. Jedyne podobieństwo stanowił stempel Santa Maria. List Sampsona, zaadresowany do żony, wyjęto ze skrzynki poprzedniego dnia o wpół do piątej po południu.

- O której go pani dostała?

- Około dziewiątej wieczór. To ekspres, jak pan widzi. Proszę przeczytać.

W kopercie znajdowała się kartka zwykłego białego papieru maszynowego, zabazgrana po jednej stronie niebieskim atramentem:

„Droga Elaine!

Niespodziewanie trafił mi się interes i na gwałt potrzebuję trochę gotówki. We wspólnym depozycie w Banku Amerykańskim mamy sporo obligacji. Albert Graves będzie wiedział, które można sprzedać, i on się tym zajmie. Proszę, żebyś upłynniła dla mnie tych obligacji za sumę stu tysięcy dolarów. Nie chcę mieć banknotów większych niż pięćdziesiątki i setki. Nie dopuść, żeby w banku porobili znaki albo zanotowali numery, bo wspomniana transakcja jest tajna i niezmiernie ważna. Trzymaj pieniądze w swoim sejfie w domu i czekaj na wiadomość, którą dostaniesz niebawem, albo na posłańca z listem ode mnie, potwierdzającym tożsamość.

Będziesz oczywiście musiała zawierzyć Bertowi Cra-vesowi, ale jest sprawą największej wagi, żebyś nikomu innemu nie mówiła o tej transakcji. Jeśli powiesz, mogę się pożegnać z bardzo dużym zarobkiem, a nawet wejść w kolizję z prawem. Musi to być utrzymane w absolutnej tajemnicy przed wszystkimi. Dlatego nie zwracam się bezpośrednio do mojego banku, tylko proszę, żebyś to Ty zdobyła dla mnie pieniądze. Uwinę się z tym interesem w niecały tydzień i wkrótce Cię zobaczę. Serdeczności i nie się nie martw Ralf Sampson".

- Staranna robota - powiedziałem - ale nieprzekonująca. Powód, dla którego nie może sam pójść do banku, sprawia wrażenie naciągniętego. Co o tym myśli Graves?

- On również zwrócił na to uwagę. Jego zdaniem to sprawa z góry ukartowana. Ale, jak mówi, ja muszę podjąć decyzję.

- Ma pani absolutną pewność, że to pismo męża?

- To nie ulega wątpliwości. Zauważył pan pisownię „największej”? „Największej wagi" to jeden z jego ulubionych zwrotów i zawsze robi ten sam błąd. On nawet tak to wymawia. Ralf nie jest wykształcony.

- Chodzi o to, czy jest żywy!

Jej chłodne niebieskie oczy spoczęły na mnie z wyrazem niechęci.

- Naprawdę myśli pan, że to aż takie poważne?
- Normalnie załatwia interesy inaczej?
- Nie mam pojęcia, jak je załatwia. Właściwie wycofał się z interesów po naszym ślubie. W czasie wojny kupował i sprzedawał jakieś rancza, ale nie zwierzał mi się ze szczegółów transakcji.
- Były wśród nich transakcje nielegalne?
- Nie wiem. Ale jest do tego zdolny. To jedna z tych rzeczy, które wiążą mi ręce.
- A co jeszcze?
- Nie ufam mu - powiedziała piskliwym głosem. - Nie potrafię w żaden sposób przejrzeć jego zamiarów. Z taką masą pieniędzy może planować podróż dookoła świata. Może chce mnie rzucić. Nie wiem.
- I ja też nie wiem, ale się domyślam. Mążpani został zatrzymany dla okupu. Napisał ten list pod dyktando, z pistoletem przyłożonym do głowy. Gdyby naprawdę kroił mu się interes, nie miałby powodu pisać do pani. Jego pełnomocnikiem jest Graves, ale porywacze wolą mieć do czynienia z żoną ofiary. Ułatwia im to różne rzeczy.
- Co mam zrobić? - zapytała z wysiłkiem.
- Proszę trzymać się ściśle instrukcji, a na dodatek zawiadomić policję. Niech czuwają, chociaż nie w sposób ostentacyjny czy rzucający się w oczy. Bo wie pani, że dla porywaczy, kiedy już dostaną pieniądze, najprostszą rzeczą jest załatwić ofiarę strzałem w głowę i porzucić ciało. Trzeba go odnaleźć, zanim to się stanie, a ja sam wszystkiemu nie podolałam.
- Wydaje się pan przekonany o porwaniu. Czy dowiedział się pan czegoś, o czym ja nie wiem?
- Paru rzeczy. Sprowadzają się do tego, że mąż pani obracał się w złym towarzystwie.
- O tym wiedziałam. - Jej twarz wymknęła się na moment spod kontroli, wykrzywiła triumfalnie. - Uwielbia pozować na dobrego męża i ojca, ale mnie jeszcze na to nie nabrał.
- Obraca się w bardzo złym towarzystwie - powtórzyłem z naciskiem. - Najgorszym w Los Angeles, a to znaczy najgorszym w ogóle.

- Zawsze gustował w podejrzanej kompanii... -Urwała raptownie, spoglądając na drzwi za moimi plecami.

Stała w nich Miranda. W szarym gabardynowym kostiumie podkreślającym jej wzrost, z miedzianymi włosami upiętymi na czubku głowy wyglądała na starszą siostrę dziewczyny, którą wczoraj poznałem. Ale oczy miała rozszerzone wściekłością, a słowa płynęły z jej ust niepowstrzymanym strumieniem.

- Ośmielasz się mówić tak o moim ojcu! Może jest umierający, a tobie zależy tylko na tym, żeby udowodnić mu winę.

- Czy tylko o to mi chodzi, kochanie? - Brązowa twarz była znów niewzruszona. Drgały jedynie blade oczy i starannie umalowane usta.

- Nie mów mi „kochanie”. - Miranda podeszła do nas gwałtownym krokiem. Nawet w złości ciało jej miało wdzięk młodej kotki. Pokazała pazury'. - Chodzi ci tylko o twoją własną osobę. Jesteś najbardziej zakochaną w sobie kobietą, jaką zdarzyło mi się spotkać, Elaine. Ta twoja bezmierna próżność, te stroje i loki, i specjalny fryzjer, i dieta... to wszystko tylko dla ciebie, prawda?... Żebyś mogła dalej kochać siebie samą. Na pewno nie oczekujesz, że ktoś jeszcze będzie cię kochał.

- Bez wątplenia nie ty - odrzekła chłodno starsza kobieta. - Ta myśl jest dla mnie odrażająca. Ale na czym tobie zależy, moja droga? Może na Alanie Tagger-cie? Wydaje mi się, że spędziłaś z nim ubiegłą noc.

- Nieprawda, kłamiesz.

Stała nad macochą, zwrócona do mnie plecami. Byłem zakłopotany, ale nie ruszyłem się z miejsca i siedziałem dalej na brzeżku fotela. Nieraz widywałem, jak słowne utarczki przybierają gwałtowny obrót.

93

92

- Czy Alan znów wystawił cię do wiatru? Kiedy się z tobą ożeni?

- Nigdy! Ja bym go nie chciała. - Głos Mirandy się załamywał. Była za młoda i zbyt wrażliwa na takie klótnie. - Łatwo ci się śmiać ze mnie. Tobie nigdy na nikim nie zależało. Jesteś oziębła, zimna jak ryba. Mój ojciec nie byłby Bóg wie gdzie, gdybyś okazała mu trochę uczucia. Ty go zmusiłaś do przyjazdu tutaj, do Kalifornii, gdzie

jest z dala od wszystkich swoich przyjaciół, a teraz wygnałaś go z jego własnego domu,

- Bzdura! - Jednakże pani Sampson zdradzała oznaki napięcia. - Chcę, żebyś to sobie przemyślała, Mirando. Nienawidziłaś mnie od początku i zawsze stawałaś po przeciwnej stronie, czy miałam rację, czy jej nie miałam. Twój brat był wobec mnie sprawiedliwszy.

- Nie mieszaj w to Boba. Wiem, że miałaś go pod pantoflem, ale to ci nie przynosi zaszczytu. Schlebiało twojej próżności, że pasierb skacze dokoła ciebie na dwóch łapkach, prawda?

- Dość - powiedziała pani Sampson ochryple. -Wyjdź z pokoju, ty podła dziewczyno. Miranda nie wykonała żadnego ruchu, ale zamilkła. Obróciłem się w fotelu i wyjrzałem przez okno. Poniżej trawnika pociętego terasami kamienna ścieżka zbiegała do pergoli stojącej na krawędzi nadmorskiego urwiska. Mały ośmiokątny budyneczek ze stożkowatym dachem był cały przeszkłony i przezroczysty, widziałem więc na dalszym planie zmienne barwy oceanu: zieleń i biel tam, gdzie zaczynała się załamywać przybrzeżna fala, szalwiowomiodowy kolor w strefie wodorostów nieco dalej, a potem błękit głębin morskiej przechodzący w błękit nieba na horyzoncie. Uwagę moją przykuło nieoczekiwane poruszenie za pasem bieli, na linii załamania fal. Mały czarny krążek prześliznął się po powierzchni, chwilę przeskakiwał z fali na falę i znikł mi z oczu. Zaraz potem w ślad za nim podążył drugi. Ślizgające się przedmioty wylatywały

94

z miejsca ukrytego za stromym urwiskiem położonego zbyt blisko brzegu, żeby je widzieć. Sześć czy siedem krążków poskakało na wodzie, zatoneło i więcej się nie pokazało. Niechętnie zwróciłem się twarzą do ogarniętego milczeniem pokoju.

Miranda wciąż stała nad fotelem tamtej kobiety, ale w postawie jej zaszła zmiana, ciało utraciło sztywność. Jedną rękę bez gniewu wyciągała do macochy.

- Przepraszam, Elaine.

Nie mogłem dojrzeć jej twarzy. Widziałem za to twarz pani Sampson. Miała zacięty, przebiegły wyraz.

- Zraniłaś mnie - powiedziała. — Nie możesz oczekiwać przebaczenia.
- Ty także mnie ranisz - ze łzami w głosie odparła Miranda. - Nie powinnaś wytykać mi Alana.
- To mu się nie narzucaj. Zresztą nie o to mi chodzi i dobrze wiesz o tym. Uważam, że powinnaś wyjść za niego. Chcesz tego, prawda?
- Tak. Ale znasz nastawienie ojca. Nie mówiąc już o Alanie.
- Ty się zajmij Alanem - poradziła pani Sampson niemal wesoło - a ja się zajmę twoim ojcem.
- Naprawdę?
- Daję słowo. A teraz idź już, proszę. Jestem potwornie zmęczona. - Spojrzała na mnie. - Wszystko to musiało być bardzo pouczające dla pana Archera.
- Przepraszam, nie dosłyszałem. Podziwiałem widok z pani okna.
- Prześliczny, prawda? - Zawołała na Mirandę, która wychodziła już z salonu. - Zostań, jeśli masz ochotę, kochanie. Pojadę na górę.

Uniosła srebrny dzwonek stojący na stoliku obok fotela. Nagły dźwięk zabrzmiał jak gong po zakończeniu rundy. Miranda dopełniła obrazu siadając z odwróconą twarzą w odległym kącie pokoju.

- Pokazałyśmy się panu od najgorszej strony - po-

95

wiedziała pani Sampson. - Proszę nas według tego nie sądzić. Zdecydowałam się posłuchać pańskiej rady.

- Czy mam zawiadomić policję?
- Zrobi to Bert Graves. Zna wszystkie miejscowe władze. Powinien tu być lada chwila.

. Pani Kromberg wkroczyła do salonu i popchnęła fotel na kółkach po dywanie. Prawie bez wysiłku przeniosła na niego panią Sampson. Oddaliły się bez słowa. Elektryczny silnik zamruczał w głębi domu, kiedy pani Sampson wstępowała do nieba.

Rozdział 14

Usiadłem koło Mirandy na kanapie w rogu pokoju. Nie chciała na mnie patrzeć.

- Pewno wydałyśmy się panu straszne - powiedziała. - Żeby się tak kłócić w czyjejs obecności,

- Wygląda na to, że macie powód do kłótni.

- Doprawdy nie wiem. Elaine potrafi być czasem bardzo miła, ale mnie chyba nigdy nie mogła ścierpieć. Jej ulubieńcom był Bob. Wie pan, to mój brat.

- Poległ na wojnie?

- Tak. Miał to wszystko, czego mnie brakuje. Był silny, opanowany i jak się za coś zabrał, potrafił to zrobić. Przyznali mu pośmiertnie Marynarski Krzyż Walecznych. Elaine wielbiła ziemię, po której stapał. Zastanawiałam się chwilami, czy nie jest w nim zakochana. Ale oczywiście kochaliśmy go wszyscy. Nasza rodzina nie jest już ta sama od jego śmierci i od przyjazdu tutaj. Ojciec się rozkleił, Elaine zafundowała sobie ten niby-paraliż, mnie poplątało się w głowie. Ale gadam o wiele za dużo, prawda? Czarującym gestem zwróciła ku mnie twarz. Usta miała delikatne i drżące, wielkie oczy pogrążone w zadumie.

- Nic nie szkodzi.

- Dziękuję - powiedziała z uśmiechem. - Jak pan

widzi, nie mam z kim porozmawiać. Wydawało mi się, że to szczęście być córką tak bogatego ojca. Zachowywałam się bezczelnie... i może jeszcze to robię. Ale przekonałam się, że pieniądze mogą odgradzić od ludzi. Brak nam tej niezbędnej rzeczy, żeby uczestniczyć w życiu towarzyskim Santa Teresa, należeć do międzynarodowych kręgów hollywoodzkich, i nie mamy tutaj przyjaciół. Chyba nie powinnam winić Elaine, ale to ona nalegała w czasie wojny, żebyśmy się tu przenieśli. Ja popełniłam błąd rzucając szkołę.

- Którą?

- Radcliffe. Nie za bardzo potrafiłam się przystosować, ale miałam przyjaciół w Bostonie. Wywalili mnie w zeszłym roku za niesubordynację. Powinnam była wrócić. Przyjęliby mnie, ale duma nie pozwalała przeprosić. I nadmierne zadufanie w sobie. Wydawało mi się, że będę mogła mieszkać z ojcem, a on starał się być dla mnie dobry, ale nic z tego nie wyszło. Od lat źle żyją z Elaine. W domu zawsze wyczuwa się napięcie. A teraz coś mu się stało.

- Odnajdziemy go - zapewniłem. Miałem jednak wrażenie, że powinienem zachować rezerwę. - Zresztą ma pani innych przyjaciół. Na przykład Alana i Berta.

- Alanowi wcale na mnie nie zależy. Kiedyś sądziłam, że tak... nie, nie chcę o nim mówić. Bert Graves też nie jest moim przyjacielem, Chce się ze mną ożenić, a to duża różnica. Nie mogę się czuć swobodnie w obecności człowieka, który chce się ze mną ożenić.

- Wszystko wskazuje na to, że panią kocha.

- Wiem, że mnie kocha. - Uniosła zaokrąglony, dumny podbródek. - Dlatego nie mogę być swobodna w jego towarzystwie-1 dlatego mnie nudzi.

- Żąda pani strasznie dużo. - A ja gadałem strasznie dużo, gadałem jak bohaterowie Milesa Standisha*. -

* Poemat amerykańskiego poety Henry'ego Wads-wortha Longfellowa (1807-1882).

7 - Ruchomy cel

96

Sprawy nigdy nie układają się idealnie, żebyśmy nie wiem jak próbowali wpływać na ich bieg. Jest pani romantyczką i egotystką. Pewnego dnia spadnie pani z obłoków na ziemię z taką siłą, że przypuszczalnie skończy się to skruceniem karku. Albo przełomem w pani osobowości, na co zresztą liczę.

- Mówiłam panu, że zachowuję się bezczelnie -powiedziała zbyt lekko i swobodnie. - Czy należy się coś za diagnozę?

- Proszę teraz nie zachowywać się tak w stosunku do mnie. Już raz to pani zrobiła. Otworzyła oczy bardzo szeroko, z udaną skromnością.

- Całując pana wczoraj?

- Nie będę twierdził, że to było przykre. Bo nie było. Ale się zezłościłem. Nie znoszę, jak mnie ktoś używa do swoich celów.

- A jakież były te moje zbrodnicze cele?

- Nie zbrodnicze. Pensjonarskie. Powinna pani wpaść na lepszy pomysł zwrócenia uwagi Taggerta.

- Jego prośbę w to nie mieszać. - Ton jej głosu zadźwięczał ostro, lecz zmiękł po chwili. - Bardzo był pan zły?

- O taki.

Chwyciłem ją za ramiona, wargami przylgnałem do ust, rozchylnych, gorących. Jej ciało było chłodne i jędrne. Nie stawiała oporu ani nie odwzajemniała uścisku.

- Sprawilo to panu satysfakcje? - zapytala, kiedy ja pusciłem.

Zajrzałem w szeroko rozwarte zielone oczy. Były szczere i powazne, ale kryły się w nich mroczne głębie. Ciekawilo mnie, co się dzieje w tych morskich toniach, i od jak dawna,

- Było balsamem na moją jaźń. Roześmiała się.

98

- A w każdym razie na pańskie wargi, Uszminkował się pan.

Otarłem usta chusteczką.

- Ile pani ma lat?

- Dwadzieścia. Wystarczy do pańskich zbrodniczych zamiarów. Uważa pan, że zachowuję się jak dziecko?

- Jest pani kobietą. - Umyślnie otaksowałem jej figurę: krągłe piersi, dobra postawa, biodra zaokrąglone, proste, toczono nogi. Aż się skrzyła. - A z tym się wiąże pewna odpowiedzialność.

- Wiem. - W jej głosie ostro zadźwięczał wyrzut skierowany pod własnym adresem. - Nie powinnam miotać się tak na wszystkie strony. Napatrzył się pan tak zwanego życia, prawda?

Było to dziewczęce pytanie, ale odpowiedziałem z powagą:

- Aż za dużo, i to od jednej strony. Z tego się utrzymuję.

- Ja widziałam chyba za mało. Przepraszam, że z mojej winy się pan rozzłościł.

Wtem nachyliła się i bardzo delikatnie pocałowała mnie w policzek.

Poczułem zawód, bo tak siostrzenica mogłaby całować swojego wuja. No cóż, byłem od niej o piętnaście lat starszy. Ale prędko się pocieszyłem. Bert Graves był starszy o lat dwadzieścia.

Na podjeździe zawarczał samochód, potem ruch zapanował w domu.

- Teraz to musi być Bert - powiedziała.

Dzieliła nas przyzwoita odległość, kiedy wszedł do pokoju. Mimo to, zanim zdołał

zapanować nad wyrazem twarzy, rzucił mi jedno spojrzenie, skryte i pytające, i urażone. Nawet później na czole pozostały mu pionowe zmarszczki niepokoju. Wyglądał na niewyspanego, ale poruszał się szybko i zdecydowanie, zwinnie jak na człowieka tej tuszy. Przynajmniej ciałem

99

chętnie wkroczył do akcji. Przywitał się z Mirandą i zwrócił w moją stronę.

- Co powiesz, Lew?

- Podjąłeś pieniądze?

Wyciągnął spod pachy teczkę z cielejącej skóry, otworzył ją kluczykiem i wyrzucił zawartość na stolik do kawy - dwanaście albo i więcej podłużnych paczek, owiniętych w bury papier bankowy i związanych razem czerwoną taśmą.

- Sto tysięcy dolarów - rzekł. - Tysiąc pięćdziesiątek i pięćset setek. Bóg raczy wiedzieć, co z tym zrobimy.

- Na razie włóż je do sejf. Podobno jest w domu, prawda?

- Tak - odrzekła Miranda, - W gabinecie ojca. Szyfr znajdziecie w jego biurku.

- I jeszcze coś. Ktoś musi czuwać nad tymi pieniędzmi i nad domownikami.

Graves obrócił się do mnie trzymając brunatne paki-ry w rękę.

- A ty?

- Mnie tu nie będzie. Sprowadź któregoś z zastępców szeryfa. Po to przecież są.

- Pani Sampson nie pozwoliłaby ich wezwać.

- Teraz pozwoli. Chce, żebyś całą tę sprawę przekazał policji.

- Doskonale! Zaczyna myśleć rozsądnie. Schowam to i już dzwonię.

- Porozmawiaj z nimi osobiście, Bert.

- Dlaczego?

- Bo to mi wygląda na robotę kogoś z domowników -odparłem. - Ktoś tutaj mógłby się zainteresować rozmową przez telefon.

- Wyprzedzasz mnie w domysłach, ale rozumiem, o co -ci chodzi. List świadczy o znajomości różnych szczegółów, które mogli albo i nie mogli wydobyć od Sampsona. Zakładając, że są jacyś „oni” i że go porwano.

100

- Przyjmiemy to założenie, dopóki nie nasunie się jakieś inne. I, na litość boską, nie pozwól, żeby gliny były nadgorliwe. Nie stać nas na spłoszenie porywaczy. Jeśli chcemy zobaczyć Sampsona żywego.
- To rozumiem. A ty gdzie będziesz?
- Tę kopertę wrzucono do skrzynki w Santa Maria. -Nie pofatygowałem się, żeby mu powiedzieć o drugiej kopercie, którą miałem w kieszeni. - Istnieje szansa, że tam przebywa i załatwia legalne interesy. Albo też nielegalne. Więc jadę.
- Nigdy nie słyszałem, żeby tam robił interesy. Ale może warto sprawdzić.
- Dowiadywałeś się na ranczu? - zapytała go Miranda.
- Dzwoniłem do rządcy dziś rano. Nie mieli wiadomości.
- Co to za ranczo? - wtrąciłem się do rozmowy.
- Ojciec ma ranczo po drugiej stronie Bakersfield. Warzywnictwo. Ale pewno teraz tam nie pojechał w związku z napiętą sytuacją.
- Strajk robotników rolnych - wyjaśnił Graves. -Strajkują od dwóch miesięcy i doszło do aktów gwałtu. Paskudna historia.
- Czy może mieć związek z naszą sprawą?
- Wątpię,
- Wiesz - odezwała się Miranda - może być w Świątyni. W czasie jego poprzedniej bytności listy przychodziły przez Santa Maria,
- W Świątyni? - Już raz albo dwa razy przedtem przyłapywałem się na tym, że z realiów tej sprawy przenoszę się w bajkę. Należało to do zawodowych niebezpieczeństw towarzyszących pracy w Kalifornii, ale dla mnie było irytujące.
- Świątynię w Chmurach dostał od niego Claude. Ojciec spędził tam parę dni wczesną wiosną. Świątynia leży w górach koło Santa Maria.
- A kto to jest Claude? - zapytałem.

101

- Mówiłem ci o nim - odrzekł Graves. - Ten świątobliwy mąż, któremu podarował .góre. Przerobił domek na coś w rodzaju świątyni.
- Claude się zgrywa - przerwała mu Miranda - Ma długie włosy, nigdy nie strzyżoną brodę i mówi, jakby nieudolnie naśladował Walta Whitmana,

- Była tam pani?

- Zawiozłam Ralfa, ale się wyniosłam, kiedy Claude zaczął gadać. Nie mogłam go ścierpieć. Brudny stary cap, z głosem syreny mgłowej i najpaskudniejszymi oczami, jakie w życiu widziałam.

- A teraz by mnie tam pani zawiozła?

- Chętnie. Wezmę tylko sweter.

Graves bezdźwięcznie poruszył wargami, jakby zamierzał protestować. Kiedy wychodziła z pokoju, obserwował ją zatroskany.

- Odstawię ją całą i zdrową do domu - obiecałem. Lepiej było trzymać język za zębami.

Ruszył na mnie z głową opuszczoną jak byk, mężczyzna rosły i wciąż jeszcze muskularny. Jego ręce sztywno zwisały u boków, pięści miał zaciśnięte.

- Posłuchaj mnie, Archer - przemówił głosem bez wyrazu. - Zetrzyj szminkę z policzka albo ja ci ją zmażę.

Próbowałem uśmiechem pokryć zakłopotanie.

- Dałbym ci radę, Bert. Mam dużą wprawę w postępowaniu z zazdrosnymi mężczyznami.

- Możliwe. Ale precz z łapami od Mirandy, bo zamaluję ci tę przystojną gębę. Potarłem lewy policzek, na którym Miranda zostawiła ślad szminki.

- Nie powinienes jej źle rozumieć...

- Przypuszczam, że to z panią Sampson tak się zabawiałeś? - Parsknął krótkim, żalonym śmiechem. - Nie zalewaj!

- To Miranda mnie pocałowała, i nie dla zabawy. Czują się przygnębiona, rozmawiałem z nią i raz mnie

102

pocałowała. Nie miało to żadnego znaczenia. Pocałunek najzupełniej dziecięcy.

- Chciałbym ci wierzyć—odparł niepewnie. - Wiesz, że szaleję na jej punkcie.

- Mówiła mi.

- Co mówiła?

- Że jesteś w niej zakochany.

- Cieszę się, że wie o tym. Chciałbym, żeby w momentach przygnębienia rozmawiała ze mną. - Uśmiechnął się z goryczą. — Jak ty to robisz, Lew?

- Nie zwracaj się do mnie ze swoimi kłopotami sercowymi. Bo na pewno zamieszam ci w głowie. Mam jednak pewną skromną radę.

- Strzelaj śmiało.

- Nie przejmuj się. Zwyczajnie się nie przejmuj. Mamy do odwalenia kawał roboty i musimy ją ciągnąć razem, Nie wchodzę ci w paradę i nawet gdybym mógł, też bym tego nie zrobił. A skoro już jestem szczery, to nie posądzam i Taggerta. Po prostu nie interesuje się Mirandą.

- Dzięki - powiedział głosem ochryłym z wysiłku. Nie należał do ludzi skłonnych wyjawiać najskrytsze uczucia. Dodał jednak żałośnie: - Jest o tyle ode mnie młodsza. Taggert jest młody i przystojny.

W hallu rozległo się ciche plaskanie stóp i w drzwiach jakby na dany sygnał stanął Taggert.

- Czy ktoś wymawiał imię moje nadaremnie? Miał na sobie tylko wilgotne spodenki kąpielowe.

Nagi, szeroki w barach, wcięty w pasie i długonogi, z mokrymi ciemnymi włosami wijącymi się na małej czaszce i z leniwym uśmiechem na ustach, mógłby pozować Grekom do posągu młodego boga. Bert Graves przyjrzał mu się z odrazą i rzekł powoli:

- Mówiłem właśnie Archerowi, że uważam pana za bardzo przystojnego mężczyznę. Uśmiech, lekko zmieniony, nie opuszczał twarzy Taggerta.

103

- To trochę dwuznaczny komplement, ale niech tam! No i cóż, panie Archer, co nowego?

- Nic - odparłem. - A ja mówiłem Gravesowi, że pan nie jest zainteresowany Mirandą.

- Święta racja - odparł niedbale. - Miła dziewczyna, ale nie dla mnie. - A teraz, jeśli panowie pozwolą, pójdę się ubrać.

- Prosimy bardzo - powiedział Graves. Ja jednak przywołałem go z powrotem.

- Chwileczkę. Ma pan broń?
- Dwa pistolety tarczowe. Trzydziestki dwójki.
- Niech pan jeden nosi przy sobie naładowany. Proszę się kręcić koło domu i mieć oczy otwarte. I nie strzelać bez namysłu.
- Dostałem nauczkę - odrzekł pogodnie. - Spodziewa się pan czegoś?
- Nie, ale jeśli coś wyskoczy, zechce pan być gotowy. Zastosuje się pan do wskazówek?
- No oczywiście.
- Niezły chłopak - stwierdził po jego odejściu Graves - ale patrzeć na niego nie mogę. Zabawne; nigdy dotąd nie byłem zazdrosny.
- A zakochany?
- Też nigdy. - Stał przytłoczony brzemieniem nieuchronności losu, egzaltacji i rozpacz. Zakochał się po raz pierwszy i ostatni w życiu, Było mi go żal.
- Chciałbym znać powód przygnębienia Mirandy. To ta historia z ojcem? - zapytał.
- W pewnym stopniu tak. Wyczuwa, że rodzina się rozlatuje. Potrzebne jej jakieś mocne oparcie.
- Wiem, że jest jej potrzebne. Między innymi dlatego chcę się z nią ożenić. Oczywiście są i inne przyczyny; nie muszę ci mówić.
- Nie musisz. - I zaryzykowałem szczerze pytanie: — Czy jedną z nich są pieniądze? Spojrzał na mnie bystrym wzrokiem. -- Miranda nie ma własnych pieniędzy.

104

- Ale będzie miała?
- Naturalnie, że będzie miała, po śmierci ojca. Spisywałem jego testament i wiem, że dostanie połowę. Nie mam nic przeciwko pieniądзом... - uśmiechnął się z przymusem - ale jeśli o to ci chodzi, nie jestem łowcą posagów.
- Nie o to mi chodzi. Ona może jednak znaleźć się w posiadaniu tych pieniędzy prędzej, niż przypuszczasz. W Los Angeles stary obracał się w wesołych i dziwnych kręgach. Czy wpominał kiedy niejaką panią Estabrook? Fay Estabrook? Albo mężczyznę nazwiskiem Troy? .
- Znasz Troya? Przy okazji, co to za facet?

- Rewolwerowiec. Słyszałem, że ma na swoim koncie morderstwa.
- Wcale się nie dziwię. Usiłowałem wytłumaczyć Sampsonowi, żeby się trzymał od niego z daleka, ale Sampson uważa, że Troy jest w porządku.
- Znasz Troya?
- Sampson przedstawił mi go w Las Vegas ze dwa miesiące temu, Odbywaliśmy rundy we trójkę i wyglądało na to, że zna go mnóstwo osób. Znali go wszyscy krupierzy, jeśli to dobra rekomendacja.
- Niedobra. Ale sam miał kiedyś dom gry w Las Vegas. Zajmował się najróżniejszymi rzeczami. I nie sądzę, żeby porwanie było poniżej jego godności. Jakim cudem Troy znalazł się w towarzystwie Sampsona?
- Odniosłem wrażenie, że wykonuje dla niego jakąś robotę, ale nie byłem pewny. To dziwny okaz. Patrzył, jak my z Sampsonem gramy, nie chciał się jednak przyłączyć. Tego wieczora przerzynałem równego tysiąca. Sampson wygrał cztery. Bogaczowi będzie dane. — Uśmiechnął się smutno.
- Może Troy chciał się pokazać od dobrej strony — podsunąłem.
- Może. Ciarki mnie oblatywały na widok tego drania. Myślisz, że macza w tym palce?

105

ciomierza utknęła między sto czterdzieści i sto czterdzieści pięć.

- Od czego pan ucieka? - zapytała drwiąco dziewczyna.
- Od niczego nie uciekam. Chce pani usłyszeć poważną odpowiedź?
- Owszem, dla odmiany.
- Lubię odrobinę niebezpieczeństwa. Nie za wielkiego, takiego, nad którym panuję. Daje mi to chyba poczucie siły, gdy ujmuję życie we własne dłonie, ale wiem na pewno, że go nie stracę.
- Chyba że złapiemy gumę.
- Nigdy nie miałem takiego wypadku.
- Proszę mi powiedzieć, czy dlatego wybrał pan ten zawód? Bo lubi pan niebezpieczeństwo?
- Powód równie dobry jak każdy inny. Tyle że nieprawdziwy.

- Więc dlaczego?
 - Odziedziczyłem tę pracę.
 - Po ojcu?
 - Po własnym młodszym wcieleniu. Za młodu sądziłem, że świat dzieli się na ludzi dobrych i złych, że odpowiedzialnością za zło można obarczyć określone osoby, a winnych ukarać, Wciąż jeszcze skłonny jestem tak uważać. I gadam za dużo.
 - Niech pan nie przestaje.
 - W głowie mi się pomieszało. Po co miałbym w niej mieszać i pani?
 - Już mam pomieszane. I nie rozumiem, co pan powiedział.
 - Zacznę od początku. Kiedy w roku 1935 podjąłem pracę w policji, wierzyłem, że zło jest cechą, z którą część ludzi się rodzi, tak jak z zajęczą wargą. Zadanie gliny polegało na tropieniu tych ludzi i wsadzaniu pod klucz. Ale to nie takie proste. Każdy nosi zło w sobie i to, czy przejawia się w działaniu, zależy od wielu czynników, jak środowisko, okazja, trudności finansowe,
- 108
- pech, zły przyjaciel. Kłopot polega na tym, że policjant musi w dalszym ciągu osądzać ludzi według schematu i działać zgodnie z tym osądem.
- Osądza pan ludzi?
 - Każdego, kogo spotkam. Absolwenci szkółpolicyj-nych przywiązują dużą wagę do naukowych metod śledztwa, mają one zresztą znaczenie. Ale moja praca polega głównie na obserwacji i osądzaniu ludzi.
 - I w każdym wykrywa pan zło?
- Mniej więcej. Albo ja się staję surowszy, albo ludzie gorsi. To niewykluczone. Po każdej wojnie i inflacji mnożą się różne kanalie, a mnóstwo ich osiadło w Kalifornii.
- Nie mówi pan chyba o naszej rodzinie?
 - Nie w szczególności.
 - Tak czy owak, w przypadku Ralfa nie zawiniła wojna..., nie wyłącznie. Zawsze miał w sobie coś z kanalii, przynajmniej odkąd go znam.
 - Od swego urodzenia?
 - Tak, od urodzenia.

- Nie wiedziałem, że pani ma do niego taki stosunek.
- Próbowałam go zrozumieć - odparła. — Może miał jakieś zalety za młodu. Wie pan, zaczynał od zera. Jego ojciec był dzierżawcą, nigdy nie miał ziemi na własność. Potrafię zrozumieć, dlaczego Ralf całe życie poświęcił nabywaniu ziemi. Ale wydawałoby się, że powinien współczuć biedakom, bo sam był biedny. Na przykład strajkującym robotnikom na ranczo. Żyją w strasznych warunkach, płace mają skandalicznie niskie, Ralf jednak nie chce tego przyznać. Wyłaził ze skóry, żeby wziąć ich głodem i złamać strajk. Jakby meksykańscy robotnicy rolni to nie byli ludzie.
- To dość powszechne i użyteczne złudzenie. Łatwiej jest kantować ludzi, jeśli się nie uznaje ich człowieczeństwa... Wkraczając w wiek dojrzały, staje się niezgorszym moralistą.

109

- Czy mnie pan osądza? - spytała po chwili.
- Z grubsza. Nie zebrałem dowodów. Powiedziałbym, że jest w pani prawie wszystko i mogłaby pani stać się prawie wszystkim.
- Dlaczego „prawie”? Czego mi brakuje?
- Ogona u latawca. Nie można ponaglać czasu. Trzeba się dostosować do jego rytmu i w nim znaleźć oparcie.
- Dziwny z pana człowiek - powiedziała cicho. - Nie przypuszczałam, że umie pan mówić takie rzeczy. A siebie pan osądza?
- Staram się tego unikać, ale zeszłej nocy musiałem. Poilem alkoholicką i widziałem swoją twarz w lustrze.
- !- Jak wypadł werdykt?
- Sędzia zawiesił wykonanie wyroku, ale mi nagadał.
- I dlatego jedzie pan tak prędko?
- Może dlatego.
- Ja to robię z innego powodu. Nadal mi się zdaje, że dla pana to rodzaj ucieczki. Szukanie śmierci.
- Proszę wyrażać się bardziej zrozumiale. Pani jeździ szybko?

- Cadillacem wyciągałam na tej szosie sto sześćdziesiąt.

Reguły gry, w którą się bawiliśmy, nie były jeszcze jasne, ale uznałem się za pokonanego. ,

- Jaki pani ma powód?

- Robię to, kiedy jestem znudzona. Sama przed sobą udaję, że coś napotkam... coś absolutnie nowego. Coś nagiego i świetlistego, ruchomy cel na drodze.

Moja niesprecyzowana uraza przybrała formę ojcowskiej przestrogi.

- Spotka panią coś nowego, jeśli często będzie pani tak jeździła. Pęknięcie czaszki i zapomnienie.

- Niech to wszyscy diabli! - wybuchnęła. - Podobno miał pan lubić niebezpieczeństwo, a tymczasem nudzi pan jak Bert Graves.

- Przepraszam za napędzenie stracha.

- Napędzenie stracha? - Parsknęła śmiechem cien-110

kim i piskliwym jak krzyk morskiego ptaka. - Wy, mężczyźni, nie wyzbyliście się jeszcze wiktoriańskich przesądów. Zapewne uważa pan również, że miejsce kobiety jest w domu? - Nie w moim domu.

Droga zaczęła się więc niespokojnie i wznosić ku niebu. Wóz sam wytracił prędkość jadąc pod górę. Przy siedemdziesięciu pięciu kilometrach na godzinę nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia.

Rozdział 16

Na tak dużej wysokości, że zacząłem zdawać sobie sprawę z procesu oddychania, dotarliśmy do biegnącej grzbietem drogi, świeżo wyźwirowanej i zagrodzonej zamkniętą drewnianą bramą. Na metalowej skrzynce na listy przybitej do słupa wypisane było białymi literami imię „Claude”. Otworzyłem bramę, żeby Miranda mogła przejechać samochodem.

- Jeszcze z półtora kilometra - powiedziała. - Ufa mi pan? ".*"

- Nie, ale chcę obejrzeć widoki. Nigdy tu jeszcze nie byłem.

Pominąwszy drogę krajobraz sprawiał wrażenie nie tkniętego ludzką stopą. Dolina, usiana głazami i porośnięta górską roślinnością zimozieloną, otwierała się pod nami, w miarę jak coraz wyżej pieliśmy się po spirali. Daleko wśród drzew, niczym lekki

brunatny dreszcz, śmignęła i znikła łania. Jej śladem podążyła druga, skacząc jak koń na biegunach. Powietrze było tak przejrzyste i nieruchome, że wcale bym się nie zdziwił, gdybym usłyszał szelest liści pod ich kopytami. Żaden dźwięk jednak nie zagłuszał warkotu silnika. Nic nie było słychać ani widać prócz przesyconego światłem powietrza i nagiej kamiennej płaszczyzny przeciwległej góry.

111

Wóz przedostał się przez krawędź spodkowatego zakłębnięcia na szczycie. Pod nami, pośrodku płaskowyżu otoczonego przez urwiste ściany, stała Świątynia w Chmurach, ukryta przed wzrokiem wszystkich, wyjąwszy sokoły i lotników. Ta czworokątna parterowa budowla z pobielonego kamienia i cegły suszonej na słońcu okalała wewnętrzny dziedziniec. Ogrodzenie z drutu, tworzące rodzaj palisady, obejmowało też kilka przybudówek. Nad jedną unosiła się w niebo cienka smużka czarnego dymu.

Wtem coś drgnęło na płaskim dachu głównego budynku, coś z początku tak nieruchomego, że moje oczy uznały jego obecność za oczywistą. Siedział tam po turecku stary mężczyzna. Wstał z majestatyczną powolnością, olbrzymi, brązowy jak rzemień. Z płataniną sterczących na głowie nie strzyżonych siwych włosów i brody przypominał promieniste słońce ze starej mapy. Schylił się rozmyślnie, by podnieść kawałek płótna, i przepasał swą nagość. Wzniósł jedno ramię, jakby nakazując nam cierpliwość, po czym zszedł nadziezi-niec.

Drzwi w żelaznych zawiasach rozwarły się ze zgrzytem. Stanął w nich i rozkołysanym krokiem niszył do bramy, którą otworzył z klucza. Dopiero teraz ujrzałem jego oczy. Były mlecznoniebieskie, łagodne i obojętne niczym oczy zwierzęcia. Choć miał szerokie, poczerniałe od słońca bary i bujna broda omiatała mu piersi, było w nim coś kobiecego. Głęboki, niepewny głos stanowił subtelne połączenie barytonu z kontraltem.

- Witam, witam, moi przyjaciele. Każdy podróżny przybywający w progi mojego domu, położonego na tym odludziu, mile jest widziany. Gościnność to jedna z największych cnót, równa prawie najwyższej cnocie samego zdrowia.

- Dziękuję. Czy mamy wjechać do środka?

- Proszę tam zostawić, samochód, mój przyjacielu.

112

Nawet zewnętrznego kręgu nie powinny kłaść wytwory zmechanizowanej cywilizacji.

- Myślałem, że pani go zna - zwróciłem się do Mirandy wysiadając z wozu.

- Chyba dość kiepsko widzi.

Kiedy się zbliżyliśmy, jego białoniebieskie oczy zająrzyły jej w twarz. Nachylił się ku Mirandzie, a rzadkie siwe włosy opadły do przodu, muskając mu ramiona.

- Cześć, Claude - powiedziała szorstko.

- Ależ to panna Sampson? Nie spodziewałem się dziś odwiedzin młodości i piękna.

Takiej młodości! Takiego piękna!

Oddychał przez usta, bardzo mięsiste i czerwone. Popatrzyłem na stopy Claude'a, żeby określić jego wiek. Sandały na sznurkowej podeszwie, z rzemykiem między palcami, nie przesłaniały deformacji i obrzmiałości: miał stopy sześćdziesięcioletniego mężczyzny.

- Dziękuję - odrzekła niezycliwie. - Przyjechałam zobaczyć się z Ralfem, jeśli jest tutaj.

- Ale jego tu nie ma, proszę pani. Jestem sam. Chwilowo oddaliłem moich uczniów. -

Uśmiechnął się niewyraźnie, nie otwierając ust. - Jestem starym orłem, który obcuje z górami i słońcem.

- Starym sępem! - powiedziała niezbyt cicho Miranda. - Czy Ralf był tutaj ostatnimi czasy?

- Nie pokazał się od kilku miesięcy. Obiecał przyjechać, ale jeszcze tego nie zrobił.

Ojciec pani dysponuje możliwościami duchowymi, wciąż jednak pętają go i wiążą przyziemne sprawy. Trudno go przenieść w świat lazuru. Otwieranie swojej istoty przed słońcem sprawia mu ból. - Wypowiedział to w śpiewnym rytmie, nieomal jak słowa liturgii.

- Nie robi panu różnicy, że się rozejrzę? - zapytałem. Chcę być pewny, że go tu nie ma.

- Mówię panu, że jestem sam. - Zwrócił się do Mirandy: - Kim jest ten młody

człowiek?

8 - Ruchomy cel

113

- To pan Archer. Pomaga mi szukać Ralfa.

- Rozumiem. Niestety będzie pan musiał uwierzyć mi na słowo, że go tu nie ma. Nie mogę panu zezwolić na przekroczenie wewnętrznego kręgu, ponieważ nie poddał się pan obrzędowi oczyszczenia.

- Chyba mimo to będę musiał się rozejrzeć.

- Ależ to niemożliwe. - Położył mi dłoń na ramieniu. Była miękka, gruba i brunatna jak smażona ryba. - Nie wolno wchodzić do świątyni. Mitra by się rozgniewał. Jego cuchnący słodko-kwaskowaty oddech drażnił mi powonienie. Strząsnąłem spoczywającą na barku rękę.

- A pan został oczyszczony? Wzniósł naiwne oczy do słońca.

- Z tych rzeczy nie należy żartować. Byłem zagubionym i grzesznym człowiekiem, człowiekiem grzesznym i zatwardziałego serca, dopóki nie wstąpiłem w świat lazuru. Miecz słońca powalił czarnego byka cielesności i doznałem oczyszczenia. A ja jestem dzikim bykiem z pampasów - powiedziałem sobie w duchu.

Rozdzieliła nas Miranda.

- To jedna wielka bzdura. Wejdziemy do środka i sprawdzimy. Nigdy bym ci nie uwierzyła na słowo, Claude.

Skłonił zmierzwioną głowę i nie otwierając ust uśmiechnął się z cierpką łaskawością, od której mnie zemdlilo.

- Jak pani sobie życzy. Świątokradztwo spadnie na wasze głowy. Mam nadzieję i ufam, iż gniew Mitry nie będzie srogi.

Minęła go z pogardą. Przez łukowe drzwi wyszedłem za nią na dziedziniec.

Czerwono zachodzące nad górami słońce pozostało niewzruszone. Claude nie patrzył na nas i bez słowa wspiął się na dach po wewnętrznych kamiennych schodach.

Brukowany dziedziniec świecił pustkami. Rzędy drewnianych drzwi dookoła były pozamykane. Nacisnąłem klamkę pierwszych z brzegu. Oczom moim ukazała się izba z krokwiowym dębowym sufitem, z pryczą nakrytą brudnymi kocami, z

podrapanym metalowym kufrem bez nalepki i tanią tekturową szafką na ubranie, przesycone słodko-kwaskowatym zapachem Claude'a.

- Odór świętości - odezwała się do moich pleców Miranda.

- Czy ojciec pani rzeczywiście przebywał tutaj z Claude'ern?

- Niestety tak. - Zmarszczyła nos. - On na serio traktuje tę bzdurę z kultem słońca.

Wszystko to według niego ma związek z astrologią.

- I rzeczywiście podarował ten dom Claude'owi?

- Nie wiem, czy spisał akt notarialny. Dał go Clau-de'owi i przeznaczył na świątynię.

Pewnie kiedyś go odbierze, jeśli zdoła. I jeśli w ogóle się wyleczy z tego swojego religijnego obłądu.

r- To dziwny domek myśliwski - zauważyłem.

- Bo właściwie to nie jest domek myśliwski, Zbudował go jako coś w rodzaju schronienia.

- Schronienia przed czym?

- Przed wojną. To się datuje z ostatniej przedreligijnej fazy w życiu Ralfa. Był przekonany, że następna wojna wisi na włosku. Tutaj miał się ukryć w razie inwazji. Ale zeszłego roku przewyciężył strach, na krótko przed rozpoczęciem budowy schronu. Plany schronu były już zre sztą gotowe. Zamiast tego poszukał ucieczki w astrologii.

- To nie ja użyłem słowa „obłąd” - powiedziałem. - Użyła go pani. Czy na serio?

- Chyba nie. - Uśmiechnęła się dość blado. - Ralf nie sprawia wrażenia tak szalonego, jeśli ktoś go rozumie. Pewnie poczuwał się do winy, bo na ostatniej wojnie dobrze zarobił. No i Bob na niej zginął. Wina może wywoływać różne irracjonalne lęki.

115

114

- To pani wyczytała w jeszcze jednej książce. Tym razem w podręczniku psychologii. Zdumiała mnie jej reakcja.

- Mdło mi się robi, jak pana słucham. Nie nudzi pana przypadkiem odgrywanie głupawego detektywa?

- Oczywiście że nudzi. Potrzeba mi czegoś nagiego i świetlistego. Ruchomego celu

na drodze.

- Och! - Zarumieniona przygryzła wargę i odwróciła się do mnie tyłem.

Szliśmy od jednej izby do drugiej, otwierając i zamykając drzwi. Na ogół znajdowały się w nich prycze i nieliczne sprzęty. Na podłodze dużego salonu po drugiej stronie dziedzińca leżało pięć czy sześć wypchanych słomą sienników. Pokój miał wąskie okna i mury grube niczym forteca, a panujący tu zaduch przywodził na myśl celę ogólną więzienia okręgowego.

- Uczniowie dobrze żyją, niezależnie od tego, kim są. Widziała ich pani w czasie poprzedniej wizyty?

- Nie. Ale nie wchodziłam do środka.

- Zdarzają się frajerzy, na których taki Claude robi niezły interes. Oddają mu wszystko, co do nich należy, nie otrzymując w zamian nic oprócz głodowej diety i perspektywy załamania nerwowego. Ale nigdy dotąd nie słyszałem o klasztorze czcicieli słońca. Ciekaw jestem, gdzie się dzisiaj podzieli ci frajerzy.

Obeszliśmy dokoła dziedzińca, nikogo nie spotykając. Podniosłem oczy na dach. Claude siedział zwrócony twarzą do słońca, a nagimi plecami do nas. Na żebrach i biodrach ciało zwisało grubymi fałdami. Wykonywał gwałtowne ruchy głową, jakby się z kimś sprzeczał, ale w zupełnym milczeniu. Niczym brodata baba z pogranicza dwu płci, ten wielki eunuch z grzbietem i głową zarysowanymi na tle słońca zdumiewał, śmieszył i przerażał.

Miranda dotknęła mojego ramienia.

- Skoro mowa o obłądnie...

- On się zgrywa - powiedziałem, częściowo o tym

116

przekonany.- Ale przynajmniej o pani ojcu mówił prawdę. Chyba że jest w którymś z tamtych budynków.

Przeszliśmy przez zwirowane podwórze do chaty z nie wypalanej cegły, z której komina unosił się dym. Zajrzałem przez otwarte drzwi. Dziewczyna w szalu na głowie, przykucnięta przed rozżarzoną paleniskiem, mieszała coś w perkoczącym garnku. Był to garnek dwudziesto litrowy, pełen czegoś podobnego do fasoli.

- Wygląda na to, że uczniowie wrócą na kolację. Nie obracając się dziewczyna popatrzyła na nas przez ramię.

W jej indiańskiej twarzy koloru gliny białka oczu lśniły jak porcelana.

- Widziałś starego człowieka? - zapytałem ją po hiszpańsku.

Uniosła jedną obciążoną perkalem rękę, robiąc niewyraźny gest w stronę świątyni.

- Nie tego starego człowieka. Takiego bez brody. Bez brody, tłustego i bogatego.

Nazywa się senor Sampson.

Wzruszyła ramionami i znów zwróciła twarz do parującego garnka. Sandały Claude'a zachrzęściły na żwirze za naszymi plecami.

- Nie jestem całkiem sam, jak widzicie. To moja służąca, ale ona niewiele się różni od zwierzęcia. Jeśliście już skończyli, może pozwolicie mi wrócić do moich medytacji.

Zbliża się zachód słońca i muszę się pokłonić odchodzącemu na spoczynek bogu.

Szopa z cynkowanej blachy, sąsiadująca z glinianą chatą, miała drzwi zamknięte na kłódkę.

- Zanim pan odejdzie, proszę otworzyć szopę. Wzdychając wyjął pęk kluczy z fałd przepaski na

biodrach. W szopie leżał stos worków i kartonów, przeważnie pustych. Było tam kilka worków fasoli, skrzynka mleka skondensowanego, a w paru pudłach jakieś kombinezony i buty robocze.

Glaude obserwował mnie od drzwi.

117

- Moi uczniowie pracują czasem w ciągu dnia w dolinie. Taka praca przy uprawie warzyw jest formą kultu.

Cofnął się, żeby mnie przepuścić. Zauważyłem odcisk opony w glinie, tam gdzie kończył się żwir i gdzie poprzednio znajdowała się stopa Claude'a. Był to ślad grubej opony pozostawiony przez ciężarówkę. Widziałem już gdzieś ten jodełkowy odcisk protektora.

- Zdawało mi się, że nie wpuszcza pan za ogrodzenie wytworów zmechanizowanej cywilizacji.

Spojrzał na ziemię i z uśmiechem podniósł oczy.

- Tylko wtedy, kiedy to jest konieczne. Wczoraj ciężarówka dostarczyła żywność.

- Mam nadzieję i ufam, że została oczyszczona?

- Kierowca został oczyszczony, i owszem.

- Doskonale. Chyba teraz trochę pan posprząta to miejsce przez nas skalane.

- To. sprawa wasza i boga. - Obejrząwszy się na zachodzące słońce powrócił na stanowisko na dachu.

W drodze powrotnej zapamiętałem dojazd do szosy stanowej tak dokładnie, że w razie potrzeby mógłbym przebyć tę trasę na oślep i nocą.

Rozdział 17

Zanim przecięliśmy dolinę, czerwone słońce skryło się za chmurami nad pasmem przybrzeżnych gór. Pociemniałe pola opustoszały. Minęliśmy ze dwanaście

ciężarówek z robotnikami rolnymi powracającymi do swych baraków na ranczach.

Stłoczeni niczym bydło w rozklekotanych pudłach, stali w cierpliwym milczeniu, mężczyźni, kobiety i dzieci, oczekując jedzenia, snu i ponownego wschodu słońca.

Jechałem ostrożnie, z lekka przygnębiony, zawieszony w tej porze zmierzchu, kiedy dzień stracił swój rozmach, a noc jeszcze nie nabrała tempa.

Obłoki przepływały przez przełęcz mlecznym stru-

118

mieniem, zsuwając się przed nami z drugiej strony góry i stapiając z coraz ciemniejszą nocą i coraz dokuczliwszym chłodem. Raz czy dwa na zakręcie Miranda oparła się o mnie rozdygotana. Nie pytałem, czy drży z zimna, czy z trwogi. Nie chciałem jej zmuszać do dokonania wyboru.

Chmury stoczyły się ze zbocza górskiego aż na autostradę U.S. 101. Z drogi biegnącej wysoko przełęczą widziałem światła wozów na autostradzie, rozmazane i powiększone przez mgłę. Kiedy czekałem pod stopem na przerwę w ruchu, para jasnych reflektorów przybliżyła się szybko od strony Santa Teresa. Obróciły się ku nam raptownie jak oszalałe oczy. Pędzący samochód zamierzał skręcić w drogę przez przełęcz. Zgrzytnęły hamulce, gumy zapiszczały w poślizgu, Mnie nie wyminie.

- Głowa na dół - poleciłem Mirandzie, mocniej ściskając kierownicę.

Tamten facet ruszył prosto, z rykiem silnika wrzucił drugi bieg przy prędkości siedemdziesięciu czy siedemdziesięciu pięciu kilometrów, skręcił przed moim zderzakiem i minął mnie z prawej strony, wciskając się w dwumetrowy odstęp między moim samochodem a znakiem stopu. W przelocie zamajaczyła mi jego twarz, chuda i blada, przyżółcona blaskiem moich reflektorów przeciwmgłowych, ukryta pod daszkiem skórzanej czapki. Jego samochód był ciemną limuzyną.

Cofnąłem się, zawróciłem i pogałem za nią. Asfaltowa nawierzchnia, śliska od panującej wilgoci, utrudniała rozwinięcie prędkości. Mgła wchłonęła czerwone tylne światło wspinające się pod górę. I tak nic z tego nie wyszło. Mógł skręcić w którąkolwiek z dróg lokalnych, równoległych do szosy. A może dla Sampsona byłoby najlepiej, gdybym nie gonił za limuzyną. Zahamowałem tak gwałtownie, że Miranda musiała obiema rękami oprzeć się o tablicę rozdzielczą. Przeszawała panować nad odruchami.

119

- Na litość boską, co się stało? Przecież na nas nie wpadł.

- A szkoda.

- Prowadzi brawurowo, ale znakomicie. -

- Taak. To ruchomy cel, do którego chciałbym kiedyś trafić.

Popatrzyła na mnie ciekawie. Twarz jej była ciemna, bo tylko od dołu rozjaśniona przez światła tablicy rozdzielczej, a oczy ogromne i przejrzyste.

- Zrobił pan groźną minę. Czy znów pana rozgniewałam?

- Nie pani - odparłem. - Gniewa mnie to czekanie, aż coś zacznie się dziać w tej sprawie. Wolę akcję bezpośrednią.

- Rozumiem. - Wydawała się zawiedziona. - Proszę mnie teraz odwieźć do domu.

Zmarzłam i jestem głodna.

Zawróciłem w płytkim rowie i przecinając szosę skierowałem się w stronę kanionu Cabrillo. Tam, gdzie nie sięgał pług żółtego światła, popychany przed nami przez reflektory przeciwmgłowe, drzewa i żywopłoty wisiały w gęstym powietrzu jak popielate emanacje porzucone przez słońce. Krajobraz był odpowiednikiem mglistych rojeń kłębiących się w mej czaszce. Myślami po omacku, wolno szukałem

czegoś, co by mnie naprowadziło na trop kryjówki Ralfa Sampsona.

To coś czekało w skrzynce na listy przed podjazdem wiodącym do jego domu, a znalezienie tego nie wymagało sprytu. Miranda zauważyła to pierwsza.

- Proszę się zatrzymać.

Kiedy otworzyła drzwiczki, dojrzałem białą kopertę wetkniętą w szparę skrzynki.

- Przepraszam. Ja się tym zajmę.

Słyszając mój ton zastygła w bezruchu, z jedną stopą już na ziemi, z jedną ręką wyciągniętą po kopertę, którą ująłem za róg i owinałem w czystą chusteczkę.

- Mogą być na niej odciski palców.

- Skąd pan wie, że to od ojca?

- Nie wiem. Proszę zajechać pod dom.

W kuchni odwinąłem kopertę. Rurka jarzeniówki rzuciła z sufitu trupi jak w kostnicy blask na biało lakierowany blat stołu. Na kopercie nie było nazwiska ani adresu.

Przeciąłem ją z jednego boku i paznokciami wyciągnąłem złożony arkusik.

Serce mi zamarło na widok drukowanych liter naklejonych na kartkę. Wycięto je po jednej i poskładano w słowa, zgodnie z klasyczną tradycją porywaczy. Tekst brzmiał: „Pan Sampson w dobrych rękach włożył sto tysięcy dolarów do paczki owiniętej w zwykły papier pszcwią-zać sznórkiem zostawić paczkę na trawie pośrodku drogi na poło dni owym końcu odcinka szosy napsze-ciwko Fryers Road półtora kilometra na południe od rogatek Santa Teresa zrobić to o dziewiątej dziś wie-czur zostawić paczkę i zraz odjechać samochud będzie śledzony odjechać na północ w stronę Santa Teresa nie próbować zasacki z policją jeśli zależy wam na życiu Sampsona będziecie śledzeni on wruci jutro do domu jak nie będzie zasacki pruby pościgu ani znaczonych banknotów.

Klops z Sampsonem jak nie posłuhacie pszyjaciel rodziny"

- Miał pan rację - przyznała Miranda półszeptem. Chciałem powiedzieć coś pocieszającego. Do głowy przychodziło mi jednak tylko - klops z Sampsonem.

- Proszę pójść i zobaczyć, czy nie ma tu Gravesa. -. Poszła natychmiast.

Nie dotykając kartki schyliłem się nad nią i zacząłem uważnie oglądać litery, bardzo różne pod względem wielkości i kroju. Gładki papier wskazywał, że zostały zapewne wycięte z ogłoszeń jakiegoś popularnego magazynu. Błędy ortograficzne pozwalały w autorze listu domyślać się półanalfabety, ale to nie zawsze było

121

120

miarodajne, Niektórzy ludzie, mimo całkiem przyzwoitego wykształcenia, piszą z błędami. A te mogły być zamierzone.

Wyuczyłem się listu na pamięć, zanim Graves wszedł do kuchni, a za nim Taggert i Miranda. Zbliżył się do mnie na grubych nogach, poruszających się szybko jak tłoki, z metalicznym błyskiem w oku.

Wskazałem na stół.

- To było w skrzynce...

- Miranda już mi mówiła.

- Mógł to wrzucić parę minut temu kierowca samochodu, który nas minął na szosie.

Graves pochylił się nad listem i odczytał go na głos. Taggert zatrzymał się w drzwiach koło Mirandy, niepewny, czy jego obecność jest pożądana, ale zupełnie swobodny, Chociaż pod względem fizycznym byli podobni do siebie jak rodzeństwo, Miranda zasadniczo różniła się od niego usposobieniem. Brzydkie niebieskie plamy wykwitły pod jej oczami. Szerokie wargi odeły się ponuro, przysłaniając piękne, duże zęby. Wsparła się o framugę bezwładna i niepocieszona.

Graves podniósł głowę.

- Więc to tak. Poproszę zastępcę szeryfa.

- Jest tutaj?

- Tak. W gabinecie, pilnuje pieniędzy. I zadzwonię do szeryfa.

- Czy ma faceta od daktyloskopii?

- Prokurator okręgowy ma lepszego.

- Wezwij i jego także. Są przypuszczalnie zbyt sprytni, żeby zostawić świeże odciski palców, ale mogą być jakieś utajone. Trudno robić wycinanki w rękawiczkach.

- Racja. No, a co z tym wozem, który was minął?

- Na razie zachowaj to w tajemnicy. Nim zajmę się osobiście.

- Zapewne wiesz, co robisz.

122

- Wiem, czego nie robię. W miarę możliwości nie dopuszczam, żeby wykończyli Sampsona.

- Tym się właśnie martwię - powiedział i wyszedł z kuchni tak szybko, że Taggart musiał uskoczyć mu z drogi.

Spojrzałem na Mirandę. Wyglądała na bliską omdlenia.

- Niech pan ją zmusi, żeby coś zjadła, panie Taggart.

- Jeśli potrafię.

Podszedł do lodówki. Jej oczy pobiegły za nim. Przez chwilę czułem do niej nienawiść. Była jak pies, jak goniąca się suka. .

- Chyba nie będę mogła jeść - stwierdziła. - Myśli pan, że ón żyje?

- Tak. Ale zdawało mi się, że pani za nim nie przepada.

- Ten list sprawia, że to jest takie realne. Przedtem nie było realne.

- - Jest aż zanadto realne! A teraz proszę już iść. Niech pani się położy, - Oddaliła się powoli.

Wszedł zastępca szeryfa. Był tęgim brunetem po trzydziestce, ubranym w brązowy garnitur ze sklepu z gotową konfekcją, nie dopasowany w ramionach; grymas zdziwienia nie pasował do jego twarzy. Prawą rękę trzymał na rewolwerze wiszącym u pasa, co miało mu chyba przypominać o sprawowanej władzy.

Popróbował wojowniczego tonu zadając pytanie:

- O co tu chodzi?

- O nic wielkiego. O porwanie i wymuszanie okupu.

- A to co? - Sięgnął po list leżący na stole. Musiałem chwycić go za rękę, żeby nie dotknął kartki.

Z tępą wściekłością utkwiał czarne oczy w mej twarzy.

- Za kogo się pan ma?

- Moje nazwisko Archer. Proszę się uspokoić. Ma pan pojemnik na dowody rzeczowe?

- Tak. W samochodzie.

123

- A gdyby go pan tak przyniósł? Zachowamy to dla facetów od daktyloskopii.

Wyszedł i po chwili wrócił z czarną metalową skrzynką. Wrzuciłem list do środka, a on przekręcił kluczyk. Zdawało się, że czerpie z tego wielką satysfakcję.

- Proszę jej dobrze pilnować - powiedziałem, kiedy wynosił skrzynkę pod pachą. - Nie wypuszczać jej z rąk.

Taggart stał przy otwartej lodówce ogryzając nogę indyka.

- I co teraz? - zapytał między jednym kęsem a drugim.

- Proszę kręcić się tutaj. Może wydarzy się coś emocjonującego. Ma pan broń? \

- No pewnie! - Poklepał się po kieszeni kurtki. - Jak oni to, pana zdaniem, zrobili?

Uważa pan, że złapali Sampsona, kiedy wychodził z lotniska Burbank?

- Nie mam pojęcia. Gdzie tu jest telefon?

- Jeden jest w kredensie. Prosto jak strzelił. - Otworzył drzwi i zamknął je za mną.

Kredens był mały, zastawiony szafkami, z pojedynczym oknem nad miedzianym zlewem i telefonem wiszącym koło drzwi na ścianie. Zamówiłem międzymiastową z Los Angeles. Peter Colton nie będzie już na służbie, ale może zostawił wiadomość. Telefonistka połączyła mnie z jego biurem i usłyszałem głos samego Coltona.

- Mówi Lew. To porwanie. Parę minut temu dostaliśmy kartkę w sprawie okupu. List Sampsona był sztuczką obliczoną na zmiękczenie żony. Powinieneś pogadać z prokuratorem okręgowym. To się musiało wydarzyć na twoim terenie przedwczoraj, po wyjściu Sampsona z lotniska Burbank.

- Jak na porywaczy wcale się nie spieszą.

- Mogą sobie na to pozwolić. Zaplanowali całą operację. Dowiedziałeś się czegoś o czarnej limuzynie?

- nL ?.11 uuz.^ icyu uiuu y.ypUŁytŁunu uwuiiid-

124

eie, ale większość nie budzi podejrzeń. Wszystkie z wyjątkiem dwóch zwrócono tego samego dnia do różnych agencji. Tamte dwie wypożyczono na tydzień, płacąc z góry.

- Rysopisy?

- Numer jeden: niejaka pani Ruth Dickson, blondyna około czterdziestki, zamieszkała w hotelu Beverly Hills. Sprawdziliśmy tam, jest wpisana do księgi gości, ale nie było jej w pokoju. Numer dwa to facet jadący do San Francisco. Nie zwrócił wozu po przyjeździe, ale upłynęły dopiero dwa dni, a wziął go na tydzień. Nazywa się Lawrence Becker, drobny, chudy facecik, nie za dobrze ubrany...

- To może być on. Masz numer wozu?

- Zaczekaj. Mam go tutaj... 62 S 895. Lincoln, model 1940.

- Agencja?

- Deluxe w Pasadena. Sam do nich pojedę.

- Postaraj się o możliwie najlepszy rysopis i puść go w obieg.

- Mowa! Ale skąd ten nagły entuzjazm, Lew?

- Widziałem tu na szosie gościa, który mógłby odpowiadać twojemu rysopisowi. Jechał długim czarnym samochodem i minęliśmy się mniej więcej o tej porze, kiedy podrzucono kartkę w sprawie okupu. A rano ten sam typek albo jego brat próbował mnie rozjechać granatową ciężarówką w Pacific Palisades. Ma na głowie skórzaną czapkę z daszkiem.

- Czemuś go nie przydusił?

- Z tej samej przyczyny, dla której ty tego nie zrobisz. Nie znamy miejsca pobytu Sampsona, a jeśli będziemy odstawiać waźniaków, nigdy go nie poznamy. Roześlij rysopis tylko po to, żeby go mogli śledzić.

- Ty mnie będziesz pouczał?

- Najwidoczniej.

- W porządku. Masz jeszcze inne cenne sugestie?

125

- Poślij kogoś do Szalonego Fortepianu, jak go otworzą. Na wszelki wypadek...

- Już wyznaczyłem człowieka. To wszystko?

- Niech twoje biuro kontaktuje się z prokuratorem okręgowym w Santa Teresa. Przekazuję tam żądanie okupu, żeby zbadali odciski palców. Dobranoc i dzięki.

- Uhu.

Odłożył słuchawkę, a telefonistka nas rozłączyła. Ja nadal stałem przy głuchym już

aparacie. W środku rozmowy usłyszałem trzaski i zgrzyty. Mogło to być chwilowe zakłócenie na linii albo też ktoś mógł podnieść słuchawkę drugiego aparatu.

I płynęła pełna minuta, zanim rozległ się cichy metaliczny szczęk odkładanej gdzieś w domu słuchawki.

Rozdział 18

Pani Kromberg siedziała w kuchni z kucharką, wzburzoną siwowłosą kobietą o rozłożystych biodrach. Poderwały się, kiedy otworzyłem drzwi wychodząc z kredensu.

- Korzystałem z telefonu - wyjaśniłem.

Pani Kromberg zdołała zmarszczyć twarz w uśmiechu.

- Nic nie słyszałam.

- Ile jest w tym domu aparatów?

- Cztery czy pięć. Pięć. Dwa na górze, trzy na dole. Zrezygnowałem z pomysłu ich sprawdzenia. Zbyt

wiele osób miało dostęp do telefonu.

- Gdzie się podziała reszta domowników?

- Pan Graves zwołał służbę do salonu. Pytał, czy ktoś nie widział samochodu, którym podrzuciono tę kartkę.

- I widział ktoś?

- Nie. Ja słyszałam warkot jakiś czas temu, ale się nad tym nie zastanawiałam.

Zawsze tu wjeżdżają i zakręcają przed domem. Nie wiedzą, że to droga dojazdowa.

- Przysunęła się do mnie i zagadnęła poufnym szeptem: - Co było w tej kartce, proszę pana?

- Żądają pieniędzy - odrzekłem wychodząc. Jeszcze trzech służących minęło mnie w hallu.

Dwóch młodych Meksykanów w strojach ogrodników szło gęsiego ze spuszczonej głowami, pochód zamykał Feliks. Powitałem go gestem ręki, lecz nie odpowiedział. Oczy miał nieprzejrzyste, mieniające się jak bryłki węgla.

Graves, przykucnięty przed kominkiem w salonie, obracał zwęglone polano

szczypcami.

- Co się dzieje ze służbą? - zapytałem. Wstał z chrząknięciem i popatrzył na drzwi.

- Chyba wiedzą, że są podejrzani.

- Wolałbym, żeby nie wiedzieli.

- Nie podsunąłem im tej myśli. Przeniknęła do nich w drodze osmozy. Zapytałem po prostu, czy widzieli samochód. A naprawdę chodziło mi oczywiście o to, żeby się przyjrzeć ich twarzom, zanim przywdzieją maski.

- Myślisz, że to robota kogoś z domowników, Bert?

- Najwyraźniej nie tylko. Ale ten, kto ułożył list, jest zbyt dobrze poinformowany. Bo na przykład skąd by wiedział, że pieniądze będą dostarczone w terminie, czyli przed dziewiątą? - Spojrzał na zegarek. - Od tej chwili za siedemdziesiąt mirfut.

- Może to przypadek ślepej wiary.

- Może.

- Nie będziemy się sprzeczać. Masz zapewne rację, że częściowo jest to robota kogoś z domowników. Czy ktoś widział samochód?

- Pani Kromberg go słyszała. Inni udawali głupich albo naprawdę są tacy.

- I nikt się nie zdradził?

- Nie. Tych Meksykanów i Filipińczyków trudno rozgryźć. - Nie zapomniał dodać: - Nie mam oczywiście podstaw, by podejrzewać ogrodników czy Feliksa.

127

- A samego Sampsona?

Obrzucił mnie ironicznym spojrzeniem.

- Nie sil się na genialne koncepty, Lew, Nigdy nie grzeszyłeś nadmiarem intuicji.

- To tylko sugestia. Jeśli Sampson płaci osiemdziesiąt procent podatku dochodowego, mógłby szybko zarobić osiemdziesiąt kawałków inscenizując taką szopkę.

- Przyznaję, że to możliwe.

- I już praktykowane.

- Ale w przypadku Sampsona brzmi dziwacznie.

- Nie wmawiaj mi, że jest uczciwy.

Wziął do ręki szczypce i potracił płonące polano. Iskry wzleciały w górę jak rój

świetlistych os.

- Nie według utartych pojęć. Ale nie ma głowy do tego rodzaju kombinacji. Są zbyt ryzykowne. Poza tym nie potrzebuje tej forsy. To, co ma w nafcie, szacują na jakieś pięć milionów, ale w przeliczeniu na dochody jego, nieruchomości warte są raczej dwadzieścia pięć milionów. Sto tysięcy to dla Sampsona drobiazg. Jego naprawdę porwali, Lew. Nie ma się co oszukiwać.

- A chciałbym. Tyle porwań kończy się morderstwami, bo kidnaperzy ułatwiają sobie robotę.

- To nie musi - huknął tubalnym głosem - i, na Boga, nie skończy się morderstwem. Zapłacimy żadaną sumę, a jak nie wypuszczą Sampsona, my ich dopadniemy.

- Pomogę ci. - Ale łatwiej było obiecać niż dotrzymać słowa. - Kto dostarczy papierki?

- Czemu nie ty?

- Po pierwsze mogą mnie znać. A w dodatku mam coś innego do zrobienia. Pojedź ty, Bert. I lepiej weź ze sobą Taggerta.

- Nie lubię go.

- Chłopak jest ostry i nie boi się spluwy. W razie komplikacji możesz potrzebować pomocy.

- Nie będzie komplikacji. Ale wezmę go, jeśli chcesz.

- Chcę.

Pani Kromberg stanęła w progu i nerwowo skubiąc połę fartucha zwróciła się do Grayesa:

- Proszę pana!

- Słucham.

- Chciałabym, żeby pan porozmawiał z Mirandą. Zaniosiłam jej na górę coś do zjedzenia, ale nie chce otworzyć drzwi. Nie chce się nawet odezwać.

- Nic jej nie będzie. Porozmawiam z nią później. Na razie proszę zostawić ją w spokoju.

- Nie podoba mi się takie zachowanie. Jest bardzo pobudliwa.

- Niech pani o tym nie myśli. I poprosi pana Taggerta, żeby przyszedł do mnie do

gabinetu, dobrze? Niech weźmie ze sobą pistolety... naładowane.

- Tak, proszę pana. - Zbierało jej się na płacz, ale zacisnąwszy mięsiste wargi wyszła z salonu.

Kiedy Graves odwrócił się od drzwi, zobaczyłem, że zaraziła go niepokojem.

Mięśnie jednego policzka drgały mu nieznacznie, oczy wpatrywały się w coś za ścianą.

- Widocznie poczuwa się do winy - powiedział na poły do siebie.

- Do jakiej winy?

- To nic konkretnego. W gruncie rzeczy wyrzuca sobie zapewne, że nie potrafiła zastąpić brata. Była świadkiem degrengolady starego i chyba czuje, że nie stoczyłby się tak nisko ani tak szybko, gdyby umiała bardziej się do niego zbliżyć.

- Nie jest jego żoną - stwierdziłem. - A jak zachowuje się pani Sampson?

Rozmawiałaś z nią?

- Przed paroma minutami. Znosi to bardzo dzielnie. Prawdę mówiąc, czyta powieść.

Jak ci się to podoba?

- Wcale mi się nie podoba. Może to ona powinna poczuwać się do winy.

- Mirandzie nic by z tego nie przyszło. Śmieszna z niej dziewczyna. Jest bardzo wrażliwa, ale chyba

9 - Ruchomy cel

128

o tym nie wie. Zawsze nadstawia karku, nie liczy się ze swoimi zasobami uczuciowymi.

- Zamierzasz się z nią ożenić, Bert?

- Tak, jeśli wyrazi zgodę - odparł z krzywym uśmiechem. - Parokrotnie prosiłem ją o rękę. Nie powiedziała „nie”.

- Mógłbyś się nią zaopiekować. Dojrzała już do małżeństwa,

Przez chwilę spoglądał na mnie w milczeniu. Z jego ust nie schodził uśmiech, za to oczy wyrażały ostrzeżenie; „Łapy przy sobie”.

- Mówiła, że w czasie poobiedniej przejażdżki pogadaliście sobie od serca.

- Udzieliłem jej ojcowskiej rady, żeby za szybko nie prowadziła wozu.

- W porządku, dopóki to się odbywa na płaszczyźnie rad ojcowskich. - Przeskoczył na inny temat, - A co z tym facetem, z tym Claude'em? Może być zamieszany w porwanie?

- Może być zamieszany we wszystko. Nie mam do niego za grosz zaufania. Ale właściwie niczego się nie dowiedziałem. Twierdzi, że nie widział Sampsona od paru miesięcy,

Słomkowożółte reflektory przeciwmgłowe omiotły bok domu, a po chwili trzasnęły drzwiczki samochodu.

- To pewnie szeryf - stwierdził Graves. — Grzebał się jak wszyscy diabli.

Szeryf wszedł z udanym pośpiechem, niby sprinter dobiegający do mety. Był to rosły mężczyzna w codziennym garniturze i szerokoskrzydłowym kapeluszu ran-czera.

Podobnie jak jego ubiór, twarz także stanowiła krzyżówkę, połączenie policjanta z politykiem. Stanowczości szczęki przeczyła miękkość ust - rozchylonych warg miłośnika kobiet i trunków, a do tego gaduły.

Podał G: ivesowi rękę.

- Przyjechałbym wcześniej, ale prosiłeś, żebym wstąpił po Humphreysa.

130

Drugi mężczyzna, który po cichu wszedł za nim, miał na sobie smoking.

- Byłem na przyjęciu - powiedział. - Jak sie masz, Bert?

Graves dokonał prezentacji. Szeryf nazywał się Spanner. Prokurator okręgowy Humphreys był wysokim łysiejącym mężczyzną o pociągłej twarzy i nawiedzonych oczach intelektualisty, a zarazem strzelca wyborowego. On i Graves nie uścisnęli sobie rąk. Łączyła ich zbyt wielka zażyłość. Humphreys pełnił obowiązki zastępcy prokuratora, w czasie kiedy Graves sprawował funkcję prokuratora okręgowego. Trzymałem się na uboczu, pozwalając Gravesowi mówić. Udzielił niezbędnych informacji, resztę przemilczał.

Po nim zabrał głos szeryf:

- List zawiera polecenie, żeby odjechać na północ. To znaczy, że ten ktoś będzie uciekał w przeciwnym kierunku, w stronę Los Angeles.

- Tak to trzeba rozumieć - przyznał Graves.

- Więc gdybyśmy zablokowali szosę trochę dalej, bez trudu powinniśmy go złapać.
- Wykluczone - uciąłem. - Bo wtedy możemy się pożegnać z Sampsonem.
- Ale jeśli schwytemy porywacza, możemy go zmusić, żeby gadał...
- Wolnego, Joe - wtrącił Humphreys. - Musimy zakładać, że jest ich paru. Jeśli załatwimy jednego, ten drugi albo tamci pozostali załatwią Sampsona. To jasne jak słońce.
- I sformułowane w liście - dodałem. - Widzieliście Ust?
- Ma go Andrews - powiedział Humphreys. - To mój ekspert od daktyloskopii.
- Jeśli coś znajdzie, powinniście sprawdzić w kartotekach FBI. Wyczuwałem, że nie zaskarbiam sobie sympatii, ale nie miałem czasu na podsuwanie taktownych sugestii, a nie ufałem kwalifikacjom zawodowym

131

glin małego formatu. Zwróciłem się do szeryfa: - Skontaktował się pan z władzami okręgu Los Angeles?

- Jeszcze nie. Uważałem, że powinienem najpierw ocenić sytuację.
- W porządku, więc ma pan obraz sytuacji. Nawet jeśli będziemy ściśle trzymać się instrukcji, istnieje stosunkowo duże prawdopodobieństwo, że Sampson nie wyjdzie z tego żywy. Musiał przecież widzieć choć jednego z szajki - tego, który uprowadził go z Bur-bank - i potrafi go zidentyfikować. To przemawia na jego niekorzyść. Próbując złapać faceta z forszą pogorszyicie sprawę. Będziemy mieli porywacza w więzieniu okręgowym, a Sampson będzie gdzieś leżał z poderżniętym gardłem. Najlepsze, co możecie zrobić, to załatwiać telefony. Niech Graves tutaj zajmuje się tą sprawą. Ze złości twarz Sparmera pokryła się cętkami i już otwierał usta, żeby coś powiedzieć. Humphreys nie dopuścił go do głosu.
- To ma ręce i nogi, Joe. Nie w ten sposób wprowadzie zmusza się do poszanowania prawa, ale trzeba iść na kompromis. Chodzi o uratowanie życia Sampsonowi. Proponuję powrót do miasta.
- Wstał. Szeryf podążył za nim.
- Czy Spanner na pewno nie będzie działał na własną rękę?
- Chyba nie - odrzekł Graves powoli. - Humphreys będzie miał go na oku.

- Humphreys sprawia wrażenie łośkiego faceta.

~ To świetna głowa. Pracowałem z nim przez siedem lat z okładem i nigdy go nie przyłapałem na grubszej pomyłce. Na odchodnym załatwiłem mu nominację. -W jego głosie zadźwięczała nuta żalu.

- Niepotrzebnie rzuciłeś tę pracę - stwierdziłem. -Dawała ci mnóstwo zadowolenia,

- I cholernie mało pieniędzy! Ciągnąłem to dziesięć

132

lat i skończyło się długami. - Posłał mi przebiegłe spojrzenie, - Czemu ty nie pracujesz już w policji w Long Beach, Lew? .

- Główną przyczyną nie były pieniądze. Nie mogłem znieść lizania tyłków. I nie odpowiadały mi brudne gierki polityczne. Zresztą to nie ja wymówiłem, ale oni mnie wylali.

- No dobra, twoje na wierzchu. - Znów zerknął na zegarek. Dochodziło wpół do dziewiątej. - Czas dosiąść konia.

W gabinecie czekał Alan Taggert w brązowym tren-czu ściągniętym w pasie, przez co sprawiał wrażenie jeszcze szerszego w barach. Wyciągnął ręce z kieszeni; w każdej pięści ścisnął pistolet. Graves wziął jeden, Taggert zatrzymał drugi. Były to pistolety tarczowe kalibru 0,32, o smukłych lufach z błękitnej stali i dużych przyrządach celowniczych.

- Proszę pamiętać - powiedziałem pod adresem Taggerta - żadnego strzelania, chyba że zaczną pierwsi.

- A pan nie jedzie?

- Nie. -I zwracając się do Gravesa spytałem:-Znasz narożnik przy Fryers Road?

- Tak.

- Nigdzie nie można się tam schować?

- Nigdzie. Z jednej strony otwarta plaża, z drugiej urwisko.

- To było do przewidzenia. Weź swój wóz i jedź przodem. Ja pojedę za tobą i zaparkuję o jakieś półtora kilometra dalej przy autostradzie.

- Nie będziesz próbował żadnych sztuczek?

- Nie ja. Chcę tylko zobaczyć, jak będzie mnie mijał. Spotkam się z wami potem na

stacji benzynowej przy wyjeździe z miasta. Nazywa się Ostatnia Szansa.

- Dobra. - Graves pokręcił gałkami szafy pancерnej wmurowanej w ścianę.

Półtorakilometrowy odcinek czteropasmowej autostrady biegł od wylotu z miasta do Fryers Road po skalnej półce wykutej w nadbrzeżnym urwisku. Przez środek przedzielał ją pas darni obramowanej dwoma betonowymi krawężnikami. Przy skrzyżowaniu z Fryers Road pas trawy się kończył, autostrada zaś zwężała do trzech pasm. Studebaker Gravesa szybko wykonał tam zakręt w kształcie litery U i stanął oświetlając pobocze.

Miejsce nadawało się do celu, w jakim je wybrano: odsłonięty narożnik z obwódką białych słupków po prawej stronie. Wjazd we Fryers Road ział szaroczarną dziurą w boku urwiska. Jak okiem sięgnąć ani domu, ani drzewa. Ruch na autostradzie był mały, z rzadka przejeżdżał tędy samochód.

Zegar ha desce rozdzielczej mego wozu wskazywał za dziesięć dziewiątą.

Pomachawszy Taggertowi i Gravesowi pojechałem dalej. Do następnego odgałęzienia drogi miałem mniej więcej kilometr. Sprawdziłem to na mapie samochodowej. Dwieście metrów za skrzyżowaniem, po prawej stronie autostrady znajdowało się nad plażą miejsce widokowe. Wjechałem tam i pogasiwszy światła ustawiłem się maską na południe. Była za siedem dziewiątą. Jeśli wszystko przebiegnie według planu, samochód z okupem powinien mnie minąć za dziesięć minut.

Kiedy się zatrzymałem, spowił mnie wstępujący znad wody opar, podobny do nieznosnej szarej fali przyływu. Kilka par reflektorów przebiło się na północ przez mgłę niczym oczy ryb głębinowych. Poniżej balustrady morze oddychało i bulgotało w ciemnościach. Dwie po dziewiątej rozpędzone światła wynurzyły się zza zakrętu od strony Fryers Road.

Przelatujący wóz skręcił ostro, zanim zrównał się ze mną, i wjechał w odnogę drogi na lewo. Nie widziałem, jakiego jest koloru czy kształtu, ale dosłyszałem pisk ścieranych opon. Technika prowadzenia wydała mi się znajoma.

Nie zapalając światel przeciąłem w poprzek autostradę i poboczem dotarłem do drogi. Zanim to nastąpiło, rozległy się trzy odgłosy, dalekie, stłumione przez mgłę.

Upiorny zgrzyt hamulców, huk wystrzału i potężniejszy ryk silnika, który przyspieszał obroty.

Rynnę bocznej drogi wypełnił rozproszony biały blask. Zatrzymałem wóz o parę kroków przed skrzyżowaniem. Z prawej strony wyjechał jakiś inny samochód i skręcił mi przed nosem w lewo, w kierunku Los Angeles. Była to jasnokremowa kabriolimuzyna o wydłużonej masce. Przez zaparowaną boczną szybę nie mogłem dojrzeć kierowcy, ale wydało mi się, że widzę ciemną masę kobiecych włosów. Nie miałem prawa puszczać się w pościg, a zresztą i tak bym nie mógł.

Zapaliwszy reflektory przeciwmgłowe skręciłem na drogę. Kilkaset metrów dalej, z dwoma kołami w rowie, stał samochód. Zaparkowałem za nim i wysiadłem z rewolwerem w ręku. Była to czarna limuzyna, Lincoln zrobiony przed wojną na zamówienie. Silnik pracował na jałowym biegu, światła się paliły. Na tablicy rejestracyjnej widniał numer 62 S 895. Otworzyłem przednie drzwiczki lewą ręką, a prawej trzymając odbezpieczoną broń.

Mały człowieczek przechylił się ku mnie, zapatrzony w mgłę martwymi oczami. Zdażyłem go złapać, zanim wypadł. Od dwudziestu czterech godzin przeczuwałem czyjaś śmierć.

Rozdział 19

Był wciąż jeszcze w skórzanej czapce, mocno przekrzywionej na lewy bok, nad uchem miał okrągłą dziurę, a lewy policzek upstrzony czarnymi oparzeniami od prochu. Głowa, przegięta od uderzenia kuli,

135

134 /

przetoczyła się po ramieniu, kiedy go sadzałem. Brudne ręce, ześliznąwszy się z kierownicy, zwisały bezwładnie.

Podtrzymując go na siedzeniu, jedną ręką przeszukałem kieszenie. Z bocznych kieszeni skórzanej wiatrówki wyciągnąłem sztormową zapalniczkę, która pachniała benzyną, tanią drewnianą papierośnicę, do połowy wypełnioną papierosami w brunatnej bibułce, i czterocalowy nóż sprężynowy. W tylnej kieszeni Wisów znalazłem wytarty-portfel ze skóry rekina, a w nim osiemnaście czy dwadzieścia

dolarów w banknotach jedno- i dwudolarowych i kalifornijskie prawo jazdy, dopiero co wystawione na nazwisko Lawrence'a Becke-ra. Jako miejsce zamieszkania figurował w prawie jazdy tani hotelik w Los Angeles, niemal na pograniczu dzielnicy nędzy. Ani ten adres, ani nazwisko nie były prawdziwe.

Z lewej bocznej kieszeni spodni wydobyłem brudny grzebyk w futerale z imitacji skóry, z prawej ciężki pęk kluczyków na łańcuszku - kluczyków do samochodów wszystkich marek, poczynając od Chevroleta, a na Cadillaku kończąc - oprócz niego zaś na pół zużyty kartonik zapalek z napisem: „Pamiątka z Baru Narożnego, Cocktaile i kotlety, Autostrada 101, na południe od Buenavista". Pod wiatrówką mężczyzna miał na' sobie tylko trykotową koszulkę.

W popielniczce na tablicy rozdzielczej tkwiło parę krótkich niedopałków papierosów z marihuaną, ale nie było w wozie absolutnie niczego. Nawet karty rejestracyjnej w schowku ani stu tysięcy dolarów w banknotach średniej wartości.

Włożyłem z powrotem wyjęte z kieszeni przedmioty i podparłszy go na siedzeniu zatrzasnąłem drzwiczki, żeby nie wypadł. Obejrzałem się jeszcze raz przez ramię, zanim wsiadłem do własnego samochodu. Światła Lincolna były wciąż zapalone, silnik pracujący na jałowym biegu nadal wydzieliał z rury wydechowej

136

nieprzerwaną smużkę spalin. Nieboszczyk przygarbiony nad kierownicą zdawał się gotów ruszyć w długą, szybką podróż w inną stronę kraju,

Studebaker Gravesa stał zaparkowany koło pomp na

Istacji benzynowej. Czekający przy nim Graves i Tag-gert podbiegli, kiedy się zjawiłem. Twarze mieli blade, ściągnięte z przejęcia. - To była czarna limuzyna - powiedział Graves. - Odjeżdżaliśmy powoli i widziałem, jak przystaje na rogu. Nie dojrzałem jego twarzy, ale miał czapkę i skórzaną wiatrówkę. - - Ma je w dalszym ciągu. — Mijał pana? - Głos Taggerta pod wpływem napięcia przycichł do szeptu. - Skreślił nie dojeżdżając do mnie. Siedzi w samochodzie przy następnej bocznej drodze z kulką w głowie. - Chryste Panie! - wykrzyknął Graves. - Ty go nie zastrześliś, prawda, Lew? - Zrobił to ktoś inny. W minutę po strzale z bocznej drogi wyjechała kremowa kabriolimuzyna. Wydaje mi się, że prowadziła kobieta.

Skierowała się w stronę Los Angeles. Jesteście pewni, że wziął pieniądze? -
Widziałem, jak podnosi paczkę. - On już ich nie ma; więc musiało się zdarzyć jedno z
dwojga. Został napadnięty z bronią w rękę albo wspólnicy wystawili go do wiatru.
Jeśli go obrabowano, oni nie otrzymają tych stu kawałków. Jeśli sami wystawili go
do wiatru, zrobią to i z nami. Dla Sampsona i tak źle, i tak niedobrze. - Co robimy
teraz?-zapytał Taggart. Odpowiedział mu Graves: - Ujawniamy całą historię.
Pozwalamy działać policji. Wyznaczamy nagrodę. Pomówię o tym z panią Sampson.
- Proszę o jedno, Bert - powiedziałem. - Ani słowa o tym strzale, przynajmniej do
gazet. Jeśli to był rabu-

137

nek, wspólnicy zabitego nas obwinia i wykończą Sampsona.

- Przekłęte dranie! - W głosie Gravesa dźwięczał gniew i surowość. - My ze swej
strony dotrzyaliśmy umowy. Żeby tak wpadli mi w ręce...

- Nawet byś o tym nie wiedział, Mamy tylko nieboszczyka w wypożyczonym
samochodzie. Lepiej zawiadom szeryfa; dużo nie zdołała, ale zrobimy ładny gest.
Potem patrol drogowy i FBI. Wciągnij w to jak najwięcej ludzi.

Zwolniłem ręczny hamulec i samochód potoczył się kilkanaście centymetrów do
przodu. Graves odskoczył od okienka.

- A ty gdzie wyruszasz?

- Z motyką na słońce. Sprawy przybrały dla Sampsona taki zły obrót, że nic mu nie
zaszkodzi.

Poniosło mnie osiemdziesiąt kilometrów do Buena-vista. Autostrada poszerzyła się
dwukrotnie, przechodząc w główną ulicę miasta, rozjaśnioną szyldami moteli i knajp
oraz oświetlonymi fasadami trzech kin. Dwa z nich reklamowały filmy
meksykańskie. Meksykanie żyli z ziemi, kiedy zamknięto fabryki konserw. Pozostali
mieszkańcy miasta żyli z Meksykanów i floty rybackiej.

Zatrzymałem się w centrum przed bardzo wielobranżowym sklepem z cygarami, w
którym oprócz nich sprzedawano broń, czasopisma, sprzęt rybacki, piwo z beczki,
materiały piśmienne, rękawice baseballowe i środki antykoncepcyjne. Dwudziestu
paru młodych Meksykanów z tłustymi włosami ulizanymi na mandolinę tłoczyło się

u' wejścia. Wchodzili i wychodzili, wabieni do środka przez stojące w głębi kręgle mechaniczne, a na ulicę przez spacerujące tam dziewczęta, które wymalowane, przystrojone wstążkami, pruły piersiami powietrze. Chłopcy pogwizdywali, przybierali różne pozy albo udawali niezaintereso-wanych.

138

Przywołałem jednego z nich do krawężnika i zapytałem o Bar Narożny. Po naradzie z innym pachuco obaj wskazali na południe.

— Prosto, jakieś osiem kilometrów, tak jak droga do White Beach.

- Jest tam duży czerwony szyld - powiedział drugi chłopak, z entuzjazmem wyciągając ramiona, - Nie można nie zauważyć. Bar Narożny.

Podziękowałem im obu. Kłaniali się, uśmiechali i kiwali głowami, jak gdybym wyświadczył im uprzejmość.

Nazwa baru wypisana była czerwonymi neonowymi literami na dachu podłużnego, niskiego budynku na prawo od autostrady, Dalej, na skrzyżowaniu, czarno--biały drogowskaz wskazywał drogę do White Beach. Zostawiłem wóz na wyasfaltowanym parkingu obok budynku, Stało tam jeszcze z osiem czy dziesięć samochodów, a na poboczu ciężarówka z przyczepą. Przez zasłonięte do połowy okna widziałem kilka par przy stolikach i kilka na parkiecie.

Na lewo od wejścia znajdował się długi, kompletnie pusty bar, na prawo sala jadalna z danciem. Przystanąłem w drzwiach, jakby za kimś się rozglądając. Tancerzy nie wystarczało, żeby w dużą salę tchnąć życie. Bawili się przy muzyce z szafy grającej. W głębi wznosiła się pusta estrada dla orkiestry. Jedyłą pozostałością gwarnych nocy wojennych była podziurawiona butami podłoga, rzędy nie nakrytych kulawych stolików, zapachy czepiające się ścian niczym pijane wspomnienie, a strzępy dekoracji - niczym pijane nadzieje.

Goście wyczuwali panującą tu atmosferę przygnębienia. Mieli miny ludzi, którzy po omacku szukają śmiechu i radości, lecz jakoś nie mogą ich schwytać. Żadna z tych twarzy nic mi nie mówiła.

Podeszła do mnie jedyna kelnerka. Miała ciemne oczy, łagodne usta i dobre ciało zaczynające przekwitać

po dwudziestce. Z twarzy i ciała można było odczytać jej historię. Stąpała ostrożnie, jakby na obolałych nogach.

- Usiądzie pan przy stoliku?

- Dziękuję, posiedzę w barze. Ale może będzie mi pani mogła pomóc. Szukam znajomego z rozgrywek baseballowych. Nie widzę go tutaj.

- Jak się nazywa?

- W tym rzecz... Nie znam jego nazwiska. Jestem mu winien pieniądze, bo przegrałem zakład, a on wyznaczył mi tu spotkanie. Drobny facet, około trzydziestki piątki, ubrany w skórzaną wiatrówkę i skórzaną czapkę. Oczy niebieskie, spiczasty nos. >-1 dziura w głowie, siostró, dziura w głowie.

- Chyba wiem, o kogo panu chodzi. Nazywa się Eddie i jakoś tam dalej. Czasami wstępuje na drinka, ale dziś go nie było.

- Tu mi wyznaczył spotkanie. O której zwykle przychodzi?

- Jeszcze później, około północy. Jest kierowcą ciężarówki, prawda?

- Tak, granatowej.

- To ta sama - powiedziała. - Widziałam ją na parkingu. Był tutaj parę dni temu, zamówił z naszego telefonu zamiejscową. Dokładnie mówiąc trzy dni temu. Szef nie był zachwycony, bo nigdy nie wiadomo, ile wziąć, jak rozmowa trwa ponad trzy minuty, ale Eddie powiedział, że będzie mówił na koszt tamtego, więc szef mu pozwolił. Ile jest mu pan winien?

- Mnóstwo. Nie wie pani, gdzie dzwonił?

- Nie. To zresztą nie mój interes. A pański?

- 'Ja chcę się z nim tylko skontaktować. Wówczas mógłbym mu przesłać pieniądze.

- Może je pan zostawić u szefa, jak pan chce.

- Gdzie on jest?

- To Chico. Za barem.

Mężczyzna siedzący przy jednym ze stolików postu-

kał szklanką o blat, więc oddaliła się stąpając ostrożnie. Ja przeszedłem do baru.

Twarz barmana, od łysiny na czole do obwisłej szczęki, była okropnie długa i chuda.

Noc prezydowania za pustą ladą jeszcze bardziej ją chyba wydłużyła.

- Co podać?

- Piwo.

Szczęka opadła mu jeszcze trochę niżej.

- Wschodnie czy zachodnie?

- Wschodnie.

- To będzie trzydzieści pięć z muzyką. - Szczęka wróciła na dawną pozycję. -

Zapewniamy muzykę.

- Czy mogę dostać kanapkę?

- Pewnie - odrzekł prawie wesoło. - Jaka?

- Z bekonem i jajkiem.

- Okej. - Przez otwarte drzwi dał znak kelnerce.

- Rozglądam się za facetem, któremu na imię Eddie - powiedziałem. - Za tym, co wtedy zamawiał do mnie zamiejscową.

- Pan z Las Vegas?

- Prosto stamtąd.

- Jak interesy w Las Vegas?

- Dość kiepsko.

- O, to marnie - rzekł rozradowany. - Czemu go pan szuka?

- Jestem mu winien trochę pieniędzy. Mieszka gdzieś tutaj?

- Taak. Chyba tak. Ale nie wiem gdzie. Wstępował raz czy dwa razy z babką, blondynką. Pewnie żona. O ile wiem, może przyjść i dzisiaj. Niech pan zaczeka.

- Dziękuję, chętnie.

Przeniosłem piwo na stolik pod oknem, przez które mogłem obserwować parking i główne wejście. Po chwili kelnerka postawiła przede mną kanapkę. Ociągała się z odejściem, choć zapłaciłem i dałem napiwek.

- Zostawi pan pieniądze u szefa?

141

140

- Właśnie tak sobie myślę. Chcę być pewny, że je otrzyma.

- Zżera pana uczciwość, co?
- Wie pani, co się dzieje z bukmacherami, którzy nie płacą.
- Pan rai tak jakoś wyglądał na bukmachera. -Pochyliła się ku mnie z nagłą natarczywością. - Niech pan słucha. Mam przyjaciółkę, ona chodzi z chłopakiem, co objeżdża konie, i ona mówi, że on mówi, że jutro w trzeciej gonitwie Jinx to pewniak. Stawiałby pan na pewniaka czy na porządek?
- Niech pani nie wydaje pieniędzy - odparłem. - Ich się nie pobije.
- Stawiam tylko napiwki. Ten chłopak, wielbiciel mojej przyjaciółki, mówi, że Jinx to pewniak.
- Niech pani ich nie wydaje. Sceptycznie zesznurowała usta.
- Śmieszny z pana bukmacher.
- Zgoda. - Wręczyłem jej dwa banknoty jednodola-rowe. - Niech pani postawi na Jinx'a i sama się przekona.

Popatrzyła na mnie z gniewnym zdziwieniem.

- O rany, dziękuję panu, ale ja nie prosiłam o forszę.
- Lepsze to niż przegrywać własną.

Prawie od dwunastu godzin nie miałem nic w ustach i kanapka mi smakowała. Zanim skończyłem jeść, zajęchało kilka samochodów. Śmiejąc się i rozmawiając weszła młodzieżowa paczka i przy barze zapanowało ożywienie. Potem na parking skręcił czarny wóz, czarny czterodrzwiowy Ford z czerwonym policyjnym reflektorem sterującym przy szybie niby skaleczony kciuk.

Wysiadł z niego mężczyzna w cywilnym ubraniu, które nosił tak ostentacyjnie, jakby to był strój sędziego na meczu baseballowym. Na prawym biodrze kurtkę wydymał rewolwer. Kiedy nowo przybyły wkroczył w krąg światła padającego od drzwi, dojrzałem jego twarz. Był to zastępca szeryfa z Santa Teresa. Wstałem szybko i zniknąłem za drzwiami męskiej toalety w drugim końcu baru, zamykając je na zasuwkę. Opuściłem deskę i usiadłem, żeby się zastanowić nad własną krótkowzrocznością. Nie powinienem był zostawiać kartonika z zapalkami w kieszeni Eddie'ego jak mu tam.

Osiem czy dziesięć minut poświęciłem na odczytywanie napisów pokrywających

bielone ściany. „John «Szmaciarz» Latino, zwycięzca na 120 przez płotki, szkoła średnia w Dearborn, Michigan, 1946", „Franklin P. Schneider, okręg Osage, Oklahoma, głuchoniemy, dziękuję". Resztę stanowiły zwykłe klozetowe graffiti urozmaicone prymitywnymi rysunkami kreskowymi.

Goła żarówka pod sufitem świeciła mi w oczy. Przeskoczyłem myślami na inny temat i zasnąłem w pozycji siedzącej. Bielony korytarz prowadził ukośnie w głąb ziemi, a ja szedłem nim do podziemnej rzeki nieczystości, która przepływała pod miastem. Nie miałem odwrotu. Trzeba było w bród przedostać się przez ekskrementy. Na szczęście wziąłem ze sobą szczudła. Dzięki nim przepравиłem się czysty, owinięty w celofan, na pomost po drugiej stronie rzeki. Odrzuciłem szczudła - były to zarazem kule - wstępując na chromowane schody ruchome, lśniące niczym paszcza śmierci. Gładko i pewnie uniosły mnie poprzez wszystkie strefy zła do umajonej różami furtki, którą otwarło mi dziewczę w lnianej szacie, śpiewając Home, Sweet Home. Wyszedłem na brukowany plac, po czym furtka zatrzasnęła się za mną. Choć był to plac w środku miasta, znajdowałem się na nim sam. O tej bardzo późnej godzinie tramwaje już nie kursowały. Żółty blask pojedynczej latarni padał na wygładzony stopami chodnik. Kiedy się poruszyłem, moje kroki rozbrzmiały samot-ym echem, a czworokąt przygarbionych domów czynszowych zamruczał jak las przed burzą. Furtka ponownie się zatrzasnęła i otworzyłem oczy.

Jakiś metalowy przedmiot łomotał w drzwi.

143

142

- Otwierać - rozkazał zastępca szeryfa. - Wiem, że tam jesteś.

Odsunąwszy zasuwkę otworzyłem drzwi na oścież.

- Śpieszy się panu, panie władzo?

- A więc to ty. Tak sobie myślałem. - Z zadowoleniem wybałuszał czarne oczy i wydymał grube wargi. W ręku trzymał rewolwer.

- A ja aż za dobrze wiedziałem, że to pan -odparłem - ale nie widziałem potrzeby informowania o tym każdego.

- Może miałeś jakiś powód, żeby cicho siedzieć, co? Może miałeś powód, żeby się

schować na mój widok? Szeryf uważa, że zrobił to ktoś z domowników, i będzie ciekaw, co cię tu sprowadziło,

- To ten facet - przemówił barman do jego pleców. - Powiedział, że Eddie dzwonił do niego do Las Vegas.

- I co ty na to? - spytał zastępca szeryfa wymachując mi przed oczami rewolwerem.

- Proszę wejść i zamknąć drzwi.

- Co? No to ręce do góry.

- Chyba nie.

- Ręce do góry. - Lufą dźgnął mnie w splot słoneczny. - Masz broń? - Drugą ręką zaczął mnie rewidować.

Wycofałem się z zasięgu tej dłoni.

- Mam broń. Nie może jej pan zabrać.

Znow ruszył w moją stronę. Drzwi się za nim zamknęły.

- Wiesz, co to jest? Stawianie oporu funkcjonariuszowi pełniącemu służbę. Mam ochotę przymknąć cię w areszcie.

- Wyobrażam sobie, ty dupku.

- Bez żartów, frajerze. Chcę tylko wiedzieć, co tu porabiasz.

- Zabawiam się.

- Więc nie będziesz gadał, co? - zapytał jak typowy glina z komiksu. Wzniósł wolną rękę do ciosu.

- Hola. Nie waż się mnie tknąć.

144

- A to czemu?

- Bo nigdy nie zabiłem gliniarza. Byłaby to skaza na moim honorze.

Nasze spojrzenia spotkały się i zwarły. Jego wzniesiona ręka zastygła w powietrzu i powoli zaczęła opadać.

- A teraz odłóż spluwę - powiedziałem. - Nie lubię, jak mi ktoś grozi.

- Nikt cię nie pytał, co lubisz - odparował, ale już bez ognia. Jego śniada, twarz wyrażała sprzeczne uczucia: gniew i powątpiewanie, podejrzliwość i oszołomienie.

- Przyjechałem tutaj z tego samego powodu co pan, panie władzo. - Choć z trudem,

udało mi się jakoś wymówić ostatnie słowa. - Znalazłem kartonik zapalek w kieszeni Eddie'ego...

- Kto ci powiedział, jak mu na imię? - zapytał wybystrzony.

-- Kelnerka.

- Taa? Barman mówił, że telefonował do ciebie do Las Vegas.

- Próbowałem pociągnąć barmana za język. Rozumie pan? Nabiłem go w butelkę. Starąłem się chytrze go podejść.

- No i czego się dowiedziałeś?

- Nieboszczyk ma na imię Eddie i był kierowcą ciężarówki. Czasami występował tutaj na drinka. Trzy dni temu dzwonił stąd wieczorem do Las Vegas. Sarfip-son był wtedy w Las Vegas.

- Nie bujasz?

- Nie bujałbym pana, panie władzo, nawet gdybym mógł.

- OJezu-powiedział.-Wszystko się zgadza.no nie?

- Nie przyszło mi to do głowy. Bardzo dziękuję, że zwrócił mi pan na to uwagę. Obdarzył mnie dziwnym spojrzeniem, ale odłożył rewolwer.

10 - Ruchomy cel

Rozdział 20

Odjechałem od baru niecały kilometr autostradą, zakreśliłem i wróciłem w to samo miejsce. Wóz zostawiłem na przeciwległym rogu. Samochód zastępcy szeryfa stał jeszcze na parkingu.

Mgła się unosiła, rozrzedzała na niebie jak mleko w wodzie i zdmuchiwana przez wiatr odpływała nad morze. Poszerzający się horyzont przypominał mi tylko, że Ralf Sampson może być daleko stąd - właściwie wszędzie. Może umiera z głodu w górskiej chacie, leży na dnie morskim albo w głowie ma dziurę jak Eddie.

Samochody mijają zajazd śpiesząc w obu kierunkach, do domu albo ku jaśniejszemu światłu. Moja twarz, odbita we wstecznym lusterku, była upiornie blada, jakbym trochę zaraził się śmiercią od Eddie'ego. Pod oczami wystąpiły mi kręgi, zarost wymagał zgolenia.

Nadjeżdżająca z południa ciężarówka przetoczyła się koło mnie powoli. Skrzyła na

parking Baru Narożnego. Była granatowa, budę miała zamkniętą. Z szoferki wyskoczył mężczyzna i zaszurał nogami po asfalcie. Poznałem jego elastyczny chód, a w świetle padającym od drzwi także i twarz. Dziki rzeźbiarz wyrąbał ją z kamienia, po czym roztrzaskał drugim kamieniem.

Na widok czarnego wozu policyjnego zatrzymał się raptownie. Przystanął, zawrócił i pobiegł z powrotem do ciężarówki. Ze zgrzytem przerzucanych biegów wyjechała z parkingu i ruszyła drogą do White Beach. Kiedy tylne światło zmałało do rozmiarów czerwonej iskierki, podążyłem jej śladem. Droga była najpierw asfaltowa, potem żwirowana, wreszcie piaszczysta. Przez trzy kilometry łykałem kurz, który on wzbijał.

Między dwoma urwiskami, gdzie droga dochodziła do plaży, przecinała ją inna. Światła ciężarówki skręciły w lewo i wspięły się na stok. Kiedy minęły grzbiet wzniesienia i znikły mi z oczu, pojechałem za nimi.

146

Droga była wąska, wycięta w zboczu wzgórza. Z grani widziałem ocean rozpostarty w dole po prawej ręce. Wśród chmur znoszonych ku morzu wędrował księżyc. Jego światło odbijało się od czarnej wody matowym ołowianym blaskiem.

Przede mną szczyt wzgórza się spłaszczył, droga wyprostowała. Jechałem dalej wolno, z pogaszonymi światłami. Zanim się zorientowałem, dogoniłem ciężarówkę. Stała w alejce, nie zdradzając się reflektorami,

0 pięćdziesiąt kroków od drogi. Nie zatrzymałem wozu.

Jeszcze czterysta metrów i droga raptownie urwała się u stóp wzgórza. Na prawo kręta polna droga wiodła nad ocean, ale wjazd uniemożliwiała zamknięta drewniana furtka. Zakręciłem w ślepej uliczce i pieszo wspiąłem się na stok.

Rząd eukaliptusów, strzępiasty na tle nieba, wyznaczał brzeg alejki, na której stała ciężarówka. Zacząłem iść pod osłoną drzew, równoległe do drogi. Wyboisty teren porastały kępy ostrej trawy. Potykałem się często. A potem otwarła się przede mną wolna przestrzeń

1 omal nie przestąpiłem krawędzi urwiska. Daleko w dole białe fale przybrzeżne głaskały plażę. Morze sprawiało wrażenie dość bliskiego, by dać w nie nurka, lecz

twardego jak metal.

W prawo pode mną majaczył biały prostokąt światła. Złaząc i ześlizgując się po zboczu, czepiałem się trawy, żeby nie upaść. Wokół światła zarysowała się sylwetka budynku, białej chaty tkwiącej u nasady urwistego cypla.

Przez odsłonięte okno widać było cały pokój. Nama-cawszy rewolwer w kaburze podkradłem się na czworakach pod ścianę. W izbie znajdowało się dwoje ludzi. Żadne z nich nie było Sampsonem.

Puddler wcisnął się w fotel z wgłębionym oparciem i siedział, z butelką piwa w garści, ukazującmi złamany nos z profilu. Na wprost niego, na nie zasłanym tapczanie pod ścianą, zobaczyłem kobietę. Lampa benzynowa

147

zwisająca z krokwi nie otynkowanego sufitu rozjaśniała ostrym białym światłem pasma jej blond włosów i twarz chudą, udreńczoną, o nozdrzach rozdętych oburzeniem i spieczonych wargach. Żywe pozostawały w tej twarzy tylko zimne brązowe oczy, błyskające spośród zmarszczek. Przekrzywiłem głowę, żeby nie znajdowała się w ich zasięgu.

Izba nie była duża, ale sprawiała wrażenie straszliwie pustej. Podłoga z gołych sosnowych desek lepiała się od brudu. Pod lampą stał drewniany stół, na nim stos brudnych naczyń, a pod ścianą w głębi dwupalnikowa kuchenka naftowa, przechylona lodówka, zlew pokryty plamami rdzy i blaszany kubełek, do którego woda kapiała ze zlewu.

Wewnątrz panowała taka cisza, ściany z deseczek były tak cienkie, że słyszałem miarowy syk lampy. I głos Puddlera, kiedy się odezwał: Przecież nie mogę czekać całą noc. Nie możesz się tego po mnie spodziewać. Muszę wracać do swojej roboty. I nie podoba mi się ten wóz policyjny przed Narożnym.

- Już to mówiłeś. Wóz nic nie znaczy.

- Powtarzam jeszcze raz. Powinienem już być w Fortepianie. Pan Troy był wściekły, że Eddie się nie pokazał.

- Szlag go trafiał. - Głos kobiety, ostry i cienki, przypominał jej rysy. - Niech się wypcha, jak nie jest z pracy Eddie'ego zadowolony.

- Nie masz prawa tak gadać. - Puddler rozejrzał się dokoła. - Nie gadałaś tak, jak Eddie po wyjściu z mam-ra przyszedł i skamlał o robotę. Jak wyszedł z mamra i przyszedł skamlać o robotę, i pan Troy mu ją dał...

- Na litość boską! Czy musisz w kółko powtarzać to samo, ty tępaku?

Jego pokryta bliznami twarz pofałdowała się pod wpływem urazy i zdziwienia.

Schowal głowę w ramiona, a gruba szyja zmarszczyła się jak szyja żółwia,

- Nie powinnaś tak mówić, Marcie.

- To zamknij jadaczkę inie gadaj o Eddie'em i mam-rze. - Jej głos kąsał niczym wąskie ostrze noża. - He więzien widziałeś od środka, tępaku?

Zamiast odpowiedzi ryknął w udreće:

- Odwal się ode mnie, słyszysz?

- Dobra, to ty się odwal od Eddie'ego.

- A gdzież, u diabła, on się podziewa?

- Nie wiem, gdzie jest i dlaczego, ale wiem, że ma jakiś powód.

- Lepiej niech znajdzie dobry powód, jak będzie rozmawiał z panem Troyem.

- Z panem Troyem, z panem Troyem. Zahipnotyzował cię, co? Może Eddie nie będzie rozmawiał z panem

Troyem.

Świdrował ją małymi oczkami, usiłując odczytać sens tych słów z jej twarzy, ale zrezygnował.

- Posłuchaj, Marcie - rzekł po chwili. - Ty możesz pojechać ciężarówką.

- Jeszcze czego! Nie chcę maczać w tym palców.

- To dobre dla mnie. Dobre dla Eddie'ego. Strasznie się zrobiłaś wybredna, odkąd cię wziął z ulicy...

~ Stul pysk, bo pożałujesz! Z tobą jest ten kłopot, że się pietrasz. Zobaczysz wóz patrolowy i jvż robisz w gacie. Więc jak każdy alfonsiak próbujesz wszystko zwalić na kobietę.

Zerwał się gwałtownie, wymachując butelką.

- Odczep się ode mnie, słyszysz? Nie będę słuchał niczyjzego gadania. Jakbyś była mężczyzną, tobym ci gębę rozkwasił, słyszysz? - Piwo pieniające się pociekło na

podłogę i na jej kolana.

Odpowiedziała z wielkim opanowaniem:

- Nie mówiłbyś tak przy Eddie'em. Bo wiesz, że by cię porzwał na drobne kawałki.

- Ten pokurcz!

- Taak, ten pokurcz! Siadaj, Puddler. Wszyscy wiedzą, jaki z ciebie pięściarz.

Dostaniesz jeszcze piwa.

149

148

Wstała i przeszła przez pokój, stąpając lekko i z wściekłością jak zgłodniała kotka.

Zdjętym z gwoździa przy zlewie ręcznikiem osuszyła plamy piwa na płaszczu kąpielowym.

- Pojedziesz ciężarówką? — zapytał Puddler z nadzieją w głosie.

- Czy muszę tak jak ty wszystko dwa razy powtarzać? Nie pojedę ciężarówką. Jeśli się boisz, niech któryś z nich prowadzi.

- Nie, tego nie wolno mi zrobić. Nie znają drogi; pozabijają się.

- Wobec tego tracisz czas, prawda?

- Taa, chyba tak. - Podeszedł do niej niepewnie, rzucając wielki cień na podłogę i ścianę. - A co powiesz na mały numer przed odjazdem? Na małą zabawę? Eddie jest pewnie w łóżku z inną babką. Mam pod dostatkiem tego, co trzeba.

Wzięła ze stołu nóż do krajania chleba, taki z karbowanym ostrzem.

- Zabierz to ze sobą, Puddler, albo tym cię pokocham.

- Daj spokój, Marcie. Dobrze by nam było razem. - Stał nieruchomo, zachowując dystans.

Przełknęła ślinę, żeby opanować atak hysterii, ale z jej gardła wydobył się wrzask:

- Zjeżdżaj! - Nóż mignął w jaskrawym blasku, wycelowany w jego szyję,

- Okej, Marcie. Niepotrzebnie się wściekasz. — Wzruszył ramionami i odwrócił się z urażoną, bezradną miną wzgardzonego kochanka.

Porzuciłem stanowisko przy oknie i zacząłem się wspinać pod górę. Zanim dotarłem do szczytu, drzwi się rozwarły, rzucając podłużną plamę światła na stok. Zastygłem w pozycji na czworakach. Widziałem cień własnej głowy na suchej trawie przed

sobą.

Potem drzwi się zamknęły, otuliła mnie ciemność. Cień Puddlera wyłonił się z rozlewiska cieni za domem.

150

Ruszył stromą ścieżką, wzbijając kurz nogami, i zniknął za rzędem eukaliptusów. Musiałem wybierać między nim i blondynką. Wybrałem Puddlera. Marcie mogła poczekać. Będzie czekała całe wieki na powrót Eddie'ego jak mu tam.

Rozdział 21

Parę kilometrów na północ od Buenavista granatowa ciężarówka skręciła z autostrady na prawo. Przystanąłem, żeby mogła porządnie się oddalić. Drogowskaz na skrzyżowaniu wskazywał „Drogę widokową”. Zanim ruszyłem w tym kierunku, zmieniłem światła ze zwykłych na przeciwmgłowe. Wiatr zdmuchnął mgłę nad morze, ale nie chciałem, żeby Puddler przez cały czas widział za sobą te same reflektory.

Przez dwie godziny przejechaliśmy około stu piętnastu kilometrów po trudnych górskich trasach. Jeden ośmiokilometrowy odcinek nad krawędzią tak wysoką, że czułem ucisk w uszach, był gorszy niż jakakolwiek droga, którą zdarzyło mi się jechać przy świetle dziennym: dwie koleiny wzdłuż czarnego zrębu skalnego, a pod każdym zakrętem przyczajona czarna wieczność. Ciężarówka toczyła się prędko, ufnie, jakby była na szynach. Umyślnie straciłem ją z oczu, znów zapaliłem reflektory i usiłowałem poczuć się jak nowy człowiek za kierownicą innego wozu. Nie znaną mi drogą wjechaliśmy w dolinę, którą po południu przecięliśmy z Mirandą. Na prostym odcinku wiodącym jej środkiem całkowicie wygasilem światła i prowadziłem przy blasku księżyca, wspomagany pamięcią. Wydawało mi się, że wiem, dokąd zmierza ciężarówka. Musiałem być tego pewny.

Po drugiej stronie doliny zaczęła się pięć pod górę krętą asfaltową szosą prowadzącą do Świątyni w Chmurach. Znów zapaliłem światła, bo inaczej nie mógłbym jechać za Puddlerem. Kiedy dotarłem do

151

skrzynki na listy z imieniem Claude'a, drewniana brama była już zamknięta.

Cieżarówka znajdowała się wysoko, pełzła pod górę jak robaczek świętojański, Jeszcze wyżej, nad poszarpaną czarną linią horyzontu, widziałem czyste niebo upstrzone gwiazdami. Nie przysłonięty chmurami księżyc tkwił wśród gwiazd nieruchomo - okrągła biała dziura w mroku nocy.

Zmęczyło mnie czekanie, ściganie ludzi po ciemku i niemożność ujrzenia ich twarzy. O ile się orientowałem, będą tam tylko ci dwaj: Puddler i Claude. Miałem broń, a element zaskoczenia da mi przewagę.

Otworzy bramę wjechałem na krętą drogę dojazdową prowadzącą na skraj płaskowyżu i w dół do Świątyni. Nad białą bryłą budynku unosiła się delikatna poświata bijąca od zapalanej wewnątrz lampy. Cieżarówka stała za otwartą drucianą furtką, drzwiczki z tyłu miała nie zamknięte. Zaparkowałem przy furtce i wysiadłem. W budzie nie było nic prócz przyczajonych cieni, drewnianych, obitych jutowym materiałem ławek po obu bokach i prócz cierpkiego zapachu mężczyzn, którzy pocili się i wysychali w ubraniu.

Drzwi Świątyni uchyliły się ze zgrzytem żelaznych zawiasów; w progu stanął Claude, karykatura rzymskiego senatora, skąpiana w księżycowym blasku. Jego sandały ząchrzęściły na żwirze.

- Kto tam? - zapytał.

- Archer. Pamięta mnie pan?

Wyszedłem zza ciężarówki, żeby mógł mnie zobaczyć. W ręce ścisnął elektryczną latarkę. Jej blask padł na trzymany przeze mnie rewolwer.

- Co pan tu robi? - Potrząsnął brodą, ale głos miał spokojny.

- W dalszym ciągu szukam Sampsona - odparłem. Kiedy podszedłem bliżej, cofnął się do drzwi.

- Pan wie, że go tu nie ma. Czy jednego świętokradztwa było panu za mało?

152

- Daj spokój* z tym fetyszem, Claude. Czy kiedykolwiek ktoś się na niego nabrał?

- Więc niech pan wejdzie, jak pan musi. A widzę, że pan musi.

Przytrzymał drzwi i zamknął je za mną. Puddler stał pośrodku dziedzińca.

- Stań tam razem z Puddlerem - poleciłem Claude owi.

Ale Puddler podbiegł do mnie szurając butami. Strzeliłem raz, celując mu pod nogi. Kula pozostawiwszy białe zadraśnięcie na kamieniu przed jego stopami, ze świstem utkwiała w ścianie z nie wypalanej gliny po drugiej stronie dziedzińca. Puddler patrzył na mnie znieruchomiały.

Claude niezdecydowanie spróbował wytrącić mi rewolwer. Wymierzyłem mu łokciem cios w żołądek. Zwinął się we dwoje na bruku.

- Chodź tu - zwróciłem się do Puddlera. - Chcę z tobą pogadać.

Ani drgnął. Claude usiadł obejmując się wpół i wykrzykując coś głośno w niezrozumiałym dla mnie hiszpańskim dialekcie. Po drugiej stronie dziedzińca gwałtownie rozwarły się drzwi, jakby rozumiały po hiszpańsku. Wybiegło z nich ze dwunastu mężczyzn. Drobnymi i brunatnymi, szybko zbliżali się w moją stronę. Zęby im lśniły w świetle księżyca. Poruszali się w milczeniu i napełniali mnie strachem. Z jakiegoś powodu nie strzelałem. Brązowi mężczyźni patrzyli na rewolwer, a mimo to biegli.

Czekałem chwyciwszy broń za lufę. Pierwszym dwóm rozciąłem skórę na głowach. Potem runęli na mnie hurmem, uczepili się ramion, podstawiali mi nogi, aż upadłem, kopniakami pozbawili przytomności. Świadomość osunęła się z ciemnego zbocza świata niczym znikające tylne światło wozu.

Zmagając się z czymś odzyskałem przytomność. Ramiona miałem unieruchomione, obtartymi do krwi war-

153

gami całowałem cement. Po chwili pojąłem, że zmagam się sam ze sobą. Ręce miałem skrepowane na plecach, nogi podkulone i przywiązane do pasa. Mogłem jedynie kiwać się lekko, uderzając bokiem głowy o posadzkę. Postanowiłem tego nie robić.

Spróbowałem krzyczeć. Czaszka mi wibrowała jak żywa skóra na bębnie. Poprzez ten hałas nie słyszałem własnego głosu. Zamilkłem. Szum w głowie nie ustawał, lecz rozbrzmiewał coraz wyższą nutą, aż w końcu przekroczył moją skalę i przeszedł w bezdźwięczny skrzek. Wtedy odezwał się prawdziwy ból, który łomotał w skronie w synkopowanym rytmie, w jakim robotnicy portowi wbijają pale. Byłem wdzięczny

każdemu, kto ten rytm zakłócił, nawet Claude'owi.

- Gniew boga jest srogi - odezwał się w górze, gdzieś za moimi plecami. - Nie wolno bezkarnie profanować jego świątyni.

- Nie pleć - przemówiłem do cementu. - Będziesz odpowiadał nie za jedno, ale za dwa porwania.

- Gdzieś mam odpowiedzialność, panie Archer. - Młasnął językiem o podniebienie.

Wykręciwszy szyję mogłem zobaczyć na podłodze koło mojej głowy sękaty stopy w sandałach. - Niewłaściwie ocenia pan sytuację - rzekł przywdziewając wyszukane słownictwo jak szatę. - Wdarł się pan do naszego zacisza uzbrojony, poturbował mnie, zaatakował moich przyjaciół i uczniów...

Spróbowałem roześmiać się niewesoło i jakoś mi to wyszło.

- Czy Puddler jest jednym z tych uczniów? To typ bardzo uduchowiony.

- Proszę posłuchać, panie Archer. Bylibyśmy w pełni usprawiedliwieni, gdybyśmy zabili pana we własnej obronie. W dalszym ciągu otrzymuje pan od nas dar życia.

- Czemu nie wdrapiesz się po kominie i nie odleciez?

154

- Nie potrafi pan zrozumieć powagi tego...

- Rozumiem[^] że jesteś cuchnącym starym kanciarzem. - Chciałem się zdobyć na subtelnie jsze zniewagi, ale mój umysł nie funkcjonował należycie.

Kopnął mnie piętą w bok, tuż powyżej nerki. Otwarłem usta i zazgrzytałem zębami o cement. Nie wydałem żadnego odgłosu.

- Proszę się nad tym zastanowić - powiedział. Światło się cofnęło, trzasnęły drzwi.

Ból w mojej

głowie i ciele przypominał pulsacje gwiazdy. Mały i daleki, potem duży i bliski, kurczył się później i zamieniał w warkoczący punkt, w czubek niespokojnego świdra.

Na progu świadomości głowę mą zaludniały obrazy spoza tego progu; twarze szpetniejsze, niż widywałem na ulicach, ulice gorsze, niż widywałem w

jakimkolwiek mieście. Dotarłem do pustego placu w sercu miasta. Śmierć czaiła się za mamroczącymi oknami, stara dziwka, blada pod warstwą szminki. Patrzyła na mnie twarz co sekundę inna: brązowa młoda twarz Mirandy z siwym zarostem,

Claude z obnażonymi ustami zamieniający się w uśmiechniętą Fay, Fay kurcząca się cała, z wyjątkiem wielkich ciemnych oczu, i przekształcająca w głowę Filipińczyka, która starzeje się szybko i przeobraża w srebrną głowę Troya. Wciąż od nowa powracało spojrzenie jasnych, martwych oczu Eddie'ego, powtarzały się meksykańskie twarze, jedna podobna do drugiej, o tępych czarnych oczach i połyskliwych zębach, zakrzywionych do dołu w uśmiechu pełnym złości i trwogi. Z ramionami mocno skrępowanymi na plecach, z piętami przyciśniętymi do pośladków prześliznąłem się przez próg i zapadłem w niespokojny sen.

Światło sączące się pod powieki przywiodło mnie z powrotem w zamknięty czerwony świat. Nad głową usłyszałem głos, więc nie otwierałem oczu. Był to łagodny pomruk Troya.

155

- Popeliłeś poważny błąd, Claude. Znam tego faceta, rozumiesz? Dlaczego nie powiedziałeś mi o jego poprzedniej wizycie?

- Nie uważałem jej za istotną. Szukał Sampsona, to wszystko. Była z nim córka Sampsona. - Claude po raz pierwszy mówił zwyczajnie. Głos jego zatracił napuśzoność i wznosił się o pełną oktawę. Wydawał takie dźwięki jak strwożona kobieta.

- Nie uważałeś jej za istotną, co? Powiem ci, jaka jest dla ciebie istotna. Oznacza, że przestałeś być użyteczny. Możesz się stąd wynosić razem ze swoją brązowo-skórą flądą.

- To mój dom! Sampson powiedział, że mogę tu mieszkać. Nie możesz mnie wyrzucić.

- Już to zrobiłem, Claude. Pokpiłeś sprawę na swoim odcinku, co oznacza, że jesteś skończony. Przypuszczalnie wszystko się skończyło. Wynosimy się .ze Świątyni i nie zostawimy tu ciebie, żebyś zaczął sypać.

- Ale gdzie pójdę? Co będę robił?

- Otwórz jeszcze jeden lipny kościół. Wróć do Gower Gulch. Nie obchodzi mnie, co zrobisz.

- Fay nie będzie z tego zadowolona - rzekł Claude z wahaniem.

- Nie zamierzam jej pytać o radę. I nie będziemy już się sprzeczać albo dalszą

dyskusję z tobą zlecę Puddle-rowi. Chcę tego uniknąć, bo mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie.

- Jakie? - zapytał Claude z udanym zapałem.

- Możesz załatwić dostawę obecnego ładunku. Wcale nie jestem pewien, czy choć do tego się nadajesz, ale muszę zaiżykować. Zresztą ty poniesiesz największe ryzyko. Nadzorca z rancza będzie na ciebie czekał przy południowo-wschodnim wjeździe, żeby bezpiecznie ich przeprowadzić. Wiesz, gdzie to jest?

- Tak. Zaraz przy autostradzie.

- Bardzo dobrze. Jak wyładujesz, odstaw ciężarówkę z powrotem do Bakersfield i tam się jej pozbądź. Nie próbuj jej sprzedawać. Zostaw ją na parkingu, a sam się ulotnij. Mogę zaufać, że to zrobisz?

- Tak, proszę pana. Ale nie mam pieniędzy.

- Daję ci setkę.

- Tylko setkę?

- Masz szczęście, że aż tyle, Claude. Możesz już ruszać. Powiedz Puddlerowi, że jak skończy jeść, ma przyjść do mnie.

- Nie pozwoli pan zrobić mi krzywdy, panie Troy?

- Nie bądź głupi. Nie pozwoliłbym mu tknąć włosa z twojej plugawej głowy. Claude oddalił się szurając sandałami. Tym razem światło pozostało. Poczulem szarpnięcie sznura krępującego mi nadgarstki. Ręce i przedramiona miałem ścierpnięte, ale zasygnalizowały wzrost naprężenia.

- Odwal się! - Ruch warg wywołał atak szczękania zębami. Musiałem je zacisnąć, żeby nad tym zapanować.

- Wszystko przejdzie za małą chwilę - powiedział Troy. - Związali pana jak koguta na targ, co?

Nóż ze szmerem ciął włókna sznura. Napięcie w nogach i ramionach zelżało. Stuknęły o cement jak drewniane kloce, Dreszcze chwyciły mnie za kark i wstrząsnęły gwałtownie.

- Wstawaj, stary.

- Dobrze mi tutaj, - Nerwy rąk i nóg odzyskiwały czucie, piekąc wolnym ogniem.

- Niech się pan nie dąsa, panie Archer. Już raz ostrzegałem pana przed moimi współpracownikami. Jeśli obeszli się z panem dość brutalnie, musi pan przyznać, że sam się tego dopraszał. I pozwolę sobie zauważyć, że pańska metoda sprzedaży polis ubezpieczeniowych jest zgoła niezwykła. Na szczycie góry, bardzo wczesnym rankiem, z bronią w ręku oferuje pan te polisy ludziom, którzy przypuszczalnie będą żyli o wiele dłużej od pana.

Przesunąłem ramiona po posadzce i ściągnąłem roz-

157

156

rzucone nogi. Krew krążyła w nich teraz, jakby była szorstkim, rozgrzanym sznurem.

Troy odstąpił szybko, robiąc z przytupem dwa kroki.

- Trzymam w ręku rewolwer wycelowany w tył pańskiej głowy, panie Archer. Ale powoli może pan wstawać, jeśli czuje się pan na siłach.

Podciągnąwszy pod siebie ręce i nogi dźwignąłem się z trudem. Izba zawirowała, przechyliła się i znieruchomiała. Była to jedna z pustych cel przylegających do dziedzińca Świątyni. Na ławce pod ścianą stała elektryczna latarka. A obok Troy, elegancki i wymuskany jak zawsze, z tym samym niklowanym pistoletem.

- Wczoraj uwierzyłem panu mimo wszystko - powiedział. - I niestety spotkał mnie zawód.

- Wykonuję swoją pracę.

- Która zdaje się kolidować z moją. - Poruszył trzymanym w ręku rewolwerem, jakby dla zaakcentowania swych słów. - Na czym właściwie polega ta praca, mój stary?

-- Szukam Sampsona.

- To Sampson zaginął?

Popatrzyłem w jego niewzruszoną twarz, usiłując odgadnąć, ile jest mu wiadomo.

Nie zdradzała niczego.

- Nudzą mnie retoryczne pytania, Troy. Rzecz w tym, że nic nie zyskasz na drugim porwaniu. Lepiej ci się opłaci wypuścić mnie na wolność.

- Proponujesz transakcję, mój drogi? Ale chyba nie za wiele masz do zaoferowania.

- Nie działam nawłasną rękę - odparłem. - Gliny są teraz w Fortepianie. Obserwują dom Fay. Miranda Sampson sprowadzi ich tu dzisiaj. Choćbyś ze mną nie wiem co zrobił, to koniec twoich machlojek. Zastrzel mnie, a jesteś załatwiony.

- Być może przeceniasz swoje znaczenie. - Uśmiechnął się ostrożnie. - Co byś powiedział na procent od dzisiejszego utargu?

- Co bym powiedział? - Kombinowałem, jakby się

158

wywinąć spod lufy rewolweru. W głowie trochę mi się mąciło. Za wiele wysiłku kosztowało mnie utrzymanie się na nogach.

- Postaw się w mojej sytuacji - ciągnął Troy. - Jakiś tam mały prywatny filer włązi mi w drogę nie raz, ale dwa razy w krótkim odstępie czasu. Znoszę to z uśmiechem. Nie na wesoło, ale jakoś znoszę. Zamiast cię rozwalić, proponuję jedną trzecią dzisiejszego utargu. Siedemset dolarów, panie Archer.

- Jedna trzecia dzisiejszego utargu to trzydzieści trzy kawałki.

- Co? - Wyraz jego twarzy świadczył o zaskoczeniu.

- Mam przeliterować? Natychmiast odzyskał równowagę.

~ Wspomniał pan o trzydziestu trzech tysiącach. To szacunek dość zawyżony.

- Jedna trzecia stu tysięcy to trzydzieści trzy tysiące trzysta trzydzieści trzy dolary i trzydzieści trzy centy.

- Co to za szantaż? - Niespokojny głos brzmiał chrapliwie. Wolałbym, żeby napięcie Troyanie skupiało się na rewolwerze.

- Mniejsza z tym - odparłem. - Nie tknąłbym twoich pieniędzy.

- Ale ja nie rozumiem — wyznał szczerze. - I niech pan nie mówi zagadkami. Robię się nerwowy. Ręce mi latają. - Dla zilustrowania tego stanu potrzęsnał rewolwerem.

- Nie wiesz, co się święci, Troy? Myślałem, że znasz sprawę od podszewki.

- Niech pan założy, że nic nie wiem. I gada prędko.

- Przeczytaj sobie w gazetach.

- Mówiłem, gadaj prędko. - Uniósł rewolwer, żeby móc zajrzeć prosto w lufę. - Gadaj o Sampsonie i o tych stu kawałkach.

- Czemu miałbym ci opowiadać o twoich sprawkach? Dwa dni temu porwałś

Sampsona.

- Dalej.

159-

- Twój kierowca sprzątnął te sto kawałków wczoraj wieczór. Czy nie wystarczy?

- Zrobił to Puddler? - Niewzruszoność Troya na dobre się ulotniła, a na jego twarzy zagościł nowy wyraz: żądza mordy, okrutna i zawzięta.

Podszedł do drzwi, które otworzył nie przestając mierzyć do mnie z rewolweru.

- Puddler! - zawołał głosem cienkim i schrypniętym.

- Ten drugi kierowca - sprostowałem. - Eddie.

- Łżesz, Archer.

- Zgoda. Zaczekaj, aż przyjadą gliny i zawiadomią cię osobiście. Wiedzą już, u kogo pracował Eddie.

- Eddie jest za głupi.

- Nie za głupi, żeby oberwać za kogoś innego.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Eddie leży w kostnicy.

- Kto go zabił? Gliniarze?

- Może ty - odrzekłem powoli. - Sto kawałków to duża forsa dla takiej drobnej płotki.

Pominał przytyk milczeniem.

- Co się stało z forszą?

- Ktoś zastrzelił Eddie'ego i gwizdnął okup. Ktoś w kremowej kabriolimuzynie.

Dwa ostatnie słowa rąbnęły go obuchem po głowie, pozbawiając na chwilę oczy wszelkiego wyrazu. Przesunąwszy się na prawo, lewą dłonią trzasnąłem w rewolwer.

Wirując poleciał na podłogę, ale nie wystrzelił i prześliznął się w stronę otwartych drzwi.

Puddler dopadł drzwi i rewolweru przede mną. Cofnąłem się.

- Mam mu dać nauczkę, proszę pana?

Troy potrząsnął obolałą ręką. Trzepotała jak biała ćma w kręgu światła latarki.

- Nie teraz-odparł.-Musimy się stąd wynosić, anie chcemy zostawiać po sobie chlewu. Zabierz go na przystań nad Rincon, Jego samochodem. I trzymaj tam, dopóki

nie dam znać. Zrozumiano?

160

- Tak, proszę pana. A pan gdzie będzie?

- Jeszcze nie wiem. Czy Betty jest dzisiaj w Fortepianie?

- Nie było jej, jak wyjeżdżałem.

- Wiesz, gdzie mieszka?

- Nii... przeprowadziła się parę tygodni temu. Ktoś jej gdzieś odstąpił chatę, ale nie wiem gdzie...

- Ma ten sam wóz?

- Tę kabriolimuzynę? Taa. A przynajmniej miała wczoraj wieczór.

- Rozumiem - powiedział Troy. - Jak zwykle otaczają mnie głupcy i kanalie. Muszą zawsze narobić bigosu. Już my im pokażemy, Puddler.

- Tak, pszepana.

- Jazda - zwrócił się Troy do mnie.

Rozdział 22

Wyprowadzili mnie do samochodu. Buick Troya stał obok. Ciężarówka znikła.

Zniknął Claude i brunatni mężczyźni. Noc była jeszcze czarna, choć księżyc zniżył się nad horyzont.

Puddler przyniósł zwój sznura z szopy przylegającej do budynku z nie wypalanej gliny.

- Ręce do tyłu - rozkazał Troy. Ręce miałem opuszczone.

- Ręce do tyłu.

- Do tej pory wykonywałem moją pracę - powiedziałem. - Jeśli dalej będziesz mną poniewierał, zacznę żywić do ciebie urazę.

- Strasznie się stawiasz - stwierdził Troy. -Ucisz go, Puddler.

Obróciłem się twarzą do Puddlera, ale nie dość szybko. Wyrznął mnie pięścią w kark.

Ból przeszył ciało jak odłamki tłuczonego szkła i znowu ogarnęła mnie

nieprzenikniona noc. A potem znalazłem się na drodze. Panował na niej ożywiony ruch. Byłem odpowiedzialny

11 - Ruchomy cel

za pasażerów wszystkich samochodów. Musiałem składać o każdym z nich meldunki na piśmie, z uwzględnieniem wieku, zawodu, hobby, wyznania, salda bankowego, skłonności seksualnych, poglądów politycznych, popełnionych przestępstw i ulubionych knajp. Pasażerowie często zmieniali wozy, jak w grze komórki do wynajęcia. Samochody zmieniały numery rejestracyjne i kolory. W piórze zabrakło mi atramentu. Podwiozła mnie granatowa ciężarówka i zmieniła barwę na pogrzebową czerń. Za kierownicą siedział Eddie, ja zaś pozwalałem mu prowadzić. Zamierzałem zabić człowieka.

Plan był opracowany do połowy, kiedy odzyskałem przytomność. Leżałem na podłodze własnego samochodu, wciśnięty między przednie i tylne siedzenie. Ruch pojazdu powodował drganie podłogi, a ból w mojej głowie pulsował do taktu. Ręce miałem znów skrępowane na piecach. Szerokie bary Puddlera rysowały się na przednim siedzeniu w odbitym świetle reflektorów. Nie mogłem wstać ani go dosięgnąć.

Próbując oswobodzić spętane ręce, wykręcałem je i szarpałem, dopóki nie obtarłem nadgarstków i nie przepociłem ubrania. Sznur okazał się bardziej wytrzymały ode mnie. Zaniechawszy tego projektu zacząłem układać nowy.

Ciemnymi, nie uczęszczanymi drogami zjechaliśmy z gór z powrotem nad morze. Puddler zaparkował wóz pod brezentem rozciągniętym na słupkach. Z chwilą kiedy ucichł warkot silnika, z dołu dobiegł szum fal uderzających o piasek. Puddler wywlókł mnie za kołnierz marynarki i postawił na nogi. Zauważyłem, że chowa kluczyk od stacyjki do kieszeni.

- Nie hałasuj, jeśli nie chcesz znowu oberwać - powiedział.

- Strasznie jesteś odważny - stwierdziłem. - Trzeba być strasznie odważnym, żeby uderzyć kogoś od tyłu, kiedy ktoś inny mierzy do niego z rewolweru.

- Zamknij się. - Przyłożył mi rozcapierzoną dłoń do twarzy i zacisnął palce. Miały wstrętny smak końskiego potu.

- Trzeba być strasznie odważnym - ciągnąłem — żeby ścisnąć za twarz człowieka,

który ma ręce związane na plecach.

- Zamknij się - powtórzył. - Bo cię na dobre uciszę.

- Pan Troy nie byłby z tego zadowolony.

- Zamknij się. Jazda. - Chwycił mnie za ramiona, obrócił i wypchnął spod brezentu.

Znajdowałem się na początku długiego pomostu wzniesionego na palach nad wodą.

Za mną rysowały się na horyzoncie sylwetki nie oświetlonych wież wiertniczych.

Wszystko trwało w bezruchu, falowało jedynie morze, a przy końcu mola pracowała pompa naftowa. Poszliśmy w jej stronę gęsiego, ja przodem, Puddler z tyłu. Deski były popaczone i źle zbite. Przez szczeliny przeświecała czarna woda.

Kiedy oddaliliśmy się o jakieś sto kroków od brzegu, dojrzałem wyraźnie pompę na końcu pomostu, wznoszącą się i opadającą niby mechaniczna huśtawka. Obok stała szopa na narzędzia, a za nią był już tylko ocean.

Puddler otworzył z klucza drzwi szopy, zdjął z gwoźdźca i zapalił latarnię.

- Siadaj, frajerze. - Machnięciem latarni wskazał ciężką ławę pod ścianą. Z jednego końca miała zamocowane imadło, dalej walały się rozmaite narzędzia: obcęgi, klucze maszynowe różnych rozmiarów, zardzewiały pilnik.

Usiadłem na wolnym miejscu. Puddler zamknął drzwi i postawił latarnię na bębnie po oleju. Jego twarz, rozjaśniona od dołu jaskrawożółtym światłem, niezbyt przypominała twarz ludzką. Czoło miał niskie, szczękę wysuniętą do przodu jak neandertalczyk, minę tępą, beznadziejną i bezmyślną. Nieuczciwością było winić go za to, co robił. To dzikus przypadkiem zabłąkany

163

w dżungli ze stali i betonu, wytresowane zwierzę pociągowe, maszyna do bicia. A jednak go winiłem. Musiałem. Musiałem znosić takie traktowanie z jego strony albo wpaść na sposób odpłacenia pięknym za nadobne.

- Znalazłeś się w dość niezwykłej sytuacji - zacząłem.

Nie dosłyszał albo nie chciał odpowiedzieć, Oparty o drzwi, ten gruby kloc mięsa tarasował mi drogę. Wsłuchiwałem się w loskot i zgrzyt pompy na pomoście, w chlupot wody uderzającej o pale. I rozmyślałem o tym, co mi było wiadomo na jego temat.

- Znalazłeś się w dość niezwykłej sytuacji - powtórzyłem.
- Stul pysk.
- Chodzi mi o to, że zostałeś klawiszem. Zwykle bywa na odwrót, prawda? Ty siedzisz w celi, a ktoś inny cię pilnuje.
- Mówiłem, stul pysk.
- Ile więzień widziałeś od środka, tępaku?
- Jak rany! - wrzasnął. - Ja cię ostrzegałem. - Rozlazłym krokiem ruszył w moją stronę.
- Trzeba być strasznie odważnym, żeby grozić człowiekowi, który ma ręce związane na plecach.

Otwartą dłonią chlasnął mnie w twarz.

- Z tobą jest ten kłopot, że się pietrasz - ciągnąłem. - Tak jak mówiła Marcie. Nawet jej się boisz, co, Puddler?

Stał mrugając oczami, rzucając na mnie cień.

- Zabiję cię, jak będziesz tak się do mnie odzywał, słyszysz? Zabiję cię, słyszysz? - Słowa płynęły bez związku, zbyt szybko wydobywały się z ust chwytających z trudem powietrze. W kąciку warg uformował się bąbelek śliny.
- Ale pan Troy nie byłby z tego zadowolony. Powiedział, że mam tu być bezpieczny, pamiętasz? Nic mi nie możesz zrobić, Puddler.
- Mogę ci dołożyć - odparł. - Tęgo dołożyć.

164

- Wcale byś nie mógł, jakbym miał wolne ręce, ty iedny patałachu.
- Kogo nazywasz patałachem? - Znów się zamachnął.
- Ciebie, ty ostatnie zero. Ciebie, były zawodniku. Wyeliminowany pięściarzu. Bić związanego... tylko to trafisz.

Nie uderzył mnie. Wyciągnął z kieszeni i otworzył składany nóż. Małe oczka miał czerwone i błyszczące, a całe usta wilgotne teraz od śliny.

- Wstawaj - rozkazał. - Pokażę ci, kto tu jest zero. Odwróciłem się do niego plecami. Przeciął postronek

krepujący mi nadgarstki i z powrotem zatrzasnął nóż. Później obrócił mnie przodem do siebie i poczęstował szybkim prawym sierpem, pozbawiając twarz czucia.

Wiedziałem, że nie mogę się z nim równać. Kopnąłem go w brzuch, aż zatoczył się pod przeciwległą ścianę.

Zanim oprzytomniał, podniosłem z ławy pilnik. Był tępo zakończony, ale musiał wystarczyć. Załatwiłem się z Puddlerem. Trzymając pilnik prawą ręką, tuż przy czubku, rozorałem mu czoło od skroni do skroni. Cofnął się.

- Porznąłeś mnie - stwierdził z niedowierzaniem.

- Zaraz przestaniesz widzieć, Puddler. Fiński marynarz nauczył mnie w dokach San Pedro, jak nożownicy z krajów nadbałtyckich oślepiają swoich przeciwników.

- Jeszcze cię zabiję. - Natarł na mnie jak byk. Rzuciłem się na podłogę i przeczołgałem pod nim,

dziabiąc pilnikiem tam, gdzie musiało zboleć. Padł z rykiem. Ruszyłem do drzwi.

Zrobił to samo i dognał mnie w przejściu. Przetoczywszy się przez całą szerokość pomostu, runęliśmy w przepaść. Zanim dotknęliśmy powierzchni, szybko zaczerpnąłem powietrza. Zanurzyliśmy się razem. Puddler grzmocił mnie pięściami, lecz woda amortyzowała ciosy. Zaczepiłem się o jego pas i trzymałem.

165

Młócił rękami i wierzgał jak przerażone zwierzę. Widziałem, jak uchodzi z niego powietrze, srebrnymi bąbelkami wydobywając się ku górze poprzez czarną wodę.

Czepiałem się go w dalszym ciągu. Moim płucom brakowało tchu, czułem ucisk w klatce piersiowej. Otepiały mózg pracował powoli. A Puddler przestał się wyrywać. Musiałem go puścić, bo inaczej nie zdążyłbym wypłynąć na powierzchnię.

Zaczerpnąwszy duży haust powietrza, znów zanurkowałem. Ubranie krepuwało mchy, buty ciążyły na nogach. Opuszczałem się w głąb przez strefy coraz dotkliwszego zimna, aż pod wpływem ciśnienia wody rozboleły mnie uszy. Puddlera nie mogłem ani dosięgnąć, ani zobaczyć. Zrezygnowałem dopiero po sześciu próbach. Miał w kieszeni spodni kluczyk od mojego samochodu.

Po dopłynięciu do brzegu nie mogłem się utrzymać na nogach. Musiałem wypełznąć za linię przyboju, częściowo z wyczerpania, a częściowo ze strachu. Bałem się tego,

co pozostało za mną w zimnej wodzie.

Leżałem na piasku, dopóki serce nie zwolniło rytmu. Kiedy wstałem, wieże wiertnicze na horyzoncie rysowały się wyraźnie na tle pojaśnionego nieba. Wspiąłem się na brzeg, pod daszek, gdzie czekał mój samochód, i zapaliłem światła.

Z jednego ze słupków podtrzymujących brezent zwisał kawałek miedzianego drutu. Zerwałem go i połączyłem przewody zapłonu pod tablicą rozdzielczą. Silnik zaskoczył od razu.

Rozdział 23

Słońce stało już nad górami, kiedy dotarłem do Santa Teresa. Jego blask wyostrzał zarysy wszystkich rzeczy, każdego listka i kamienia, każdego źdźbła trawy. Z drogi biegnącej kanionem dom Sampsonów przypominał

166

wille zbudowaną dla zabawy z kostek cukru. Z bliska przytłoczyło mnie milczenie, które zapanowało niepodzielnie, gdy zatrzymałem samochód. Musiałem rozłączyć druciki zapłonu, żeby zgasić silnik.

W odpowiedzi na moje pukanie do drzwi kuchennych podszedł Feliks.

- Pan Archer?

- Czy budzi to jakieś wątpliwości?

- Miał pan wypadek, proszę pana?

- Najwyraźniej. Czy moja torba jest jeszcze w schowku? - Włożyłem do niej czyste ubranie i zapasowy komplet kluczyków samochodowych.

- Tak, proszę pana. Ma pan sińce na twarzy. Czy wezwać lekarza?

- Nie zawracaj sobie tym głowy. Ale mógłbym skorzystać z natrysku, jeśli jest gdzieś w pobliżu.

- Tak, proszę pana. Mam prysznic nad garażem, Zaprowadził mnie do swojego pokoju i przyniósł mi

torbę. Wziąłem prysznic i ogoliłem się w małej łazience. Nasiąknięte wodą morską ubranie zmieniłem na suche, choć korciło mnie, żeby się wyciągnąć na nie zasłanym łóżku w tej czystutkiej celi i machnąć ręką na sprawę Sampsona.

Kiedy wróciłem do kuchni, Feliks układał na tacy srebrną zastawę śniadaniową.

- Nie zechciałby pan czegoś przekąsić, proszę pana?
- Jeśli to możliwe, poproszę o jajka na bekonie. Kiwnął okrągłą głową.
- Jak tylko się z tym uwinę, proszę pana.
- Dla kogo ta taca?
- Dla panny Sampson, proszę pana.
- Tak wcześniej?
- Zje śniadanie w swoim pokoju.
- Dobrze się czuje?
- Nie wiem, proszę pana. Nie za bardzo się wyspała. Wróciła do domu po północy.
- Skąd?

167

- Nie wiem, proszę pana. Wyjechała zaraz po panu i panu Gravesie.
- Sama?
- Tak, proszę pana.
- Jakim wozem?
- Packardem.
- Zaraz, zaraz, to ta kremowa kabriolimuzyna, prawda?
- Nie, proszę pana. Czerwona. Jaskrawoszkarłatna. Przejechała ponad trzysta kilometrów w tym czasie, kiedy nie było jej w domu.
- Dość pilnie obserwujesz tę rodzinę, co, Feliksie? Uśmiechnął się z ironią.
- Do moich obowiązków należy sprawdzanie stanu paliwa i oleju w samochodach, proszę pana, bo nie zatrudniamy szofera.
- Ale nie przepadasz za panną Sampson?
- Jestem do niej przywiązany, proszę pana. - Jego nieprzejrzyste czarne oczy same dla siebie stanowiły maskę.
- Ciężkie masz z nimi życie, Feliksie?
- Nie, proszę pana. Ale moja rodzina jest bardzo znana na Samarze. Przyjechałem do Stanów, żeby zapisać się na Politechnikę Kalifornijską, kiedy będę mógł sobie na to pozwolić. Oburza mnie fakt, że z powodu koloru skóry pan Graves uważa mnie za podejrzanego. Ogrodnicy też są tym oburzeni, bo ich to także dotyczy.-

- Mówisz o wczorajszym wieczorze?
- Tak, proszę pana.
- Nie sądzę, żeby to miał na myśli. Feliks uśmiechnął się ironicznie.
- Czy pan Graves jest tu w tej chwili?
- Nie, proszę pana. Zdaje mi się, że jest w biurze szeryfa. Wybacz pan, prawda? -
Wziął tacę do ręki.
- Znasz numer telefonu? I musisz co drugie słowo mówić „proszę pana”?

168

- Nie, proszę pana - odrzekł z subtelną ironią. - "65.

Wykręciłem numer z aparatu w kredensie i poprosi- " do telefonu Gravesa. Przywołał go zaspany zastęp-szeryfa.

- Graves przy aparacie. - Głos miał ochryply i zmęczony,
- Tu Archer.
- Gdzieś się, na litość boską, podziewał?
- Opowiem ci później. Natrafiliście na ślad Samp-sona?
- Jeszcze nie, ale zrobiliśmy postępy. Pracuję ze specjalną ekipą FBI.

Przetelegrafowaliśmy klasyfikację daktyloskopijną zastrzelonego do Waszyngtonu i jakąś godzinę temu dostaliśmy odpowiedź. Figuruje w kartotekach FBI i ma bogatą przeszłość. Nazywa się Eddie Lassiter.

- Już przyjeżdżam, tylko coś zjem. Jestem u Samp-sonów.
- Może nie przyjeżdżaj. - Zniżył głos. - Szeryf jest zły, żeś go wczoraj wieczorem odprawił. Ja przyjadę do ciebie. - Odłożył słuchawkę, a ja otworzyłem drzwi do kuchni.

Bekon wesoło skwierczał na patelni. Feliks przełożył go na ogrzewany talerz, wsadził chleb do maszynki stojącej obok pieca, żeby mi zrobić grzanki, wybił jajka na gorący tłuszcz, z parującego dzbanka nalał kawy do filiżanki.

Siedząc przy kuchennym stole łykałem wrzątek.

- Czy wszystkie telefony w tym domu są połączone?
- Nie, proszę pana. Telefony w pokojach od frontu nie są połączone z telefonami służby. Obrócić jajka na drugą stronę, proszę pana?

- Zjem takie, jakie są. Które aparaty są połączone z telefonem w kredensie?
- Aparat w pomieszczeniu na bieliznę i w domku dla

169

gości powyżej głównego budynku. W domku pana Taggerta.

Między jednym kęsem a drugim zapytałem:

- Czy pan Taggert jest u siebie?
- Nie wiem, proszę pana. Chyba w nocy słyszałem, jak wracał.
- Pójdź i zobacz, dobrze?
- Tak, proszę pana. - Wyszedł tylnymi drzwiami. W minutę później przed dom zajechał samochód i zjawił się Graves. Stracił trochę rozpędu, ale ruchy nadal miał szybkie. Dookoła jego oczu utworzyły się czerwone obwódki.
- Wyglądasz, jakbyś wyszedł prosto z piekła, Lew.
- Właśnie stamtąd wracam. Przywiozłeś informacje o Lassiterze?
- Tak.

Podał mi wyciągniętą z zewnętrznej kieszeni kartkę dalekopisu. Przebiegłem oczami gęsto zadrukowaną notatkę.

„Postawiony przed sądem dla nieletnich, Nowy Jork, 29marca 1923,, zpowództwa ojca, wagarowanie. Oddany do katolickiej ochronki w Nowym Jorku 4 kwietnia 1923. Wypisany 5 sierpnia 1925... Specjalna sesja sądu w Brooklynie, 9 stycznia 1928, oskarżony o kradzież roweru. Otrzymał wyrok z zawieszeniem, wyznaczono mu opiekuna sądowego. Zwolniony spod opieki 12 hstopada 1929... Aresztowany 17 maja 1932pod zarzutem posiadania skradzionego przekazu pieniężnego. Na zalecenie prokuratora federalnego sprawa oddalona z braku dowodów... Aresztowany za kradzież samochodu 5 października 1936, skazany na 3 lata Sing Singu... Aresztowany wraz z siostrą Betty Lassiter przez agentów Federalnego Biura do Spraw Narkotyków 23 kwietnia 1943. Uznany winnym sprzedaży jednej uncji kokainy 2 maja 1943, skazany na rok i dzień więzienia Leavenworth... Aresztowany 3 sierpnia 1944 za udział w napadzie na ciężarówkę General Electric, wiozącą wypłatę. Przyznał się do winy,

skazany na 5 do 10 lat Sing Singu. Zwolniony warunkowo 18 września 1947. Nie dotrzymał warunku zwolnienia i znikł w grudniu 1947".

To były punkty szczytowe w rejestrze wykroczeń Eddie'ego, kropki w kropkowanej linii wytyczającej drogę jego życia od młodocianych przestępstw do gwałtownej śmierci. Teraz wyglądało to zupełnie tak, jakby się nigdy nie był narodził.

- Pan Taggart jest u siebie, proszę pana - przemówił do moich pleców Feliks,

- Już wstał?

- Tak, ubiera się.

- Mógłbym zjeść śniadanie? - zapytał Graves.

- Tak, proszę pana.

- Znalazłeś w tym jakąś przydatną informację? -zwrócił się do mnie Graves.

- Tylko jedną, i to nie potwierdzoną. Lassiter miał siostrę imieniem Betty, którą aresztowano razem z nim za handel narkotykami. W Los Angeles obraca się kobieta imieniem Betty, karana za narkotyki, pianistka z tej drogiej speluny Troya. Sama siebie nazywa Betty Fraley.

- Betty Fraley! - odezwał się Feliks od pieca.

- Nie wtykaj nosa w nie swoje Sprawy-upomniał go Graves nieprzyjemnym tonem.

- Chwileczkę - wtrąciłem. - Co wiesz o Betty Fraley, Feliksie? Znasz ją?

- Nie, jajejnieznam,ale widziałem jej płyty wdorn-ku pana Taggerta. Ścierając kurze zwróciłem uwagę na nazwisko.

- Mówisz prawdę? - zapytał Graves.

- Po co miałbym kłamać, proszę pana?

- Zobaczymy, co Taggart ma na ten temat do powiedzenia. - Graves wstał.

171

170

- Chwileczkę, Bert. - Położyłem mu rękę na ramieniu, stwardniałym z napięcia. - Zastraszaniem daleko nie zajedziemy. Nawet jeśli Taggart ma jej płyty, nie musi to niczego oznaczać, A my nie jesteśmy nawet pewni, czy to siostra Lassitera. Taggart może być zresztą zbieraczem płyt.

- Ma ich sporo - powiedział Feliks.

- Uważam, że należałoby się przekonać. - Graves trwał w uporze.
- Nie teraz. Taggart może być winny jak wszyscy diabli, ale stwierdzając to bez osłonek nie odzyskamy Sampsona. Zaczekajmy, aż wyjdzie z domu. Wtedy przejrę jego płyty.

Graves pozwolił się pociągnąć z powrotem na krzesło. Czubkami palców gładził przymknięte powieki.

- W życiu nie miałem tak wściekle zagmatwanej sprawy ani o podobnej nie słyszałem - stwierdził.

- Rzeczywiście jest zagmatwana. - Graves znał tylko połowę szczegółów. - Czy wszyscy są zaalarmowani i szukają Sampsona?

Otworzył oczy.

- Od godziny dziesiątej wczoraj wieczorem. Postawiliśmy w stan pogotowia patrole drogowe i FBI, wszystkie jednostki policji i szeryfów okręgowych stąd po San Diego.

- Lepiej weź za słuchawkę i ogłoś kolejny alarm na obszarze całego stanu. Tym razem chodzi o Betty Fra-ley. Poderwij na nogi cały Południowy Zachód.

Uśmiechał się ironicznie, wysuwając do przodu masywną szczękę.

- Czy to się nie nazywa stwierdzaniem czegoś bez osłonek?

- W danym wypadku uważam rzecz za konieczną. Jeśli prędko nie dotrzemy do Betty, ktoś nas wyprzedzi. Poluje na nią Dwight Troy.

Popatrzył na mnie zaciekawiony.

- Skąd pochodzi ta informacja, Lew?

172

- Niełatwo ją było zdobyć. Ubiegłej nocy rozmawiałem z samym Troyem.

- Więc jest w to zamieszany?

- Teraz tak. Przypuszczam, że chce zgarnąć te sto kawałków i chyba wie, kto je ma.

- Betty Fraley? ~ Wyciągnął notes z kieszeni.

- To mój domysł. Czarne włosy, oczy zielone, regularne rysy twarzy, metr sześćdziesiąt siedem do metra siedemdziesięciu wzrostu, wiek w granicach od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat, przypuszczalnie koka-inistka, chuda, ale

proporcjonalnie zbudowana, i ładna, jeśli ktoś lubi igraszki z gadami. Podejrzana o zabójstwo Eddie'ego Lassitera.

Spojrzał bacznie znad kartki.

- Czy to też domysł, Lew?

- Możesz to tak nazwać. Przetelefonujesz wiadomość, komu trzeba?

- Już się robi. - Ruszył przez kuchnię do kredensu.

- Nie z tego aparatu, Bert. Jest połączony z telefonem w domku Taggerta.

Przystanąwszy obrócił się do mnie z cieniem smutku na twarzy.

- Wydajesz się prawie pewny, że to Taggert.

- Serce by ci pękło, gdyby to był on?

- Skądże znowu - odrzekł pokazując mi plecy. -Zadzwonię z gabinetu.

Rozdział 24

Czekałem we frontowym hallu, dopóki Feliks nie przyszedł mi powiedzieć, że Taggert je w kuchni śniadanie. Poprowadził mnie za garażami, ścieżką, która wyżej zamieniała się w płaskie kamienne stopnie i pięła po stoku. Kiedy oczom naszym ukazał się domek dla gości, Feliks zostawił mnie samego,

Parterowy drewniany budynek, pomalowany na

173

biało i otoczony drzewami, tyłem przylegał do zbocza. Nacisnąwszy klamkę znalazłem się w środku. W saloniku wyłożonym żółtą sosnową boazerią stały fotele, gramofon, duży stół ze stosami płyt i czasopism. Widok z szerokiego okna, wychodzącego na zachód, obejmował całą posiadłość i morze po horyzont.

Czasopisma okazały się numerami „Jazz Record” i „Downbeat”. Płyty i albumy przeglądałem sztuka po sztuce, Decca i Bluebird, i Asch, dwunastocalowe Commodores i Blue Notes. Wiele nazwisk znałem ze słyszenia: Fats Waller, Red Nichols, Lux Lewis, Mary Lou Williams, o niektórych tytułach nie słyszałem, jak żyję: Numb Fumblin i Viper's Drag, Night Life, Denapas Parade. Ale nic Betty Fraley.

Byłem już przy drzwiach, bo chciałem pogadać z Feliksem, gdy wtem przypomniały mi się czarne krążki wyskakujące poprzedniego dnia w morze. W parę minut po tym,

jak je zobaczyłem, Taggert przeszedł przez dom w spodenkach kąpielowych. Omijając główny budynek skierowałem się nad wodę. Od oszklonej pergoli na skraju urwiska długie pasmo betonowych stopni zbiegało ukosem na plażę. U podnóża schodów stała rozbieralnia z osłoniętą werandą. W środku w jednej z przegródek wisiała na gwoździu gumowa maska do nurkowania. Rozebrawszy się do szortów założyłem ją na głowę.

Lekka bryza od lądu przeganiała fale i zdmuchiwała grzywy, zanim się załamały. Poranne słońce przypiekało plecy, suchy piasek grzał podeszwy stóp. Przez minutę stałem na wilgotnym brunatnym piachu tuż za linią zasięgu fal, patrząc na nie. Błękitne i roziskrzane, wygięte wdzięcznie niby kobiety, budziły strach. Morze było zimne i niebezpieczne. Spoczywali w nim umarli.

Powoli się zanurzając, naciągnąłem maskę na twarz i odpłynąłem. Jakies pięćdziesiąt kroków od brzegu, za przybojem, obróciłem się na grzbiet i zacząłem głęboko

174

oddychać przez usta. Kołysanie fal wraz z dużą ilością denu przyprawiło mnie o lekki zawrót głowy. Za zamgloną szybką maski czyste niebo zdawało się wirować mi nad głową. Zanurkowałem, żeby przepłukać szkło, i popłynąłem pod powierzchnią, a potem żabką do dna.

Zalegał je nieskalany biały piasek pocięty długimi brunatnymi żebrami z kamienia. Ruch wody lekko zmacił piasek, ale nie na tyle, by zmniejszyć widoczność. Na dwunasto- czy piętnastometrowym odcinku pływałem zygzakami, nie znajdując na dnie nic prócz paru nie wyrosniętych słuchotek kalifornijskich, które uczepiły się skał. Odbiłem się nogami od piasku i wypłynąłem zaczerpnąć powietrza.

Spod uchylonej maski zobaczyłem, że z góry obserwuje mnie jakiś mężczyzna. Skrył się za trześniowy wiatrochron przy pergoli, ale nie na tyle szybko, bym nie poznał Taggerta. Parę razy odetchnąłem głęboko i znów zanurkowałem. Kiedy się wynurzyłem, Taggerta już nie było.

Przy trzecim zejściu w dół znalazłem to, czego szukałem: nie połamany czarny krążek, do połowy zagrzebany w piasku. Przyciskając go do piersi obróciłem się na wznak i popłynąłem do brzegu. Zaniósłem płytę pod prysznic, umyłem i wysuszyłem

pieczołowicie, jak matka niemowlę.

Taggert był na werandzie, kiedy wyszedłem z rozbieralni. Siedział na krześle z grubego płótna, tyłem do drzwi siatkowych. We flanelowych spodniach i białej bawełnianej koszulce wydawał się bardzo młody i opalony. Czarne włosy miał starannie przyczesane na małej głowie.

Jego usta obdarzyły mnie chłopięcym uśmiechem, ale oczy pozostały poważne.

- No i jak tam? Przyjemnie się pływało?

- Nieźle. Woda dość chłodna.

- Powinien pan skorzystać z basenu. Tam zawsze jest cieplejsza.

175

- Wolę ocean. Nigdy nie wiadomo, co się znajdzie. Ja znalazłem coś takiego.

Popatrzył na płytę w moich rękach, jakby widział ją po raz pierwszy.

- Co to?

- Płyta. Ktoś musiał pozdrapywać napisy i wrzucić ją do wody. Ciekaw jestem dlaczego.

Zrobił długi krok w moją stronę, poruszając się bezszelestnie po dywanie z trawy.

- Proszę pokazać.

- Niech pan nie dotyka. Jeszcze ją pan stłucze.

- Nie stłukę.

Sięgnął po płytę. Zrobiłem szybki unik i jego ręka chwyciła powietrze.

- Proszę się cofnąć - powiedziałem.

- Niech mi pan ją da.

- Chyba nie dam.

- Odbiorę ją panu.

- Niech pan tego nie robi - poradziłem. - Chyba potrafię przełamać pana na dwoje.

Stał przyglądając mi się przez dziesięć długich sekund. A potem znów przywołał na twarz uśmiech. Chłopięcy czar powracał bardzo powoli.

- Ależ ja żartowałem, człowieku. Choć mimo wszystko chciałbym wiedzieć, co jest na tym draństwie.

- I ja także.

- Więc ją przegramy. Jest tu przenośny gramofon. -Przeszedł koło mnie do stołu pośrodku werandy i otworzył kwadratowe fibrowe pudło.

- Ja to zrobię - powiedziałem.

- W porządku... boi się pan, że ją stłukę. - Ponownie usiadł na krześle, z wyciągniętymi przed siebie nogami.

Pokręciłem korbką i umieściłem płytę na tarczy. Taggert uśmiechał się wyczekująco.

Obserwowałem go, ciekaw, czy nie da jakiegoś znaku, nie zrobi fałszywego posunięcia. Ten przystojny chłopak nie pasował

wytworzonego przeze mnie systemu, który pozwalał krywać strach. Nie pasował do żadnego wzoru, jaki ałem.

Płyta była podrapana i zdarta. Najpierw rozległy się dźwięki samego fortepianu, na pół zatopione w szumie płyty. Trzy albo cztery ograne akordy boogie zabrzmiały i zostały powtórzone. Potem prawa ręka grającego przeplotła się przez nie, pobudzając je do życia. Pierwsze akordy zwielokrotniły się i rozbudowały wokół przestrzeni wypełnionej przez muzykę. Ukształtowane tak miejsce było na pół dżunglą, na pół wnętrzem maszyny. Prawa ręka przebiegała po nim tam i z powrotem jak istota ścigana. Ścigana po sztucznej dżungli przez cień olbrzyma.

- Podoba się panu? - zapytał Taggert.

- Tak sobie. Gdyby fortepian był instrumentem perkusyjnym, byłoby pierwszorzędne.

- Ale o to właśnie chodzi. Jest instrumentem perkusyjnym, jeśli ktoś chce na nim grać w ten sposób.

Płyta się skończyła, więc obróciłem ją na drugą stronę.

- Sprawia pan wrażenie zainteresowanego boogie--woogie. Nie domyśla się pan, kto ją nagrał?

- Nie, nie domyślam się. Sądząc po stylu mógłby to być Lux Lewis.

- Wątpię. Gra jest bardziej kobieca. Zmarszczył brwi siląc się na wyraz skupienia i przymknął oczy.

- Nie znam kobiety, która by tak grała.

- A ja owszem. Słyszałem ją przedwczoraj w Szalonym Fortepianie. Betty Fraley.

- To nazwisko nie obilo mi się o uszy.

- Niech pan da spokój, Taggert. To jedna z jej płyt.
- Naprawdę?
- Pan powinien wiedzieć najlepiej. Wrzucił ją pan do morza. Ale w jakim celu?
- Pytanie jest bez sensu, ponieważ ja tego nie

12 - Ruchomy cel

17?

176

zrobiłem. Ani by mi się śniło wyrzucać dobre płyty.

- Moim zdaniem śnią się panu przeróżne rzeczy. Moim zdaniem śni się panu sto tysięcy dolarów.

Nieznacznie przesunął się na krześle. Choć nadal siedział rozwalony, zeszywniał i przybrał mniej niedbałą pozę. Gdyby ktoś dźwignął go za kark, nogi wciąż sterczałyby w powietrzu, wyciągnięte do przodu.

- Sugeruje pan, że porwałem Sampsona?

- Nie osobiście. Sugeruję, że działał pan w zмовie z Betty Fraley i jej bratem Eddie'em Lassiterem.

- Nigdy o żadnym z nich nie słyszałem. - Odetchnął głęboko.

- Ale pan usłyszycy. Z jednym spotka się pan w sądzie, o drugim będzie mowa.

- Chwileczkę - przerwał. - Jest pan dla mnie za szybki. Czy dlatego pan to mówi, że wyrzuciłem te płyty?

- A więc to pańska płyta?

- No pewnie. - Głos jego wibrował szczerością. -Przyznaję, że miałem parę płyt Betty Fraley. Pozbyłem się ich wczoraj wieczór, kiedy usłyszałem, jak pan mówi policji o Szalonym Fortepianie.

- Podśluchuje pan także cudze rozmowy przez telefon?

- To był czysty przypadek. Podśluchałem pana, kiedy sam próbowałem zadzwonić.

- Do Betty Fraley?

- Mówiłem już, że jej nie znam.

- Proszę mi wybaczyć-powiedziałem.-Zdawało mi się, że być może dzwonił pan do niej wczoraj wieczór, zezwalając na morderstwo.

- Morderstwo?

- Zamordowanie Eddieego Lassitera. Nie musi się pan zgrywać na aż tak zdziwionego.

- Przecież ja o nich nic nie wiem.

- Wiedział pan dość dużo, żeby powyrzucać jej płyty.

wL km

Dai

Słyszałem o niej, i to wszystko. Wiedziałem, że gra w Szalonym Fortepianie. Kiedy się zorientowałem, że ta knajpa budzi zainteresowanie policji, wywaliłem płyty. Pan wie, jacy oni potrafią być przesadni, jeśli idzie o dowody pośrednie, i - Niech pan nie próbuje nabierać mnie tak, jak pan nabrał samego siebie. Komuś niewinnemu w głowie by nie powstało wyrzucać te płyty. Mają je ludzie na terenie całego kraju, prawda?

- O to mi właśnie chodzi. Nie są niczym obciążającym.

- Ale pan myślał, że są. Nie miałby pan powodu uważać ich za obciążające, gdyby pan naprawdę nie robił tego do spółki z Betty Fraley. I tak się składa, że wrzucił je pan do wody na wiele godzin przed podsłuchaniem mojego telefonu... zanim ktokolwiek wspomniał o Betty w związku z tą sprawą.

- Możliwe - odrzekł. - Ale namęczy się pan, żeby mnie o coś na podstawie tych płyt oskarżyć.

- Wcale nie będę próbował. Spełniły swoje zadanie naprowadzając mnie na trop. Więc zapomnijmy o płytach i pomówmy o czymś ważniejszym. - Usiadłem w wiklinowym fotelu po przeciwnej stronie werandy.

- O czym pan chce rozmawiać? - Wciąż jeszcze zachowywał idealne opanowanie. Jego zdziwiony uśmiech był naturalny, głos pełen swobody. Zdradzało go tylko drganie mięśni nóg i gruzły napiętych bicepsów.

- O porwaniu - powiedziałem. - Morderstwo odłożymy na później. Kidnaperstwo jest w tym stanie wykroczeniem niemal równie poważnym. Przedstawię panu moją wersję wydarzeń, a potem posłucham pańskiej. Wiele osób będzie chciało posłuchać pańskiej wersji.

- Straszna szkoda. Bo jej nie mam.

- Ja mam. I doszedłbym do tego wcześniej, gdybym przypadkiem pana nie polubił.

Miał pan większe niż ktokolwiek możliwości i poważniejsze motywy. Żywił

179

178

pan do Sampsona urazę, bo źle pana traktował. Miał mu pan za złe te jego pieniądze.

Sam pan za dużo nie posiadał...

- I nadal nie posiadam - stwierdził.

- Na razie powinno panu wystarczyć. Połowa stu tysięcy to pięćdziesiąt tysięcy.

Całkiem na razie.

Z humorem rozłożył ręce.

- Mam je przy sobie?

- Aż tak głupi to pan nie jest - odparłem. - Ale jest pan dość głupi. Zachował się pan jak chłopak prosto ze wsi. Miejskie cwaniaki nabrały pana i wykorzystały. Pewnie nigdy pan nie zobaczy swojej połowy tych stu kawałków.

- Obiecał mi pan bajeczkę - powiedział łagodnie. Nie dawał się złamać.

Odkryłem moją najsilniejszą kartę.

- Eddie Lassiter zadzwonił do pana poprzedniego wieczoru, zanim odleciał pan z Sampsonem z Las Vegas.

- Proszę mi nie wmawiać, że ma pan zdolności mediumistyczne. Twierdził pan, że ten człowiek nie żyje... - Ale wokół ust zarysowała mu się nowa biała obwódka.

- Wystarczy mi tych zdolności, żeby powtórzyć, co mówił pan Eddie'emu. Powiedział mu pan, że nazajutrz przylecicie na Burbank około trzeciej. Kazał mu pan wynająć czarną limuzynę i czekać na telefon z lotniska. Kiedy Sampson zadzwonił do Valerio po wóz, pan odwołał zamówienie i wezwał Eddie'ego. Telefonistka z hotelu myślała, że to Sampson dzwoni po raz drugi. Nieźle go pan naśladuje, co?

- Proszę mówić dalej. Zawsze lubiłem fantazjowanie.

- Eddie zajechał przed lotnisko samochodem z wypożyczalni i Sampson wszedł bez zastanowienia. Nie miał powodu do podejrzeń. Spoił go pan tak, żeby nie zauważył, kto siedzi za kierownicą... tak go pan spoił,

żeby nawet niepozorny facecik rozmiarów Eddie'ego mógł sobie z nim poradzić po przyjeździe w jakieś ustronne miejsce. Czym się Eddie posłużył, panie Tag-gert? Chloroformem?

- To ma być pańska bajeczka - odparł. - Czyżby wyobraźnia przestawała działać?

- Bajeczka jest nasza wspólna. Ten odwołany telefon był ważny, proszę pana. To on przede wszystkim wskazał na pański związek z tą sprawą. Nikt inny nie mógł wiedzieć, że Sampson zamierza dzwonić do hotelu. Nikt inny nie wiedział, kiedy Sampson miał wrócić z Newady. Nikt inny nie był w stanie udzielić poprzedniego wieczoru poufnej informacji Eddie'emu. Nikt inny nie mógłby wszystkiego tak zaaranżować! wykonać zgodnie z planem.

- Nigdy nie wypierałem się tego, że byłem na lotnisku z Sampsonem. Równocześnie przebywało tam kilkaset innych osób. Ma pan bzika na punkcie dowodów pośrednich jak każdy glina. A ta historia z płytami to nawet nie dowód pośredni. To dowód okrężny. Nie może pan niczego udowodnić Betty Fraley i nie wykazał pan, że nas coś łączy. Setki zbieraczy ma jej płyty.

Mówił głosem wciąż jeszcze opanowanym i czystym, z którego emanowała szczerłość, ale był niespokojny. Przygarbił się, cały spięty, jakbym go wtłoczył w zbyt wąską szparę. A usta wykrzywiało mu brzydki grymas.

- Wykazanie, że was coś łączy, nie powinno być trudne - powiedziałem. - Ktoś musiał przecież widywać was razem. I czy to nie pan dzwonił do niej wtedy wieczorem, kiedy zobaczył mnie pan w Valerio z Fay Estabrook? Nie szukał pan przecież w Szalonym Fortepianie Sampsona, co? Chciał się pan zobaczyć z Betty Fraley. Zamydlił mi pan oczy ratując mnie z łap Puddle-ra. Myślałem, że trzyma pan ze mną. Byłem o tym do tego stopnia przekonany, że strzał do granatowej ciężarówki złożyłem na karb głupoty. A to było ostrzeżenie dla Eddie'ego, prawda, panie Taggert? Nazwałbym

pana bystrym chłopakiem, gdyby nie zbrukał pan sobie rąk porwaniem i morderstwem. Taka głupota wyklucza bystrość.

- Jeśli skończył pan z wyzwiskami, przejdźmy do konkretów - zaproponował.

Wciąż jeszcze siedział spokojnie na płóciennym krześle, ale jego ręka uniosła się ściskając rewolwer. Była to ta sama broń kalibru 0.32, którą widziałem poprzednio, lekka, na tyle jednak ciężka, by mnie przyprawić o kurcz żołądka.

- Proszę trzymać ręce na kolanach - rozkazał.

- Nie sądziłem, że tak łatwo da pan za wygraną.

- Nie dałem za wygraną. Zapewniam sobie po prostu swobodę działania.

- Strzelaniem do mnie pan sobie tego nie zapewni. Zapewni pan sobie coś innego.

Śmierć w komorze gazowej. Proszę odłożyć rewolwer, to pogadamy.

- Nie ma o czym gadać.

- Jak zwykle jest pan w błędzie. Jak pan sądzi, co ja próbuję zrobić w tej sprawie?

Nie odpowiedział. Teraz, kiedy trzymał w ręku broń, gotów jej użyć, twarz miał gładką i odprężoną. Była to twarz człowieka nowego pokroju, spokojnego i nie-ulękiego, bo nie przywiązywał specjalnej wagi do życia ludzkiego. Twarz człowieka młodzieńczego i dość niewinnego, ponieważ mógł wyrządzać zło bez mała nieświadomie. Należał do tych, którzy dorosli i odnaleźli siebie na wojnie.

- Szukam Sampsona - wyjaśniłem. - Jeśli uda mi się go znaleźć, wszystko inne będzie nieważne.

- Zabrał się pan do tego od niewłaściwej strony, panie Archer. Nie pamięta pan już własnych słów wypowiedzianych wczoraj wieczór: jeśli coś się stanie porywaczom, wykończą Sampsona.

- Panu nic się nie stało... na razie.

- I Sampsonowi nic się nie stało.

- Gdzie on jest?

182

- Tam, gdzie go nie znajdą, dopóki ja nie zechcę.

- Ma pan swoje pieniądze. Niech go pan wypuści.

- Zamierzam to zrobić, panie Archer. Chciałem wypuścić go dzisiaj. Ale trzeba to będzie odłożyć... na czas nieokreślony. Jeśli coś mi się stanie, dla Sampsona będzie to oznaczało koniec.

- Możemy dojść do porozumienia.

- Nie - odparł. - Nie mógłbym panuzaufać. Musimy się stąd ulotnić. Nie rozumie pan, że wszystko pan popsuł? W pana mocy jest psuć różne rzeczy, ale nie w pana mocy zagwarantować nam ucieczkę. Mogę zrobić z panem jedynie to.

Spojrzał na rewolwer wymierzony w mój brzuch, a potem z obojętnością znów na mnie. Mógł strzelić lada chwila, bez przygotowania, bez złości. Wystarczyło nacisnąć spust.

- Proszę zaczekać - powiedziałem. Ścisnęło mnie w gardle. Skórę miałem wysuszoną i chciałem się spocić. Dłońmi ścisnąłem kolana.

- Obaj nie chcemy tego przedłużać. - Wstał i ruszył w moją stronę.

Przemieściłem ciężar ciała na krzesło. Musiałbym mieć pecha, żeby zabił mnie jednym strzałem. Między pierwszym a drugim mógłbym go dosięgnąć. Przesuwając stopy do tyłu mówiłem szybko.

- Jeśli wyda mi pan Sampsona, mogę zareczyć, że nie będę próbował pana zatrzymać i nie będę gadał. Będzie pan musiał ponieść ryzyko razem z innymi. Porwanie jest jak każde inne przedsięwzięcie handlowe: trzeba ryzykować.

- Ryzykuję, ale nie z panem.

Uniósł wyprostowane ramię, a rewolwer na jego końcu przypominał wydrażony błękitny palec. Spojrzałem w bok, a przeciwnym kierunku, niż zamierzałem skoczyć. Dźwignąłem się z krzesła, kiedy huknął strzał. Taggert był zobojętniały, gdy do niego dopadłem. Rewolwer wysliznął mu się z ręki.

1m

Przemówiła jakaś inna broń. W drzwiach stał Albert Graves, ściskając bliźniaczy rewolwer z pary, która stanowiła własność Taggerta. Czubek małego palca wetknął w okrągły otwór w siatce.

- Wielka szkoda - powiedział - ale to było konieczne.

Woda spływała mi po twarzy.

Rozdział 25

Chwyciłem gibkie ciało Taggerta w locie i ułożyłem na murawie. Ciemne oczy, otwarte i połyskliwe, nie zareagowały na dotyk moich palców. Dziura w prawej

skroni nie krwawiła. Znak śmierci niby małe czerwone znamię wystarczył, by Alan stał się substancją organiczną wartości trzydziestu dolarów, uformowaną na podobieństwo człowieka. Graves stał nade mną.

- Nie żyje?

- Nie padł w ataku choroby. Szybko odwaliłeś czysty kawałek roboty.

- Musiałeś zginąć ty albo on.

- Wiem. Nie lubię wysuwać głupich zarzutów, ale wolałbym, żebyś strzałem wytrącił mu broń albo rozwalił łokieć ręki, w której trzymał rewolwer.

- Nie mogłem ufać moim umiejętnościom. W wojsku wyszedłem z wprawy w strzelaniu. - Usta wykrzywił mu kwaśny uśmiech, uniósł jedną brew do góry. - Złośliwy z ciebie skurczybyk, Lew. Ja ci ratuję życie, a ty krytykujesz metodę.

- Słyszałeś, co mówił?

- Wystarczająco dużo. To on porwał Sampsona.

- Ale nie sam. Jego przyjaciele nie będą zachwyceni. Odegrają się na Sampsonie.

- Więc żyje?

- Zdaniem Taggerta, tak.

- Kim są ci pozostali? 184

- Jednym był Eddie Lassister. Betty Fraley jest druga. Może było ich więcej.

Zawiadomisz policję o tym, co się stało?

- Naturalnie.

- Powiedz, żeby zachowali to w tajemnicy.

- Ja się tego nie wstydzę, Lew - powiedział ostrym tonem - chociaż ty najwyraźniej uważasz, że powinienem. Trzeba to było zrobić, a równie dobrze jak ja wiesz, co w takich wypadkach orzeka prawo.

- Popatrz na to z punktu widzenia Betty Fraley, Nie będzie to punkt widzenia prawników. Kiedy się dowie, co zrobiłeś z jej kumplem, poleci prosto do Sampsona i wywierci dziurę w jego głowie. Bo dlaczego miałyby go pozostawiać przy życiu? Wzięła pieniądze...

- Racja — przyznał. - Nie możemy dopuścić, żeby roztrąbiła o tym prasa i radio.

- I musimy ją odnaleźć, zanim ona dopadnie Sampsona, A ty, Bert, miej się na

baczności. Jest niebezpieczna i coś mi się zdaje, że była zakochana w Taggercie.

- Ona także? - powiedział, po chwili zaś dodał: - Ciekaw jestem, jak przyjmie tę wiadomość Miranda.

- Nie za dobrze. Podobał jej się, prawda?

- Durzyła się w nim. Jak wiesz, to romantyczka, a w dodatku strasznie młoda. Taggart miał to, na czym we własnym mniemaniu jej zależało: młodość, urodę i wspaniały rejestr bojowy. Będzie to dla niej szok.

- Mnie trudno jest zaszokować - stwierdziłem - ale byłem zaskoczony. Uważałem go za chłopca przyzwoitego, trochę zbyt zajętego sobą, ale zasługującego na zaufanie.

- Nie znasz takich ludzi równie dobrze jak ja - rzekł Graves. - Na moich oczach to samo działo się z innymi chłopcami, rzecz prosta w słabszym stopniu, ale to samo. Szli ze szkoły średniej do wojska albo do lotnictwa i świetnie się mieli. Byli oficerami, dżentelmenami z wysoką gażą i jeszcze bardziej wygórowanym mniemaniem o sobie, i odnosili sukcesy niezbędne do tego,

185

żeby tę opinię podtrzymywać. Wojna stanowiła ich żywioł, a kiedy się skończyła, i oni się skończyli. Musieli wrócić na posady dla chłopców i słuchać podtatusia-łych cywilów. Wziąć do ręki pióra i maszyny do dodawania zamiast drażków sterowniczych i karabinów maszynowych. Niektórzy nie mogli tego znieść i zeszli na złe drogi. Uważali, że świat do nich należy, i nie potrafili zrozumieć, dlaczego został im odebrany. Chcieli wydrzeć go z powrotem. Chcieli być wolni, szczęśliwi i odnosić sukcesy nie pracując na tę wolność, szczęście czy sukces. I oto taki skutek.

Spojrzał na Taggerta wyciągniętego na ziemi, wciąż jeszcze otwartymi oczyma zapatrzonego przez daszek w puste niebo. Nachyliłem się, żeby je zamknąć.

- Popadamy w bardzo elegijny nastrój - zauważyłem. - Chodźmy stąd.

- Zaraz. - Położył mi dłoń na ramieniu. - Chcę cię poprosić o przysługę, Lew.

- Jaka?

W głosie Gravesa brzmiała niepewność.

- Obawiam się, że jeśli ja powiem o tym Mirandzie, będzie to widziała w fałszywym świetle. Wiesz, o co mi chodzi... może mnie przypisywać winę.

- Chcesz, żebym jej powiedział?
- Wiem, że się do tego nie palisz, ale byłbym ci wdzięczny.
- Mogę to zrobić - odparłem. - Zapewne uratowałeś mi życie.

Pani Kromberg sprzątała duży frontowy pokój. Na mój widok podniosła oczy i wyłączyła odkurzacz.

- Czy pan Graves pana znalazł?
- I owszem.

Jej twarz przybrała czujny wyraz.

- Stało się coś złego?
- Już jest po wszystkim. Nie wie pani, gdzie może być Miranda?
- Parę minut temu była w saloniku.

Przeprowadziła mnie na drugą stronę domu i zostawiła pod drzwiami pokoju tonącego w promieniach słońca. Miranda stała przy oknie z widokiem na patio. Układała w wazonie żonkile. Żółte kwiaty kontrastowały z jej ciemnym strojem. Jedyne barwne akcenty stanowiła w nim szkarłatna chustka związana w wycięciu czarnego wełnianego kostiumu. Drobne, spiczaste piersi dziewczyny gniewnie rozpięły materiał.

- Dzień dobry—powiedziała. -To jest życzenie, a nie stwierdzenie faktu.
- Rozumiem. - Pod jej opuchniętymi oczami rysowały się lekkie sińce. - Ale mam dla pani względnie dobre nowiny.
- Względnie dobre? - Uniosła zaokrąglony podbródek, usta jednak pozostały żałośnie wygięte.
- Mam pewne podstawy, by sądzić, że ojciec pani żyje.
- Gdzie jest?
- Nie wiem.

I - Więc skąd pan wie, że żyje?

- Nie powiedziałem, że wiem. Powiedziałem, że tak sądzę. Rozmawiałem z jednym z porywaczy.

Rzuciła się w moją stronę i zapytała chwytając mnie za ramię:

- Co powiedział?

- Że ojciec pani żyje.

Puściła mnie i złożyła dłonie, splatając i zaciskając brązowe palce. Żonkile upadły na podłogę z połamanymi łodygami.

- Ale nie można im przecież wierzyć? Naturalnie twierdzą, że żyje. Czego chcieli?

Dzwonili do pana?

- Rozmawiałem tylko z jednym z nich. W cztery oczy.

- Widział pan go i wypuścił?

- Nie wypuściłem. On nie żyje. Nazywa się Alan Taggert.

- Ależ to niemożliwe. Ja... - Spod obwisłej nagle dolnej wargi ukazał się rząd zębów.

187

186

- Dlaczego niemożliwe?

- On nie mógł tego zrobić. Był porządnym człowiekiem. Był zawsze uczciwy w stosunku do mnie... w stosunku do nas.

- Dopóki nie nadarzyła się wielka szansa. Wtedy zapragnął pieniędzy bardziej niż czegokolwiek na świecie. Gotów był popełnić morderstwo, żeby je zdobyć.

W jej oczach pojawiło się pytanie.

- Mówił pan, że Ralf żyje?

- Taggert nie zamordował pani ojca. To mnie próbował zabić.

- Nie - zaprzeczyła. - On nie był taki zły. To ta kobieta go wykoślawiła, Wiedziałam, że jeśli będzie się z nią zadawał, przywiedzie go do zguby.

- Czy Taggert opowiadał pani o niej?

- Oczywiście że opowiadał. Mówił mi wszystko.

- I pani mimo to go kochała?

- Czy powiedziałam, że tak było? - Usta miała znów zdecydowane i dumnie wygięte.

- Tak mi się zdawało.

- Tego durnia! Przez jakiś czas służył mi za narzędzie. Spełnił swoje zadanie.

- Dość! - wykrzyknąłem gwałtownie. - Mnie pani nie oszuka, nie oszuka też pani siebie. Poszarpie się pani na strzępy.

A jednak jej zaciśnięte ręce pozostawały nieruchome, wysokie ciało trwało w

przechyle jak drzewo zgięte przez wiatr nie przestający dmuchać. Ten wiatr popchnął ją ku mnie. Stopami zdepała żonkile. Jej usta przywarły do moich. Przyłgnęła do mnie cała, na zbyt długo i zbyt krótko zarazem.

- Dziękuję, że pan go zabił. - Takim udręczonym, łagodnym głosem mogłaby przemawiać rana, gdyby umiała mówić.

Wziąłem ją za ramiona i odsunąłem od siebie.

- Myli się pani. Ja go nie zabiłem.

188

- Powiedział pan, że nie żyje, że usiłował pana ordować.

- Zastrzelił go Albert Graves.

- Albert? - Jej chichot jak iskra przeskakiwał grani-, która oddziela śmiech od hysterii.

- Albert to obić?

- Jest świetnym strzelcem... bardzo dużo strzelaliś-y razem do celu. Gdyby nie umiał strzelać, nie byłbym teraz z panią.

- Lubi pan być tu teraz ze mną?

- Trochę mnie od tego zemdliło, Próbuje pani nie zklejając się przełknąć te nowiny, a nie przechodzą ani przez gardło.

Jej wzrok ześliznął się po moim ciele i wykrzywiła arsz w najbardziej małym uśmiechu, na jaki mogła ę zdobyć ładna dziewczyna.

- Zemdliło pana od mojego pocałunku?

- Wiedziała pani, że nie. Ale człowiek traci głowę, "edy się znajdzie w jednym pokoju z pięcioma czy eścioma konkurującymi ze sobą nawzajem osobo-ościami.

- Chce pan powiedzieć, że zakreściły panu w gło--e - rzekła ze swoim małym uśmiechem.

- To pani będzie się w niej kręciło, jeśli się pani nie —okoi. Proszę się zastanowić, co pani czuje w związku tą historią, i porządnie się wypłakać, bo inaczej grozi ani schizofrenia.

- Zawsze byłam typem schizoidalnym - odparła. -e czemu miałabym płakać, Herr Doktor?

- Żeby się przekonać, czy pani potrafi.

- Nie traktuje mnie pan poważnie, prawda?
- Nie mogę sobie pozwolić na wkładanie ręki w roz-pane drzewo.
- Mój Boże - powiedziała. - Przyprawiam o mdłości, jestem schizofreniczna, jestem kawałkiem rozłupanego
ewna. Co pan naprawdę o mnie myśli?
- Nie mam pojęcia. Łatwiej bym sobie wyrobił zda-
189
nie, gdybym się dowiedział, gdzie pani jeździła wczoraj w nocy.
- Wczoraj w nocy? Nigdzie.
- Rozumiem, że wczoraj wnocy odwaliła pani kawał drogi czerwonym Packardem.
- Tak, ale jeździłam bez celu. Po prostu prowadziłam wóz. Chciałam być sama, żeby podjąć decyzję.
- Odnosnie czego?
- Odnosnie tego, co będę robiła. Wie pan, co zrobię, panie Archer?
- Nie. A pani?
- Chcę się zobaczyć z Albertem - odrzekła. - Gdzie on jest?
- W rozbieralni, na miejscu wypadku. Taggert jest tam również.
- Proszę mnie zaprowadzić do Alberta.

Znaleźliśmy go na osłoniętej siatką werandzie. Siedział nad Taggertem, a szeryf i prokurator okręgowy wpatrywali się w twarz zabitego, jeszcze nie zakrytą, i słuchali relacji Gravesa. Wszyscy trzej wstali na widok Mirandy.

Musiała przejść nad ciałem, żeby się zbliżyć do Alberta Gravesa. Zrobiła to nie patrząc w dół na twarz zmarłego. Oburącz objęła dłoń Gravesa i podniosła do ust. Całowała jego prawą rękę, tę, która nacisnęła spust.

- Teraz za ciebie wyjdę - powiedziała. Niezależnie od faktu, czy wiedział o tym, czy nie,

Graves miał powód, żeby strzelić Taggertowi w głowę.

Rozdział 26

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Zakochani stali obok siebie nad ciałem.

Tamci patrzyli na nich.

- Lepiej stąd chodźmy, Mirando - przemówił w końcu Graves. Spojrzał na prokuratora okręgowego. - Wy-

190

baczą panowie? Należy zawiadomić panią Sampson.

- Rób swoje, Bert — odrzekł Humphreys. Podczas gdy jeden z jego podwładnych sporządzał

notatki, a drugi fotografował zwłoki leżące na ziemi, Humphreys zadawał mi pytania. Szybko i dokładnie wyczerpał sprawę. Powiedziałem mu, kim był Taggert, jak zginął i dlaczego musiało się to stać. Szeryf Spanner słuchał niespokojnie, rozgryzając cygaro na drobne kawałki.

- Trzeba będzie przeprowadzić śledztwo - stwierdził Humphreys. - Oczywiście obaj z Bertem jesteście wolni od zarzutów. Taggert miał śmiertcionośną broń w ręku i najwyraźniej zamierzał się nią posłużyć. Niestety wskutek tego strzału nasza sytuacja się pogorszyła. Nie mamy właściwie czego się trzymać.

- Zapomina pan o Betty Fraley.

- Nie zapominam, aleśmy jej nie złapali, a nawet jak złapiemy, nie możemy być pewni, że zna miejsce pobytu Sampsona. Problem pozostaje nie zmieniony i równie daleki od rozwiązania jak wczoraj. Polega na znalezieniu Sampsona.

- I stu tysięcy dolarów - dodał Spanner. Humphreys podniósł wzrok zniecierpliwiony.

- Uważam, że pieniądze mają drugorzędne znaczenie.

- Owszem, drugorzędne, ale sto tysięcy gotówką to nie bagatela. - Skubał mięsistą dolną wargę. Przeniósł na mnie spojrzenie swych szarych oczu. - Jeśli skończyłeś z panem Archerem, ja chcę z nim pomówić.

- Proszę bardzo - odrzekł chłodno Humphreys. - Muszę wracać do miasta. - Zabrał ze sobą ciało.

Kiedy zostaliśmy sami, szeryf dźwignął się ciężko i stanął przede mną.

- No więc? - zapytałem. - O co chodzi, szeryfie?

- Może pan mi potrafi powiedzieć. - Złożył grube ramiona na piersi.

- Powiedziałem panu tyle, ile wiem.

191

- Możliwe, Wczoraj wieczór nie powiedział mi pan wszystkiego, co należało powiedzieć. Rozmawiałem dziś rano z pańskim przyjacielem Coltonem. Wspomniał o limuzynie, którą prowadził ten Lassiter: była wypożyczona w Pasadenie i pan o tym wiedział. -Nagle podniósł głos, jakby w nadziei, że mnie zaskoczy i zmusi do wyznań. - Nie powiedział mi pan, że widział ją wcześniej, wtedy, kiedy wetknięto do skrzynki kartkę w sprawie okupu.

- Widziałem podobną limuzynę. Nie wiedziałem, że to ta sama.

- Ale się pan domyślał. Powiedział pan Coltonowi, że to ta sama. Przekazał pan informację policjantowi, który nie mógł jej wykorzystać, ponieważ ten okręg nie podlega jego jurysdykcji. Ale nie mnie, prawda? Gdyby mnie pan poinformował, moglibyśmy go ująć. Moglibyśmy zapobiec strzałom i odzyskać pieniądze.

- Ale nie Sampsona.

- Nie pan tu będzie wyrokował. - Zła krew napłynęła mu do twarzy, nieomal rozsadzając skórę. - Wziął pan sprawy we własne ręce i przeszkodził mi w wypełnieniu obowiązku. Nie udzielił pan informacji. Znikł pan zaraz po zastrzeleniu Lassitera. Był pan jedynym świadkiem, a mimo to się pan ulotnił. Równocześnie zniknęło sto tysięcy dolarów.

- Nie podoba mi się ta implikacja. - Wstałem. Był wysokim mężczyzną i nasze oczy znalazły się na jednym poziomie.

- Panu się nie podoba. A mnie się ma podobać? Nie twierdzę, że wziął pan pieniądze... to się jeszcze okaże. Ani że pan zastrzelił Lassitera. Twierdzę, że pan mógł to zrobić. Proszę mi oddać rewolwer i powiedzieć, co pan robił, kiedy mój zastępca dogonił pana na południu. A także, co robił pan później.

- Szukałem Sampsona.

- Szukał pan Sampsona - rzekł z gryzącą ironią. -I spodziewa się pan, że mu uwierzę na słowo.

192

- Nie musi pan mi wierzyć. To nieć pan płaci mi za robotę.

Ujął się pod boki i przechylił ku mnie.

- Gdybym chciał podpaskudzić, mógłbym pana w tej chwili przyskrzynieć.

Straciłem cierpliwość.

- Ależ pan i tak podpaskudza.

- Wie pan, do kogo się pan zwraca?

- Do szeryfa. Do szeryfa, który musi rozpracować trudną sprawę, a cierpi na brak pomysłów. Więc szuka kozła ofiarnego.

Krew odpłynęła mu od twarzy, pobladłej teraz z wściekłości.

- Dowiedzą się o tym w Sacramento - wyjąkał. - Kiedy wypłynie sprawa pańskiej licencji...

- Już to kiedyś słyszałem. Nadal pracuję i powiem panu dlaczego. Mam czystą kartę i nie straszę ludzi, dopóki oni nie zaczynają mnie straszyć.

- Więc pan mi grozi! - Prawą ręką namacał kaburę na biodrze. - Jest pan aresztowany, Archer.

Usiadłem skrzyżowawszy nogi. . - Wolnego, szeryfie. Proszę siadać i odprężyć się trochę. Musimy porozmawiać o paru sprawach.

- Będę z panem rozmawiał w sądzie.

- Nie - odparłem. - Tutaj. Chyba że zechce mnie pan zawieźć do inspektora od spraw imigracji.

- A cóż on ma do tego? - Uniósł powieki chcąc sprawić wrażenie inteligentnego, ale osiągnął tyle, że wydał się zagubiony. - Pan jest cudzoziemcem?

- Jestem synem tego kraju. Czy macie tu w mieście inspektora od spraw imigracji?

- Nie w Santa Teresa. Najbliżej są w federalnym biurze w Ventura. A bo co?

- Często pan z nimi współpracuje?

- Dosyć. Ile razy złapię nielegalnie przebywającego cudzoziemca, oddaję go w ich ręce. Pan mnie nabiera, Archer?

13 - Ruchomy cel

193

- Proszę siadać - powtórzyłem. - Wczoraj wieczór nie znalazłem tego, czego szukałem, ale znalazłem coś innego. Pan i inspektorzy powinniście się z tego bardzo ucieszyć. Ofiaruję to panu w prezencie, nie stawiając żadnych warunków.

Usiadł na płóciennym krześle. Gniew jego nagle ustąpił miejsca ciekawości.

- Co to takiego? Lepiej niech będzie coś warte.

Opowiedziałem mu o granatowej ciężarówce, o brunatnych mężczyznach w Świątyni, o Troyu, Eddie'em i Claudzie.

- Jestem prawie pewny, że na czele gangu stoi Troy. Tamci wykonują dla niego robotę. Według ustalonego rozkładu przerzucają po cichu transporty od granicy meksykańskiej w rejon Bakersfield. Na południu stacją końcową jest przypuszczalnie Calxico.

- Taa - powiedział Spanner. - Tam łatwo przekroczyć granicę. Parę miesięcy temu wybrałem się tam ze strażą graniczną. Wystarczy przeleźć przez drut kolczasty z jednej drogi na drugą.

- Na której czeka ciężarówka Troya. Świątynia w Chmurach służyła za stację odbiorczą dla nielegalnych imigrantów. Bóg raczy wiedzieć, ilu się przez nią przewinęło. Wczoraj w nocy było ich dwunastu albo więcej.

- Są tam jeszcze?

- Teraz są już w Bakersfield, ale zgarnięcie ich nie powinno nastęrczać trudności. Jeśli złapie pan Clau-de'a, prawie na pewno będzie sypał.

- Jezu! - wykrzyknął Spanner. - Jeśli co nocy przewozili ponad dwunastu, w ciągu miesiąca było ich trzystu sześćdziesięciu. Wie pan, ile płacą, żeby ich ktoś przemycił?

- Nie.

- Po sto dolców od łebka. Ten Troy zbijał grubą forszę.

- Brudną forszę. Przewoził stadko biednych Indian,

194

zabierał im oszczędności i wypuszczał, a oni stawali się wędrownymi robotnikami. Rzucił mi dość dziwne spojrzenie.

~ Proszę nie zapominać, że oni też dopuszczają się wykroczenia. Mimo to nie ścigamy ich, chyba że mają kryminalną przeszłość. Po prostu odstawiamy do granicy i wypuszczamy. Ale Troy i jego szajka to coś innego. Za taką działalność można dostać trzydzieści lat.

- To świetnie.

- Nie wie pan, gdzie on się obraca w Los Angeles?

- Prowadzi knajpę, która nazywa się Szalony Fortepian, ale tam nie będzie się pokazywał. Powiedziałem panu wszystko, co wiem. - Nie wspomniałem jednak o zabitym przeze mnie mężczyźnie i o blondynce, zapewne wciąż jeszcze wyczekującej Eddie'ego.

- To brzmi prawdziwie - rzekł szeryf powoli. - Może pan zapomnieć, co mówiłem o aresztowaniu. Ale jeśli ta historia okaże się wykretem, przypomnę sobie o tym. Nie oczekiwałem podziękowań, więc nie spotkał mnie zawód.

Rozdział 27

Zaparkowałem wóz na drodze pod drzewami eukaliptusowymi. Ślady opon ciężarówki były jeszcze odcisnięte w pyle. Nieco dalej upstrzony rdzą zielony czterodrzwiowy samochód, model A, stał tyłem do słupka ogrodzenia. Z karty rejestracyjnej umocowanej paskiem do kierownicy odczytałem nazwisko: „Pani Marcella Finch”.

Poświata księżycowa była dla białego domku łaskawa. Teraz, kiedy słońce stało w zenicie, okazał się brzydki, nędzny i zaniedbany, brudną plamą odcinał się od niebieskiego przestworu morza. W polu widzenia nie dostrzegłem oznak życia czy ruchu, jeśli nie liczyć falowania oceanu i paru słabych podmuchów wiatru,

195

który wicherzył zwiędłą trawę na zboczu wzgórza. Na-macałem kolbę rewolweru.

Kurz na ścieżce tłumiał moje kroki.

Drzwi uchylły się ze skrzyknięciem, kiedy do nich zastukałem.

Kobięcy głos zapytał głucho:

- Kto tam?

Odstąpiłem na bok i czekałem, bo mogła mieć broń. Podniosła głos.

- Jest tam kto?

- Eddie - szepnąłem. Imię to nie było już Eddie'emu potrzebne, ale wymawiałem je z trudem.

- Eddie? - Przyciszone, zdziwione pytanie. Czekałem. Zaszurała stopami po podłodze, Zanim w mrocznym wnętrzu zobaczyłem jej twarz, prawą ręką chwyciła za

krawędź drzwi. Pod łuszczącym się szkarłatnym lakierem paznokcie były brudne. Złapałem ją za przegub.

- Eddie! - Wyjrzała zza drzwi, oślepią słońcem i rozpaczliwą nadzieją. Potem zamrugła oczami i zobaczyła, że to nie on.

W ciągu dwunastu godzin postarzała się raptownie. Oczy miała podpuchnięte, usta ściągnięte i obwisły podbródek. Czekanie na Eddie'ego wyssało z niej energię.

Zastąpiło ją coś w rodzaju wymuszonej furii.

Wbiła w moją dłoń paznokcie jak papuga szpony. I zaskrzeczała jak papuga:

- Wstrętny łgarz!

To wyzwisko ugodziło mnie boleśnie, lecz nie tak boleśnie jak kula. Chwyciłem ją za przegub drugiej ręki i zmusiwszy, by cofnęła się do środka, zatrzasnąłem drzwi nogą. Próbowała wymierzyć mi cios kolaniem, a potem ugryźć w szyję. Popchnąłem ją na łóżko.

- Nie chcę ci zrobić krzywdy, Marcie.

Przez okrągły otwór ust wrzasnęła mi w twarz. Wrzask się załamał, przechodząc w suchą czkawkę. Przewróciła się na bok i zagrzebała w pościeli. Jej ciało

196

ruszało się miarowo w paroksyzmie rozpacz. Stałem nad nią wsłuchany w tę czkawkę.

Szare światło sączyło się przez brudne szyby, odbijało od ścian z deszczowymi zaciekami i sfatygowanych mebli. Na starym radioodbiorniku bateryjnym koło łóżka leżała garść zapalek i paczka papierosów. Po chwili Marcie usiadła i zapaliła brązowego papierosa, głęboko się zaciągając. Jej płaszcz kąpielowy rozchylił się, jakby obwisłe piersi nic już nie znaczyły."

Wraz z dymem wydobył się głos pogardliwy i apatyczny.

- Powinna odstawić łzawą scenę, żeby dostarczyć gliniarzowi dreszczyku.

- Nie jestem gliniarzem.

- Wiesz, jak mi na imię. Całe rano czekam na przedstawicieli prawa. - Popatrzyła na mnie z zimnym zainteresowaniem. - Jacy potraficie być podli, wy dranie! Sprzątnąłeś Eddie'ego, kiedy był bez broni. A potem przychodzisz i mówisz pod drzwiami, że

jesteś Eddie. Przez chwilę wydaje mi się, że w dzienniku radiowym coś pokręcili albo że wy, dranie, chcieliście mnie nastraszyć. Czy można być podlejszym?

- Chyba nie - odparłem. - Myślałem, że może podejdziesz do drzwi z rewolwerem.

- Nie mam broni. Nigdy jej nie miałam, i Eddie także. Nie łąziłbyś po świecie, gdyby Eddie miał wczoraj spluwę. Nie skakałbyś po jego grobie. - Bezbarwny głos znów się załamał. - Może ja będę tańczyć walca na twoim grobie, gliniarzu.

- Nie gadaj przez chwilę. Posłuchaj.

- Z miłą chęcią. - Głos odzyskał cynowe brzmienie. - Od tej chwili tylko ty będziesz gadał. Możesz mnie zamknąć i wyrzucić klucz. Niczego się ode mnie nie dowiesz.

- Zgaś tego knota, Marcie. Chcę, żebyś mówiła do rzeczy.

Roześmiała się i dmuchnęła mi dymem w twarz.

197

Wyjąłem jej z palców wypalonego do połowy papierosa z marihuaną i zdusiłem obcasem. Szkarłatne szpony sięgnęły do mojej twarzy. Cofnąłem się, więc opadła na łóżko.

- Musiałaś być wtajemniczona, Marcie. Wiedziałaś, co robił Eddie?

- Zaprzeczam wszystkiemu. Pracowałem jako kierowca ciężarówki. Woził fasolę z Imperial Valley. - Nagle wstała i zrzuciła płaszcz kąpielowy. — Zabieraj mnie na policję i skończ z tym wreszcie. Oficjalnie wszystkiemu zaprzeczę.

- Ja nie jestem z policji.

Kiedy podniosła ramiona, żeby włożyć sukienkę, jej ciało sprężyło się, piersi uniosły, napięty brzuch mignął bielą.

- Podoba ci się? - Obciągnęła sukienkę gestem pełnym złości i gmerała przy guzikach pod szyją. Pasma blond włosów o różnych odcieniach opadły na twarz.

- Siadaj - rozkazałem. - Nigdzie nie jedziemy. Przyjechałem tu, żeby ci coś powiedzieć.

- Nie jesteś gliniarzem?

- Powtarzasz się jak Puddler. Chodzi mi o Sampso-na. Jestem prywatnym glina, wynajętym, żeby go odnaleźć. Zależy mi tylko na nim, rozumiesz? Jeśli możesz mi go wydać, dopilnuję, żeby podejrzenie nie padło na ciebie.

- Łżesz jak pies - odparła. - Nie mam zaufania do gliny, prywatnego ani żadnego innego. A zresztą nie wiem, gdzie jest Sampson.

Utkwiłem wzrok w jej ptasio brązowych oczach. Były płytkie i pozbawione wyrazu.

Nie umiałem wyczytać z nich, czy kłamie.

- Nie wiesz, gdzie jest Sampson...

- Mówiłam, że nie wiem.

- Ale wiesz, kto wie. Usiadła na łóżku.

198

- Nic nie wiem, do jasnej cholery. Już ci mówiłam.

- Eddie sam tego nie zrobił. Musiał mieć współnika.

- Zrobił to sam. A jeśli nie, czy uważasz, że będę sypać? Będę się wysługiwać glinom za to, co z nim zrobili?

Usiadłem w fotelu z wgłębionym oparciem i zapaliłem papierosa.

- Powiem ci coś zabawnego. Byłem tam, kiedy go zastrzelono. Poza mną w promieniu trzech kilometrów nie znajdował się żaden glina.

- Ty go zabiłeś? - zapytała cienkim głosem.

- Nie. Zatrzymał się na bocznej drodze, żeby oddać pieniądze kierowcy innego wozu. Kremowej kabrioli-muzyny. Siedziała w niej kobieta. Ona go zastrzeliła. Gdzie może teraz być ta kobieta?

Oczy jej lśniły jak wilgotne brązowe kamyki. Czerwony koniuszek języka przesunął się po górnej, potem po dolnej wardze.

- Odkąd zaczęła zażywać biały proszek - powiedziała sama do siebie. - Zawsze nienawidzą nas, mari-huaniarzy.

- Zamierzasz się z tym pogodzić, Marcie? Gdzie ona jest?

- Nie wiem, o kim mówisz.

- O Berty Fraley - odrzekłem.

Po długiej chwili milczenia powtórzyła:

- Nie wiem, o kim mówisz.

Zostawiłem ją siedzącą na łóżku i wróciłem przed Bar Narożny. Zatrzymałem się na parkingu, opuszczając ekran przeciwsłoneczny. Znała moją twarz, ale nie samochód.

Przez pół godziny droga z White Beach świeciła pustkami. Potem w oddali pojawił się tuman kurzu wzbijany przez zielony czterodrzwiowy samochód, model A. Zarrim skręcił na południe, w stronę Los Angeles, mignęła mi jaskrawo wymalowana twarz, szare futro pod szyją i zawadiacko przekrzywiony kapelusz z jas-

199

noniebieskim piórkiem. Strój, kosmetyki i pół godziny samotności wyszły Marcie na dobre.

Dopiero kiedy przejechały dwa czy trzy inne wozy, skręciłem na autostradę. Model A wyciągał niecałą osiemdziesiątkę, więc łatwo było mieć go na oku. Prowadzenie tak powoli w upalny dzień, drogą aż nazbyt dobrze znaną, sprawiało tylko ten kłopot, że mogłem zasnąć. Bliżej Los Angeles, gdy wzrosła liczba pojazdów na szosie, zmniejszyłem dzielącą nas odległość.

Model A skręcił z autostrady w Bulwar Zachodzącego Słońca i bez zatrzymywania się przejechał przez Pacific Palisades. Na wzgórzach u podnóża gór Santa Monica toczył się z wysiłkiem, wlokąc za sobą ciemnoniebieską smugę spalin. Na skraju Beverly Hills raptownie skręcił z bulwaru i zniknął.

Podążyłem za nim krętą drogą, z obu stron wysadzaną żywopłotami. Model A stał za wawrzynowym żywopłotem, na początku zwirowanego podjazdu. Mijając go dojrzałem Marcie, która szła przez trawnik w kierunku szerokiej ceglanej werandy osłoniętej oleandrami. Marcie sprawiała wrażenie schylonej do ataku i przynaglonej morderczą siłą.

Rozdział 28

Skręciłem przy następnym podjeździe i zaparkowałem wóz na poboczu, czekając na jakiś sygnał, który by zmaćcił spokój przedmieścia. Sekundy narastały niebezpiecznie, niczym słupek z żetonów pokerowych.

Drzwiczki zostawiłem otwarte, jedną nogę opuściłem na ziemię. Kiedy silnik Forda się zakrztusił, wciągnąłem nogę do środka i przywarowałem za kierownicą. Motor zaryczał, a po wrzuceniu biegu przycichł, zagłuszony przez niższy dźwięk, jaki wydawał czarny Buick wycofujący się tyłem z podjazdu. Prowadził nie znany mi mężczyzna. Oczy w jego mięsistej twarzy przypomi-

' nały rodzynki wetknięte w surowe ciasto. Marcie siedziała przy nim z przodu. Na tylnych oknach szare firanki były pozaciągane jak w karawanie.

Przy wjeździe na bulwar Buick skierował się w stronę morza. Trzymałem się na tyle blisko, na ile wystarczało mi odwagi. Między Brentwood i Pacific Palisades skręcił w prawo, na drogę, która pięła się do kanionu. Miałem uczucie, że już niewiele kilometrów pozostało do przejechania w sprawie Sampsona. Na koniec wpakowaliśmy się w wąski przesmyk.

Droga była wycięta w zachodniej ścianie kanionu. Poniżej nie ogrodzonej krawędzi szosy rozpościerał się gąszcz zarośli. Powyżej, z mojej lewej strony, na zgrubsza wykarczowanych działkach, stały nieliczne domy, nowe i jeszcze nie wykończone. Przeciwny stok porastała masa karłowatych dębów. i Ze szczytu wzniesienia ujrzałem przelotnie Buicka wspinającego się na grzbiet następnego wzgórza.

Przyspieszyłem na pochyłości, przejechałem przez wąski kamienny most nad suchym barranca' i znów ruszyłem pod górę. Buick toczył się w dół powoli jak ocieżały czarny żuk wymacujący drogę na obcym terenie. Na prawo odgałęziała się wyżłobiona przez koleiny aleja. Żuk przystanął, po czym w nią skręcił.

Zaparkowałem wóz za drzewem, które do połowy zasłaniało go od dołu, i obserwowałem malejącego w oddali Buicka. Kiedy był już nie większy od prawdziwego żuka, zatrzymał się przed żółtym domkiem podobnym do pudełka zapalek. Wyszła z niego kobieta jak zapalka z czarnym łebkiem. Z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Otoczyli ją i całą piątką weszli do środka, niczym jeden wielonożny owad.

Przez zarośla przedarłem się do wyschniętego łożyska rzeki na dnie kanionu, wijącego się wśród głazów.

* Parowem (hiszp.)

z których na mój widok umykały małe jaszczurki. Sękate nadbrzeżne drzewa osłaniały mnie, dopóki nie znalazłem się dokładnie za żółtym domkiem. Była to nie pomalowana diewniana szopa, wsparta od tyłu na niskich kamiennych słupach. Ze środka dobiegały co chwila bardzo głośne kobiece wrzaski. Szarpały mi nerwy,

ale byłem za nie wdzięczny, bo zagłuszały hałas towarzyszący mojej wspinaczce na brzeg i wpełzaniu pod dom. Po pewnym czasie ustały. Leżałem rozplaszczony, wsłuchany w szuranie po podłodze nade mną. Cisza pod domkiem zdawała się czaić w oczekiwaniu na nowy wrzask. Wdychałem woń świeżej sosny, wilgotnej ziemi, własnego cierpkiego potu.

Łagodny głos zaczął przemawiać nad moją głową.

- Okoliczności są dla ciebie nie całkiem zrozumiałe. Zdajesz się uważać, że kierujemy się czystym sadyzmem albo zwyczajną żądzą zemsty. Niewątpliwie, gdybyśmy skłonni byli powodować się mściwością, moglibyśmy usprawiedliwić ją twoim postępowaniem.

- Skończ z tym gadaniem, na litość boską! - odezwai się głos pani Estabrook. - To do niczego nie prowadzi.

- Wyjaśnię mój punkt widzenia, jeśli nie masz nic przeciw temu. Chodzi mi o to, Betty, żeś bardzo źle postąpiła. Nie pytając mnie o radę, chciałaś ubić interes na własną rękę, a coś takiego rzadko pochwalam u moich pracowników. Co gorsza, porwałaś się na to przedsięwzięcie w sposób nieprzemyślany. Teraz poszukuje cię policja, a także mnie, Fay i Luisa. Dalej, ofiarą twojej kiepskiej, drobnej intrygi padł mój wartościowy wspólnik. A dla ukoronowania tego wszystkiego okazałaś się wyzuta nie tylko z esprit de corps, ale i z uczuć siostrzanych. Zastrzeliłaś, zabiłaś swojego brata Eddie'ego Lassitera.

- Wiemy, żeś się nałykał słów ze słownika - powiedziała Fay Estabrook. - Jedź dalej, Troy.

- Nie zabiłam go. - Miauknięcie zranionego kota.

202

- Kłamiesz - warknęła Marcie. Troy podniósł głowę.

I — Cisza, wy wszystkie. Puścimy w niepamięć to, co się stało, Betty...

- Jak ty tego nie zrobisz, ja ją zabiję - oświadczyła Marcie,

- Bzdura, Marcie. Zrobisz dokładnie to, co ci każę. Mamy szansę powetowania sobie straty i nie dopuścimy, żeby zaprzepaściły ją nasze prymitywne namiętności. A to nam przypomina o temacie tego miłego towarzyskiego zebranka, prawda, Betty? Nie

wiem, gdzie są pieniądze, ale oczywiście się dowiem. A wtedy, że się tak wyrażę, kupisz sobie rozgrzeszenie.

- Ona nie powinna żyć - powiedziała Marcie. - Klnę się, że ją zabiję, jak ty tego nie zrobisz.

Fay wybuchnęła pogardliwym śmiechem.

- Nie starczy ci odwagi, moja miła. Nie zwracałabyś się do nas, gdybyś miała odwagę sama ją załatwić.

t - Obie macie trzymać język za zębami. - Troy zniżył głos, podejmując łagodny monolog.-Wiesz, że potrafię poradzić sobie z Marcie, co, Betty? Chyba zdążyłaś się już przekonać, że potrafię poradzić sobie nawet z tobą. Zdaje mi się, że z powodzeniem możesz powiedzieć prawdę. W przeciwnym razie czeka cię straszliwy ból. W rzeczywistości sprawa wygląda tak, że, być może, nigdy już nie będziesz chodzić. Mogę ci chyba obiecać, że już nigdy nie będziesz chodzić.

- Nic nie powiem - oświadczyła.

- Ale jeśli się zdecydujesz na współpracę - ciągnął Troy gładko - i przełożysz dobro grupy nad własny egoistyczny interes, grupa na pewno z radością ci pomoże.

Naprawdę wywieziemy cię dziś w nocy za granicę. Wiesz, że Luis i ja możemy to dla ciebie zrobić.

- Nigdy byś tego nie zrobił - odparła. - Znam cię, Troy.

- A za chwilę poznasz mnie jeszcze lepiej, moja droga. Zdejmij jej drugi pantofel, Luis.

203

Skrecała się na podłodze. Słyszałem, jak oddycha. Upuszczony pantofel stuknął o deski. Obliczałem szanse przerwania tego od razu. Ale ich było czworo, z jednym rewolwerem nie dałbym im rady. A Betty Fraley musiała pozostać przy życiu.

- Wypróbujemy odruch podeszwowy, bo tak się to chyba nazywa - powiedział Troy.

- To mi się nie podoba - wtrąciła Fay.

- Ani mnie, moja droga. Budzi we mnie wręcz odrazę. Ale Betty jest uparta.

Chwila ciszy rozciągała się jak błona, która już, już ma pęknąć. Znów rozległ się wrzask. Kiedy ucichł, stwierdziłem, że zęby mam wbite w ziemię.

- Twój odruch podeszwowy nie budzi zastrzeżeń — skonstatował Troy. - Szkoda, że język nie działa tak dobrze.

- Puścisz mnie, jak je oddam?

- Masz moje słowo.

- Twoje słowo! - wydała straszliwe westchnienie.

- Naprawdę chcę, żebyś mi uwierzyła, Betty. Nie lubię zadawać ci bólu, a i ty zapewne go nie lubisz.

- Więc pozwól mi wstać, Pozwól mi usiąść.

- Oczywiście, moja droga.

- Są w szafce na bagaż na dworcu autobusowym w Buenavista. Kluczyk jest w mojej torebce.

Kiedy nie mogli mnie już dojrzeć z okna, puściłem się biegiem. Zdażyłem dopaść do samochodu, a Buick wciąż jeszcze stał przy końcu alei w dole. Wycofałem się ze wzgórza tyłem na kamienny most i wjechałem do połowy pochyłości po przeciwnej stronie. Czekałem na Buicka z jedną nogą na sprzęgle, drugą na hamulcu.

Po dłuższym czasie usłyszałem skowyt jego silnika za wzniesieniem. Wrzuciwszy bieg wolno ruszyłem naprzód. Jego chrom błysnął w słońcu na szczycie. Trzymałem się środka drogi i spotkałem go na moście. Zgrzyt hamulców zagłuszył dźwięk klaksonu. Duży wóz zatrzymał się o półtora metra od mojego zderzaka.

204

Wyskoczyłem na zewnątrz, zanim przestał się toczyć.

Mężczyzna imieniem Luis patrzył na mnie wściekle znad kierownicy, z tłustą twarzą wykrzywioną i spotniałą ze złości. Otworzyłem drzwiczki po jego stronie i pokazałem mu rewolwer. Siedząca obok Fay Estab-rook krzyknęła w pasji.

- Wysiadać! - rozkazałem.

Luis postawił jedną nogę na ziemi i wziął zamach. Cofnąłem się.

- Uwaga. Ręce do góry.

Z podniesionymi rękami stanął na drodze. Pierścień ze szmaragdem błysnął zielenią na jednym z jego palców. Rozłożyste pośladki trzęsły mu się pod kremową gabardyną.

- Ty także, Fay. Na tę stronę.

Wysiadła potykając się na wysokich obcasach.

- A teraz w tył zwrot. *

Odwrócili się ostrożnie, obserwując mnie przez ramię. Wymierzyłem Luisowi kolbą cios w podstawę czaszki. Osunął się na kolana, po czym miękko upadł na twarz. Fay skuliła się, osłaniając głowę ramionami. Kapelusz zjechał jej na jedno oko.

Wydłużony cień na drodze przedrzeźniał jej ruchy,

r~ Połóż go na tylnym siedzeniu - poleciłem.

- Ty świński kapusiu! - powiedziała. Mówiła jeszcze inne rzeczy. Plamy różu odznaczały się na jej kościach policzkowych.

- Prędko.

- Nie mogę go unieść.

- Musisz. - Postąpiłem krok w jej stronę. Schyliła się niezdarnie nad leżącym mężczyzną. Był

bezwładny i ciężki. Chwyciwszy go pod pachy dźwignęła górną połowę ciała i powlokła do samochodu. Otworzyłem drzwiczki i razem rzuciliśmy Luisa na siedzenie.

Wyprostowała się zdyszana, z twarzą w kolorach. Wiejska cisza kanionu wypełnionego blaskiem słońca

205

tworzyła dziwne tło dla tego, cośmy robili. Widziałem nas oboje jakby z wysoka, małe, skrócone figurki, samotne w słońcu, zaprzątnięte myślą o krwi i pieniądzach.

- A teraz daj mi kluczyk.

- Kluczyk? - Przesadna zmarszczka zdziwienia nadała rysom karykaturalny wyraz. - Jaki kluczyk?

- Kluczyk od szafki, Fay. Prędko.

- Nie mam żadnego kluczyka. - Ale wzrokiem prawie niepostrzeżenie pomknęła w stronę przedniego siedzenia samochodu.

Leżała tam czarna zamszowa portmonetka. Kluczyk znajdował się w środku.

Przełożyłem go do mojego portfela. /

- Siadaj - rozkazałem.-Nie, po stronie kierowcy. Ty będziesz prowadzić.

Usłuchała, więc i ja wsiadłem. Luis leżał z tyłu, na ukos ode mnie. Powieki miał uchylone, ale źrenice niewidoczne. Jego twarz bardziej niż kiedykolwiek przypominała ciasto.

- Nie mogę wyminąć twojego wozu - powiedziała Fay opryskliwie.

- Cofniesz się pod górę.

Buick szarpnął, kiedy wrzuciła wsteczny bieg.

- Nie tak szybko - upomniałem. - W razie wypadku nie wyjdiesz z niego żywa.

Obdarzyła mnie przekleństwem, lecz zwolniła. Ostrożnie wjechała tyłem pod górę i zjechała w dół. U wylotu alei kazałem jej skręcić do domku.

- Wolno i uważnie, Fay. Żadnego przyciskania klaksonu. Bez kręgosłupa byłabyś do niczego, a Bliźnięta nie mają serca.

Lufą rewolweru dotknąłem od tyłu jej szyi. Drgnęła, a Buick wyskoczył do przodu. Oparłem się o Luisa i uchyliłem szybę prawego tylnego okienka. Aleja rozszerzyła się tworząc mały, równy placyk przed domem.

206

- Skręć w lewo - poleciłem - i zatrzymaj się przed drzwiami. Potem zaciągnij ręczny hamulec.

Drzwi domku zaczęły otwierać się do środka. Schyliłem głowę. Kiedy ją znów podniosłem, Troy stał w progu, prawą ręką wsparty o framugę, tak że kostki palców były dobrze widoczne. Złożyłem się i strzeliłem. Z odległości sześciu metrów ślad kuli zaznaczył się niczym tłusty czerwony owad siadający między pierwszozyn a drugim knykiem.

Zanim sięgnął lewą ręką do prawego boku po broń, na moment znieruchomiał.

Zdażyłem w tym czasie go dopaść i znów posłużyć się kolbą rewolweru. Usiadł na ziemi, a srebrzysta głowa opadła mu między kolana.

Za moimi plecami zawył silnik Buicka. Pognałem za Fay, dogoniłem samochód i nie pozwoliwszy jej zawrócić wyciągnąłem za ramiona. Próbowwała mnie opluć, ale ślina tylko ściekała jej po brodzie.

- Wejdziemy do środka - powiedziałem. - Ty pierwsza.

Szła prawie jak pijana, potykając się na wysokich obcasach. Troy stoczył się z progu i w całkowitym bezruchu leżał zwinięty w kłębek na wąskiej werandzie. Przeszliśmy nad nim.

Smród przypalonego ciała unosił się jeszcze w pokoju. Betty Fraley leżała na podłodze, a Marcie, wczepiona w jej gardło, dusiła ją jak terier. Odciągnąłem Marcie na bok. Syczała z wściekłości i waliła piętami w podłogę, ale nie próbowała się podnieść. Ruchem rewolweru nakazałem Fay stanąć obok niej w kącie.

Betty Fraley usiadła, ze świstem wciągając do gardła powietrze. Z jednej strony jej twarzy, od włosów po szczękę, cztery równoległe zadrapania ociekały;krwią. Druga strona była żółtobiała.

- Ładnie wyglądasz" - zauważyłem.

- Kim jesteś? - zapiała bezbarwnym głosem, wpatrując się w jakiś punkt.

207

- Mniejsza z tym. Spływajmy stąd, zanim będę musiał pozabijać tych ludzi.

- To byłoby przyjemne zajęcie. - Spróbowała stanąć, ale upadła na ręce i kolana. - Nie mogę chodzić.

Dźwignąłem ją. Była lekka i twarda jak suchy patyk. Głowę bezwładnie przewiesiła mi przez ramię. Miałem wrażenie, że niosę złe dziecko. Marcie i Fay śledziły mnie z kąta. Wydawało mi się wtedy, że zło to cecha kobieca, trucizna, którą wydzielają kobiety, zarażając nią mężczyzn jak chorobą.

Podszedłszy do Buicka posadziłem Bertę na przednim siedzeniu. Luisa wyciągnąłem tylnymi drzwiczkami i ułożyłem na ziemi. Na mięsiste sinawe wargi wystąpiła mu piana, którą wydmuchiwał wraz z płytkim oddechem.

- Dziękuję - zapiała cienko, kiedy siadałem za kierownicą. - Uratowałeś mi życie, jeśli to coś warte,

- Niewiele warte, ale zapłacisz mi za ratunek. Moja cena: sto tysięcy... i Ralf Sampson. \

Rozdział 29

Zaparkowałem Buicka u wjazdu na most i zabrałem kluczyk od stacyjki. Kiedy unosiłem Bertę Fraley z siedzenia, objęła mnie prawą ręką za ramiona. Poczulem jej

drobne palce na karku.

- Jesteś bardzo silny - stwierdziła. - Ty jesteś Archer, prawda? - Popatrzyła na mnie przebiegle jak kot, ale udając niewiniątko. Nie wiedziała, że ma krew na twarzy.

- Czas, żebyś mnie zapamiętała. Ręce przy sobie, bo cię upuszczę.

Zmrużyła powieki. Kiedy zacząłem wycofywać wóz, wykrzyknęła nagle:

- A co z nimi?

- Nie mamy dla nich miejsca.

- Zamierzasz ich puścić?

- Dlaczego chcesz, żebym ich trzymał? Mają mnie okaleczyć? - W miejscu, gdzie droga się rozszerzała, zawróciłem w stronę Bulwaru Zachodzącego Słońca.

Uszczypnęła mnie w ramię.

- Musimy wrócić.

- Mówiłem, żebyś trzymała ręce przy sobie. To, coś zrobiła z Eddie'em, nie podoba mi się tak samo, jak im się nie podobało.

- Ale oni mają coś mojego!

- Nie - odparłem. - Ja to mam, i to nie jest już twoje.

- Kluczyk?

- Kluczyk.

Oklapła na siedzeniu, jakby jej stopniał kręgosłup.

- Nie możesz dopuścić, żeby uciekli - powiedziała ponurym głosem. - Po tym, co mi zrobili. Jeśli pozostawisz Troya na swobodzie, to cię dopadnie jak amen w pacierzu.

- Nie przypuszczam. Zapomnij o nich i zacznij się martwić o siebie.

- Nie mam przed sobą przyszłości, więc nie muszę się martwić. Prawda?

- Najpierw chcę zobaczyć Sampsona. Później o tym zadecyduję.

- Zaprowadzę cię do niego.

- Gdzie on jest?

- Niezbyt daleko od domu. Jest w jednym miejscu na plaży, jakieś sześćdziesiąt kilometrów od Santa Teresa.

- Mówisz prawdę?

- Jak najprawdziwszą, Archer. Ale ty mnie nie puścisz. Nie weźmiesz pieniędzy, co?

- Nie od ciebie.
 - Bo i po co? - Odcięła się złośliwie. - Masz moje sto kawałków.
 - Jestem zaangażowany przez Sampsonów. Dostaną pieniądze z powrotem.
 - Choć ich nie potrzebują. Czemu nie pójdziesz po rozum do głowy, Archer? Pomaga mi jeszcze jedna
- 14 - Ruchomy cel
- 209
- 208
- osoba. Ona nie miała z Eddie'em nic wspólnego. Czemu nie zatrzymasz pieniędzy i z nią się nie podzielisz?
- Kim on jest?
 - Nie powiedziałam, że to mężczyzna. - Z gardle zduszonego przez Marcie wydobył się normalny głos. który po dziewczęcemu modulowała.
 - Nie mogłabyś współpracować z kobietą. Kim jest ten mężczyzna? - Nie wiedziała o śmierci Taggerta, chwila zaś nie była odpowiednia, żeby ją informować.
 - Zapomnij o tym. Przez minutę wydawało mi się, że może mogłabym ci zaufać. Muszę mieć źle w głowie.
 - Możliwe. Ale nie powiedziałaś, gdzie jest Samp-son. Im dłużej będziesz zwlekać, tym mniej chętnie coś dla ciebie zrobię.
 - Jest w jednym miejscu na plaży, o jakieś piętnaście kilometrów na północ od Buenavista. Dawniej była to szatnia klubu plażowego, który splajtował w czasie wojny.
 - I żyje?
 - Wczoraj żył. Pierwszego dnia chorował po chloroformie, ale teraz nic mu nie jest.
 - Chcesz powiedzieć, że wczoraj nic mu nie było. Jest związany?
 - Ja go nie widziałam. Doglądał go Eddie.
 - Pewnie zostawiliście go tam, żeby umarł z głodu.
 - Ja nie mogłam do niego pójść. Znał mnie z widzenia. Ale nie znał Eddie'ego.
 - A Eddie zmarł, bo tak chciała siła wyższa.
 - Nie, ja go zabiłam -oświadczyła niemal zadowolona. - Ale nigdy nie zdołasz tego

udowodnić. Strzelając do Eddie'ego nie myślałam o Sampsonie.

- Myślałaś o pieniądzach, co? O podziale na dwie zamiast na trzy części.

- Przyznaję, że po trosze chodziło i o to, ale tylko po trosze. Eddie pomiatał mną przez cały czas, kiedy byłam dzieckiem. A jak wreszcie stanęłam na nogi

210

i zaczęłam do czegoś dochodzić, zasypał mnie i wylądowałam w ma mrze. Ja zażywałam piochy, ale on je sprzedawał. Przed federalnymi zwałił winę na mnie, i sam dostał lekki wyrok. Nie wiedział, że ja o tym wiem, ale poprzysięgłam sobie, że go dopadnę. I dopadłam go, kiedy myślał, że szczęście mu dopisało. Może nie był taki bardzo zdziwiony. Powiedział Marcie, gdzie ma mnie szukać w razie jakichś komplikacji.

- Zawsze są komplikacje - zauważyłem. - Porwania się nie udają. Zwłaszcza kiedy porywacze zaczynają się nawzajem mordować.

Wyjechałem na bulwar i przystanąłem na pierwszej mijanej stacji benzynowej.

Patrzyła, jak wyjmuję kluczyk ze stacyjki. \ - Co chcesz zrobić?

- Zatelefonować o pomoc dla Sampsona. Może jest umierający, a nam dojazd zajmie półtorej godziny. Czy to miejsce ma jakąś nazwę?

- Nazywało się klubem plażowym Sunland. To długi zielony budynek. Widać go z autostrady, jest prawie na czubku małego przylądka.

Po raz pierwszy nie wątpiłem, że mówi prawdę. Zadzwoiłem do Santa Teresa z automatu, podczas kiedy ktoś z obsługi nalewał mi benzynę. Betty Fraley mogłem obserwować przez okno.

W słuchawce odezwał się Feliks.

- Rezydencja państwa Sampsonów.

- Mówi Archer. Jest tam pan Graves?

- Tak, proszę pana. Poproszę go do aparatu.

- Gdzie się, u diabła, podziewasz? - zapytał Graves.

- W Los Angeles. Sampson żyje, w każdym razie żył wczoraj. Jest zamknięty w szatni klubu plażowego Sunland. Znasz taki?

- Kiedyś znałem. Zamknęli go przed laty. Wiem, gdzie to jest, na północ od

Buenvista, przy autostradzie.

- Zorientuj się, jak prędko możesz tam dotrzeć

211

z pierwszą pomocą i jedzeniem. Lepiej weź ze sobą lekarza i szeryfa.

- Kiepsko się czuje?

- Nie wiem. Od wczoraj jest sam. Przyjadę, jak zdołam najszybciej.

Rozłączywszy się z Gravesem zadzwoniłem do Petera Coitona. Był jeszcze na służbie.

- Mam coś dla ciebie - powiedziałem. - Częściowo dla ciebie, a częściowo dla Departamentu Sprawiedliwości.

~ Niewątpliwie znów będę miał migrenę. - Nie wydawał się zachwycony, że mnie słyszy. - Ta sprawa Sampsona jest największą zagadką stulecia.

- Była. Dziś ją zamykam. Zniżył głos o pełną oktawę.

- Powtórz to, z łaski swojej.

- Wiem, gdzie jest Sampson, i wiozę teraz ze sobą ostatnią z osób winnych porwania.

- Na litość boską, nie bądź taki skromny. Gadaj Gdzie jest?

- Na obszarze, który ci nie podlega, w okręgu Santa Teresa. Tamtejszy szeryf właśnie do niego jedzie.

- A ty zadzwoniłeś, żeby się pochwalić, ty biedny, drański narcyzie. Myślałem, że masz coś dla mnie i dla Departamentu Sprawiedliwości.

- Mam, ale nie to porwanie. Sampsona nie wywieźli poza granice stanu, co yi yklucza udział FBI. Z tą sprawą wiąże się jednak inna. Jest taki kanion w bok od Bulwaru Zachodzącego Słońca, między Brentwood i Pa-lisades. Prowadzi do niego Hopkins Lane. Po przejechaniu około siedmiu i pół kilometra tą drogą zobaczysz tarasującego ją czarnego czterodrzwiowego Buicka. a dalej aleję, która zbiega w dół do nie pomalowanego sosnowego domku. Jest tam czworo ludzi. Jeden z nich to Troy. Departament Sprawiedliwości poszukuje ich, choć może sam o tym nie wie.

- Za co?

212

- Za przemyt nielegalnych imigrantów. Spiesz się. To wystarczy?

Na razie - odparł. - Hopkins Lane. Betty Fraley popatrzyła na mnie obojętnie, kiedy wróciłem do samochodu. Potem jej oczy nabrały wyrazu, który pojawił się jak wąż wysuwający się ze swej nory.

- I co teraz, mały człowieczku? - spytała.

- Oddałem ci przysługę. Wezwałem policję, żeby zgarnęła Troya i całą paczkę.

- A mnie?

- Ciebie ratuję. - Skierowałem się Bulwarem Zachodzącego Słońca w stronę autostrady U.S. 101.

- Będę zeznawać przeciwko niemu - powiedziała.

- Nie musisz. Sam potrafię zaświadczyć o jego ;vuiie.

- Oskarżysz go o przemyt?

- I owszem. Zawiodłem się na Troyu. Szmuglowanie Meksykanów to dość prymitywny kant jak na dzentelmena oszusta. Powinien by sprzedawać Puchar Hollywood wycieczkom strażackim.

- To mu się dobrze opłacało. Opłacało się podwójnie. Brał od tych nieszczęsnych stworów pieniądze za przejazd, a potem odstawiał ich na rancza za tyle sarno od łebka. Meksykianie służyli za łamistrajków, wcale o tym nie wiedząc. W ten sposób Troy zapewniał sobie ochronę niektórych miejscowych glin. Luis smarował policję meksykańską po drugiej stronie.

- Czy Sampson kupował łamistrajków od Troya?

- Tak, ale tego nigdy byś nie udowodnił. Sampson bardzo się pilnował, żeby nie padło na niego żadne podejrzenie.

- Nie pilnował się wystarczająco - stwierdziłem. Po tym zamilkła.

Skrećwszy autostradą na północ zauważyłem, że twarz ma zeszpeconą bólem.

213

- W schowku jest butelka whisky. Możesz przemyć oparzenia i zadrapania na twarzy. Albo możesz się napić.

Zrobiła jedno i drugie, a następnie podała mi otwartą butelkę.

- Ja dziękuję.

- Bo piłam pierwsza? Wszystkie moje choroby są umysłowe.
 - Schowaj ją.
 - Nie podobam ci się, prawda?
 - Nie pijam trucizny. Co nie znaczy, że jesteś pozbawiona zalet. Wydajesz się dość inteligentna, na swój ograniczony sposób.
 - Dzięki za komplement, mój intelektualny przyjacielu.
 - I z niejednego pieca chleb jadłaś.
 - Nie jestem dziewicą, jeśli o tym mówisz. Straciłam cnotę w jedenastym, roku życia. Eddie dostrzegł szansę zarobienia dolara. Ale ja nigdy tak na siebie nie zarabiałam. Uchroniła mnie od tego muzyka.
 - Wielka szkoda, że nie uchroniła cię i od tego.
 - Zaryzykowałam. Nie powiodło się. Dlaczego uważasz, że mi zależy, co będzie?
 - Zależy ci na tamtej drugiej osobie. Chcesz, żeby on otrzymał pieniądze, obojętne, co się stanie z tobą.
 - Mówiłam już, żebyś o tym zapomniał. - Po chwili dodała: - Mógłbyś mnie puścić i zatrzymać pieniądze. Sto kawałków nie trafi ci się ponownie.
 - Ani tobie, Betty. Ani Alanowi Taggertowi. Jęknęła zdziwiona i wstrząśnięta.
- Odzyskawszy głos
rzekła tonem pełnym wrogości:
- Żartujesz. Co wiesz o Taggerde?
 - To, co mi powiedział.
 - Nie wierzę. Nic ci nie mówił. -Poprawiła się: -Nic nie wie, więc nie miał co mówić.
 - Powiedział.
 - Czy coś mu się stało?
 - Stało się to, że nie żyje. Ma dziurę w głowie jak Eddie.
- Zaczęła coś mówić, ale słowa utonęły w płaczu; piskliwy, przeciągły skowyt przeszedł w miarowy, suchy szloch. Po długim czasie szepnęła:
- Czemu mi nie powiedziałaś, że nie żyje?
 - Bo nie pytałaś. Szalałaś za nim?
 - Tak. Szaleliśmy za sobą nawzajem.

- Jeśli tak za nim szalałaś, czemu wciągnęłaś go w coś podobnego?
- Ja go nie wciągałam. On to chciał zrobić. Zamierzaliśmy wyjechać stąd razem.
- I żyć potem szczęśliwie.
- Zachowaj te tanie dowcipy dla siebie.
- Nie uwierzę w twój młodzieńczy sen o miłości, Betty. On był chłopcem, a ty pod względem doświadczenia jesteś starą kobietą. Uważam, żeś go nabrała. Potrzebny ci był informator, on zaś wydawał się łatwy do zdobycia.
- Właśnie że nie. - Głos miała zdumiewająco łagodny. - Byliśmy ze sobą pół roku. Przyszedł do Fortepianu z Sampsonem, w tydzień potem, jak zaczęłam tam grać. Straciłam głowę, i on także. Ale żadne z nas nic nie miało. Musieliśmy mieć pieniądze, żeby zacząć na nowo.
- A oczywiście ich źródło stanowił Sampson. Porwanie stanowiło oczywisty sposób ich zdobycia.
- Nie musisz nadmiernie współczuć Sampsonowi. Ale początkowo mieliśmy inne pomysły. Alan chciał się ożenić z tą dziewczyną, córką Sampsona, i namówić starego, żeby go spłacił. Sampson osobiście zburzył ten plan. Któregoś wieczora odstąpił Alanowi swój pawilon w Valerio. W środku nocy przyłapaliśmy go za zasłonami w sypialni, jak nas podglądał. Zagroził potem dziewczynie, że jeśli wyjdzie za Alana, to ją wydziedziczy. Chciał też wylać Alana, ale wiedzieliśmy o nim za dużo.

215

214

- Czemuście go nie szantażowali? To byłoby bardziej w waszym stylu.
- Myśleliśmy o tym, ale on by się nam nie dał i ma najlepszych adwokatów w całym stanie. Choć wiedzieliśmy o nim niejedno, trudno byłoby zmusić go do płacenia. Na przykład ta Świątynia w Chmurach. Jak moglibyśmy dowieść, że Sampson wiedział, do czego jej używają Troy, Claude i Fay?
- Skoro wiesz o nim tak dużo - powiedziałem - wytłumacz, dlaczego był taki?
- Pytanie jest trudne. Kiedyś myślałam, że może[^]ma w sobie coś z pedała, ale nie wiem. Lat mu przybywa i chyba czuł się już do niczego. Rozglądał się za czymś,

dzięki czemu na powrót poczułby się mężczyzną: mogła to być astrologia, jakiś dziwny rodzaj seksu, cokolwiek. Zależy mu wyłącznie na córce. Pewno się zorientował, że ona szaleje za Alanem, i nigdy mu tego nie wybaczył.

~ Taggert powinien był się jej trzymać.

- Tak sądzisz? - spytała załamującym się głosem. A potem cicho i pokornie podjęła: - Nie wyszłam mu na dobre. Wiem o tym, nie potrzebujesz mi mówić. Ale byłam bezradna, i Alan także. Jak on umarł, Archer?

- Został przyciśnięty do muru i próbował utorować sobie drogę ucieczki rewolwerem. Ktoś inny strzelił pierwszy. Mężczyzna nazwiskiem Graves.

- Chciałabym go spotkać. Przed chwilą mówiłeś, że Alan się wygadał. Nie zrobił tego?

- Nie wspomniał o tobie.

- Bardzo się cieszę. Gdzie on jest teraz?

- W kostnicy w Santa Teresa.

- Chciałabym go zobaczyć... raz jeszcze.

Słowa te napłynęły cicho z mrocznego snu. Zapadło milczenie, a w nim sen roztoczył się poza granice jej umysłu, rzucając cień tak długi jak cienie, które rzuca zachodzące słońce.

216

Rozdział 30

Kiedy zwolniłem przed Buenavista, zmierzch łagodził szpetotę budynków, a wzdłuż głównej ulicy zapalały się latarnie. Zauważyłem neonowego charta na dworcu autobusowym, ale nie przystawałem. Kilka kilometrów za miastem autostrada znowu zaczynała biec wzdłuż brzegu, wijąc się u podnóża urwisk nad bezludnymi plażami. Ostatnie szare strzępy światła dziennego czepiały się powierzchni morza, powoli wchłaniane przez wodę.

- To tu - stwierdziła Berty Fraley. Siedziała obok mnie tak cicho, że prawie o niej zapomniałem.

Zatrzymałem się na asfaltowym poboczu tuż przed skrzyżowaniem. Po stronie oceanu droga opadała ku plaży. Na rogu wypływała od słońca i wiatru tablica

reklamowała atrakcyjne osiedle nadmorskie, ale jak okiem sięgnąć, nie widać było domów. Zobaczyłem natomiast stary klub plażowy, budynki stłoczone o dwieście metrów poniżej jezdni, długie, niskie, nieokreślonej barwy na tle migotliwej bieli przybrzeżnych fal.

- Nie da się zjechać - powiedziała. - Na dole droga jest rozmyta.

~ Wydawało mi się, że tu nie byłeś.

- Byłam w zeszłym tygodniu. Obejrzałam to miejsce razem z Eddie'em, kiedy on je znalazł. Sampson jest w jednej z kabin w szatni męskiej.

- Lepiej, żeby był.

Zabrałem kluczyk od stacyjki, a Betty zostawiłem w samochodzie.

W miarę jak schodziłem w dół, droga się zwężała, tworząc wyboistą, gliniastą ścieżkę, z głębokimi rowami wymytymi po obu stronach: Drewniany pomost przed pierwszym budynkiem spaczył się i pod stopami wyczuwałem kępy trawy wyrastające ze szpar. Umieszczone wysoko pod okapem okna były ciemne.

217

Skierowawszy światło latarki na bliźniacze drzwi pośrodku odczytałem odbite przez szablon napisy: na jednych „Panowie”, na drugich „Panie”. Drzwi po prawej ręce, dla panów, zwisały na zawiasach, częściowo uchylone. Otworzyłem je szeroko, ale bez większej nadziei. Wnętrze ziało pustką, martwością. Jedynym śladem życia w budynku i dokoła niego był ruch niespokojnej wody.

Ani śladu Sampsona, ani śladu Gravesa. Popatrzyłem na zegarek wskazujący za kwadrans siódmą. Od mojego telefonu do Gravesa minęła godzina z dużym okładem. Miał mnóstwo czasu, żeby przejechać tych niespełna siedemdziesiąt kilometrów z kanionu Cabrillo. Ciekaw byłem, co się stało z nim i z szeryfem.

Oświetliłem podłogę, którą pokrywał nawiany piasek i wieloletnie śmiecie. Przed sobą widziałem przepierzenie z dykty i rząd pozamykanych drzwi. Zrobiłem krok w ich stronę. Za moimi plecami coś poruszyło się jak jaszczurka, tak szybko, że nie zdążyłem się obrócić. Słowo „zasadzka” dotarło do mej świadomości, po czym natychmiast ją straciłem.

Słowo „naiwniak” przyszło mi do głowy, ledwie odzyskałem przytomność. Cyklopie

oko latarki wpatrywało się we mnie niczym upiorne oko sumienia. Pod wpływem odruchu chciałem wstać i walczyć. Głęboki głos Alberta Gravesa pohamował ten impuls.

- Co ci się stało?

- Odwróć latarkę. - Jej światło sztyletami przewiercało mi się przez oczodoły i wydostawało tyłem czaszki.

Położył latarkę i ukląkł przy mnie.

- Możesz wstać, Lew?

- Mogę. - Ale nie ruszyłem się z podłogi. - Późno przyjeżdżasz.

- Dość trudno było tu trafić po ciemku.

- Gdzie szeryf? Jego też nie mogłeś znaleźć?

- Był zajęty, odwoził paranoika do szpitala okręgowego. Zostawiłem mu wiadomość, żeby jechał

218

za mną i zabrał lekarza. Nie chciałem tracić czasu.

- Wygląda na to, żeś go stracił masę.

. - Zdawało mi się, że znam ten klub, ale musiałem go minąć. Dojechałem prawie do Buenavista, zanim się zorientowałem. A potem, kiedy zawróciłem, nie mogłem go znaleźć.

- Nie widziałeś mojego samochodu?

- Gdzie?

Usiadłem. Fale zamroczenia przepływały mi ruchem wahadłowym przez głowę.

- W górze na rogu.

- Właśnie tam zaparkowałem. Nie widziałem twojego wozu.

Namaciałem kluczyki. Były w kieszeni.

- Jesteś pewny? Nie zabrali mi kluczyków.

- Nie ma tam twojego samochodu, Lew. Jacy oni?

- Betty Fraley i ten, kto mnie wyrznął w łeb. Czwarty członek gangu musiał widocznie pilnować Sampsona.

Opowiedziałem mu, jak tutaj trafiłem.

- Głupio zrobiłeś zostawiając ją w wozie - stwierdził.

- Jak się w ciągu dwóch dni trzy razy oberwie w łeb, można do reszty zgłupieć.

Wstałem, ale nogi miałem jak z waty. Podał mi ramię. Oparłem się o ścianę. Wziął do ręki latarkę.

- Obejrzę ci głowę. - W ruchomym świetle szerokie płaszczyzny jego twarzy były pokryte zmarszczkami niepokoję. Sprawiał wrażenie ociężałego i starego.

- Później - odparłem.

Podniósłszy z ziemi własną latarkę podszedłem do rzędu drzwi. Sampson czekał za drugimi z kolei, tłusty starzec, przygarbiony na ławce pod ścianą, w głębi pomieszczenia. Głowę wcisnął w kąt, otwarte oczy miał przekrwione.

Graves wepchnął się za mną do środka i wykrzyknął:

- O Boże!

219

Oddałem mu latarkę pochylając się nad Sampsonem. Siedział z rękami i kostkami nóg spletanymi sześćdzie-sięciomilimetrową linką, której koniec ktoś przewlókł przez skobel w ścianie. Drugi koniec linki, zaciśnięty pod lewym uchem w twarde węzeł, wpijał się w szyję Sampsona. Sięgnąłem za jego plecy, żeby ująć jeden ze skrępowanych nadgarstków. Ciało jeszcze nie ostygło, ale puls zanikł. Źrenice zaczerwienionych oczu były asymetryczne. Jaskrawe skarpety w żółto-czerwono-zieloną kratkę wyglądały jakoś żałośnie na grubych martwych kostkach.

Graves sapnął.

- Nie żyje?

- Nie. - Doznałem uczucia straszliwego zawodu, później ogarnął mnie bezwład. - Musiał jeszcze żyć, kiedy tu przyszedłem. Jak długo byłem nieprzytomny?

- Teraz jest kwadrans po siódmej.

- Przyjechałem tu mniej więcej za kwadrans siódma. Mieli pół godziny przewagi. Musimy ruszać.

- I zostawić Sampsona?

- Tak. Policja będzie chciała tak go zobaczyć. Zostawiliśmy go w ciemnościach.

Ostatkiem sił

wspiałem się pod górę. Mój samochód zniknął. Stude-baker Gravesa stał zaparkowany po przeciwnej stronie skrzyżowania.

- Dokąd jedziemy? - zapytał siadając za kierownicą.

- Do Buenavista. Podjedziemy do patrolu drogowego.

Zajrzałem do portfela przekonany, że nie znajdę kluczyka od szafki, ale był na swoim miejscu, w przegródce na wizytówki. Napastnik nie miał okazji porozumieć się z Betty Fraley. Albo postanowili uciec machnąwszy ręką na pieniądze. Ale to wydawało się mało prawdopodobne.

Przy wjeździe do miasta poprosiłem Gravesa:

- Wysadź mnie na dworcu autobusowym.

220

Wyjaśniłem mu po co i dodałem:

- Jeśli pieniądze są w szafce, mogą po nie wrócić. Jeśli nie, to zapewne włamali się do niej po drodze. Ty skontaktuj się z patrolem drogowym. Zabierzesz mnie później.

Wysadził mnie przy czerwonym krawężniku przed dworcem. Przystanąłem, żeby przez szklane drzwi zajrzeć do dużej kwadratowej poczekalni. Trzech czy czterech mężczyzn w kombinezonach, garbiąc się na obdrapanych ławkach, czytało gazety. Paru zatopionych w rozmowie starszuchów, którym lat dodawał blask jarzeniówek, podpierało ściany oblepione plakatami. W jednym kącie rodzina meksykańska, złożona z ojca, matki i kilkorga dzieci, tworzyła zwartą całość, niczym sześciuosobowa drużyna piłkarska. W głębi sali, w kasie biletowej pod zegarem, siedział pryszczaty młodzian w kwiciastej hawajskiej koszuli. Na lewo, za ladą z paczkami, urzędowała tłusta blondyna w mundurze. Zielone metalowe szafki stały rzędem pod ścianą na prawo.

Nikt z obecnych w poczekalni nie zdradzał napięcia, na które byłem przygotowany. Czekali na zwyczajne rzeczy: na kolację, autobus, sobotni wieczór, rentę albo naturalną śmierć w łóżku.

Popchnąłem szklane drzwi i po zarzuconej niedopałkami podłodze podszedłem do szafek. Mój numer był wytłoczony na kluczyku: dwadzieścia osiem. Wkładając kluczyk do zamka rozejrzałem się po sali. Pijane niebieskie oczy kobiety od paczków

obserwowały mnie bez zaciekawienia. Nikt inny nie wydawał się mną zainteresowany.

W szafce leżała czerwona płócienna torba plażowa. Wyciągając ją słyszałem szelest papieru w środku. Usiadłem na najbliższej wolnej ławce i otworzyłem torbę. Paczka w burym papierze była rozdarta z jednego końca. Namacałem palcami krawędzie sztywnych nowych banknotów.

221

Wepchnąłem torbę pod pachę i przy ladzie z paczkami poprosiłem o kawę.

- Czy pan wie, że ma pan zakrwawioną koszulę? - spytała blondyna.

- Wiem. Mam zwyczaj taką nosić. Otaksowała mnie wzrokiem, jakby powątpiewając o mojej wypłacalności. Pohamowałem odruch i zamiast wręczyć jej banknot studolarowy, cisnąłem na blat dziesięciocentówkę. Podała mi kawę w grubej białej filiżance.

Piłem i obserwowałem drzwi, trzymając filiżankę w lewej ręce, prawą gotowy wyciągnąć rewolwer. Elektryczny zegar nad kasą odgryzał małe kęsy czasu.

Przyjechał i odjechał autobus, co spowodowało przetasowanie pasażerów w poczekalni. Zegar przeżuwał bardzo powoli, miażdżąc każdą minutę sześćdziesiąt razy. Za dziesięć ósma zrobiło się za późno, żeby mogli się zjawić. Zrezygnowali z pieniędzy albo wybrali inną drogę.

W drzwiach ukazał się gestykulujący gwałtownie Graves. Postawiłem filiżankę i wyszedłem za nim. Stu-debakera zaparkował obok innego samochodu po przeciwnej stronie ulicy.

- Właśnie przed chwilą rozwalili twój wóz - powiedział mi na chodniku. - O jakieś dwadzieścia dwa kilometry dalej na północ.

- Uciekli?

- Jedno z nich najwidoczniej tak. Ta Fraley nie żyje.

- Co się stało z tym drugim?

- Patrol drogowy jeszcze nie wie. Odebrali zaledwie pierwszy meldunek radiowy.

Przebyliśmy te dwadzieścia dwa kilometry w niespełna kwadrans. Miejsce wypadku oznaczał rząd stojących samochodów i stłoczone sylwetki ludzkie, podobne w blasku

reflektorów do anonimowych czarnych wycinanek. Graves zahamował tuż przed policjantem,

222

który machał latarką, sygnalizując czerwonym światłem, że mamy jechać dalej.

Wyskoczywszy ze Studebakera zobaczyłem za wężem pojazdów, na krawędzi świetlnej smugi, mój samochód wbity maską w skarpe. Pobiegłem torując sobie łokciami drogę w tłumie zgromadzonych wokół wraka.

Policjant z patrolu drogowego, o pokierszowanej brązowej twarzy, położył, mi rękę na ramieniu. Strząs-nąłem ją.

- To mój samochód.

Zmrużył oczy, a zmarszczki wśród opalenizny wach-larzewato rozbiegły się w stronę uszu.

- Jest pan pewny? Pańskie nazwisko?

- Archer.

- Rzeczywiście to pański wóz. Zarejestrowany na pana. - Przywołał młodszego kolegę, który z wyrazem zakłopotania stał przy motocyklu. - Chodź tutaj, Ollie! To samochód tego faceta.

Tłum zaczął się zbierać na nowo, tym razem wokół mnie. Kiedy pękł zwarty pierścień otaczający szczątki wozu, dostrzegłem postać wyciągniętą pod kocem na ziemi. Przecisnąłem się między dwiema kobietami pochłaniającymi ją wzrokiem i uchyliłem brzeg koca. To, co się pod nim znajdowało, nie przypominało istoty ludzkiej, ale rozpoznałem ubranie.

Dwoje w ciągu godziny -tego było dla mnie za wiele. Mój żołądek pusty, jeśli nie liczyć wypitej kawy, zaprotestował i zwymiotował żółcią. Policjanci czekali, aż będę mógł mówić.

- Ta kobieta ukradła pański samochód? - zapytał starszy.

- Tak. Nazywa się Betty Fraley.

- W biurze podobno mają komunikat w jej sprawie...

- Racja. Ale co się stało z tym drugim?

- Jakim drugim?

- Był z nią mężczyzna.

223

- Nie w chwili wypadku - odezwał się młody policjant,

- Nie można być pewnym.

- Ale ja jestem pewny. Widziałem, jak to się stało. Właściwie ja za to odpowiadam.

- Dajże spokój, Ollie. - Starszy mężczyzna położył mu rękę na ramieniu. - Postąpiłeś dokładnie tak, jak należało. Nikt cię nie będzie winił.

- Tak czy owak - wybuchnął Ollie - cieszę się, że samochód był skradziony.

To mnie zirytowało. Mimo ubezpieczenia trudno mi będzie kupić nowy. A poza tym żywiłem do wozu uczucie, podobnie jak jeździec do konia.

- Co się właściwie stało? - zapytałem ostro.

- Jechałem sobie może siedemdziesiątką piątką

O kilka kilometrów na południe stąd, kierując się na północ. Ta babka w odkrytym wozie minęła mnie, jakbym stał w miejscu, więc puściłem się w pościg. Dopiero przy stu czterdziestu zacząłem ją doganiać. Ale nawet kiedy się z nią zrównałem, waliła naprzód na pełnym gazie. Nie zwróciła uwagi na sygnał, że ma zjechać w bok, więc przeciąłem jej drogę. Skreśliła próbując rminąć mnie z prawej i straciła panowanie nad wozem. Przeleciał w poślizgu kilkadziesiąt metrów

I rąbnął w skarpe, Kiedy ją wyciągnąłem, już nie żyła. Umilkł z twarą moką od poru. Starszy kolega potrząsnął go delikatnie za ramię.

- Nie dręcz się tym, mały. Trzeba stać na straży prawa.

- Jest pan absolutnie pewny, że w wozie nie było nikogo poza nią? - spytałem.

- Chyba że ulotnił się z dymem... Zabawna rzecz -dodał piskliwym, nerwowym głosem -nie paliło się, ale podeszwy stóp miała poparzone. I nie mogłem znaleźć jej pantofli. Była boso.

- To zabawne - przyznałem. - Ogromnie zabawne. Albert Graves przepchnął się przez zbiegowisko.

224

- Musieli mieć drugi samochód.

- Więc po co brałaby mój?

Sięgnąłem do rozbitego wozu, pod wygiętą, zakrwawioną tablicę rozdzielczą, i namacałem druciki zapłonu. Przewody połączone były miedzianym drutem, który zostawiłem tam z rana.

- Musiała wetknąć drut do zapłonu, żeby uruchomić silnik.

- To by raczej zrobił mężczyzna, co?

- Niekoniecznie. Mogła się tego sposobu nauczyć od brata. Tę sztuczkę zna każdy złodziej samochodów.

- Może postanowili uciekać osobno.

- Może, ale nie sądzę. Była na tyle rozgarnięta, by wiedzieć, że ją rozpoznają po moim samochodzie.

- Muszę spisać raport - powiedział starszy policjant. - Może mi pan poświęcić parę minut?

Odpowiadałem na ostatnie pytanie, gdy radiowozem nadjechał szeryf Spanner, ze swym zastępcą przy kierownicy. Wyszli i podbiegli do nas. Obfite piersi Spannera trzęsły się w ruchu, prawie jakby był kobietą.

- Co się tu działo? - Przeniósł ze mnie na Gravesa spojrzenie wilgotnych, podejrzliwych oczu.

Pozwoliłem opowiadać Gravesowi. Usłyszawszy, co się stało z Sampsonem i Betty Fraley, Spanner znów zwrócił się do mnie.

- No i proszę, co pan narobił, Archer. Mówiłem, że ma pan pracować pod moim kierunkiem.

Nie byłem w nastroju, który sprzyjałby puszczeniu tego płazem.

- Też mi kierunek! Żeby pan w porę przyjechał do Sampsona, byłby teraz żywy.

- Pan wiedział, gdzie go ukryli, i nic mi nie powiedział - biadolił. - Odpokutuje pan za to, Archer.

- Taa, wiem. Kiedy trzeba będzie* przedłużyć moją licencję. Mówił pan to już przedtem. Ale co pan powie w Sacramento na temat własnej nieudolności? Być 15-Ruchomy cel

225

w szpitalu okręgowym, odwozić wariata, kiedy sprawa nagle się wyświeśla.

- Nie byłem w szpitalu od wczoraj - zaprzeczył. -O czym pan mówi?

- Nie przekazali panu wiadomości o Sampsonie? Parę godzin temu.

- Nie miałem żadnej wiadomości. Tym się pan nie może zaślaniać.

Popatrzyłem na Gravesa. Unikał mego wzroku. Ugryzłem się w język.

Od strony Santa Teresa nadjechała autostradą karetka na sygnale.

- Nie śpieszy im się - powiedziałem do policjanta z patrolu.

- Wiedzieli, że nie żyje. Nie ma gwałtu.

- Dokąd ją zawiozą?

- Do kostnicy w Santa Teresa, chyba że ktoś zażąda wydania zwłok.

- Nikt nie zażąda. To dla niej dobre miejsce. Alan Taggert i Eddie, jej kochanek i jej brat, już tam

leżeli.

Rozdział 31

Graves prowadził bardzo powoli, jakby pod wrażeniem widoku rozbitego wozu.

Powrót do Santa Teresa zajął nam prawie godzinę. Przez ten czas rozmyślałem -o Albercie Gravesie, a potem o Mirandzie. Moje myśli były niewesołe.

Przy wjeździe do miasta spojrzał na mnie ciekawie.

- Ja bym nie tracił nadziei, Lew. Policja ma niezłą szansę, żeby go złapać.

- O kogo ci chodzi?

- Oczywiście o mordercę. Tamtego drugiego.

- Nie jestem pewien, czy był jakiś drugi. Zacisnął dłonie na kierownicy. Knykcie palców mu

zbielały.

- Ale ktoś zabił Sampsona.

226

- Tak — odparłem. - Ktoś to zrobił.

Patrzyłem, jak z wolna obraca na mnie oczy. Przez długą chwilę przyglądał mi się zimnym wzrokiem.

- Uważaj, jak jedziesz, Graves. Uważaj na wszystko. Ponownie zwrócił się twarzą do drogi, ale przedtem

zdażyłem pochwycić na niej wyraz zawstydzienia,

Na skrzyżowaniu autostrady z główną ulicą Santa Teresa przystanął pod światłami. *

- Gdzie jedziemy?

- A gdzie chcesz jechać?

- Wszystko mi jedno.

- Pojedziemy do Sampsonów - odrzekłem. - Chcę porozmawiać z panią Sampson.

- Musisz robić to teraz?

- Ona mi płaci. Muszę jej złożyć sprawozdanie. Światła się zmieniły. Nie mówiliśmy już nic, dopóki

nie skręcił na podjazd przed domem Sampsonów. Blask paru lamp rozświetlał jego ciemną sylwetkę.

- Nie chcę widzieć Mirandy, jeśli da się tego uniknąć - powiedział. - Po południu wzięliśmy ślub.

- Nie za bardzo się pośpieszyłeś?

- Co przez tb rozumiesz? Już od wielu miesięcy noszę przy sobie zezwolenie.

- Mogłeś poczekać do powrotu jej ojca. Albo do jego pogrzebu.

- Chciała to zrobić dzisiaj - odparł. - Wzięliśmy ślub w gmachu sądu.

- Spędzisz tam zapewne noc poślubną. Areszt mieści się w tym samym budynku, prawda?

Nie odpowiedział. Kiedy zatrzymał wóz koło garażu, pochyliłem się, żeby zajrzeć mu w twarz. Przełknął już wstyd. Nie pozostało na niej nic prócz rezygnacji hazardzisty.

- Co za ironia losu - stwierdził. - To nasza noc poślubna, noc, której od tylu lat wyczekiwałem. A teraz nie chcę widzieć Mirandy.

- Spodziewasz się, że zostawię cię tu samego?

227

- Czemu nie?

- Nie mogą ci zaufać. Byłeś jedynym człowiekiem, któremu we własnym przekonaniu mogłem zaufać... -Zabrakło mi słów na dokończenie zdania.

- Możesz mi zaufać, Lew.

- Od tej chwili przejdziemy na pan.
- Więc może mi pan zaufać. Mam w kieszeni rewolwer. Ale się nim nie posłużę. Przejadła mi się przemoc. Czy to rozumiesz? Mdli mnie od tego.
- Powinno cię zemdlić od tych dwóch morderstw, które ci leżą na żołądku. Na jakiś czas masz przemocy po dziurki w nosie.
- Czemu powiedziałeś o dwóch morderstwach, Lew?
- Czemu pan powiedział, panie Archer - poprawiłem.
- Nie musisz przybierać takiego wyniośle moralizatorskiego tonu. Nie tak to sobie zaplanowałem.
- Mało kto to robi. Taggerta zastrześliłeś bez namysłu, a potem improwizowałeś. Pod koniec zacząłeś sobie poczynać dość beztrosko. Mogłeś przewidzieć, że się dowiem, że dziś wieczór nie dzwoniłeś do szeryfa.
- Nie potrafisz udowodnić, że mi to zleciłeś.
- Nie muszę, Ale dzięki temu przejrzałem twoje zamiary. Chciałeś być przez krótką chwilę sam z porwanym w tej budzie. Musiałeś dokończyć roboty, której nie wykonali za ciebie wspólnicy Taggerta.
- Naprawdę myślisz, że miałem coś wspólnego z porwaniem?
- Aż za dobrze wiem, że nie. Ale porwanie ma jakiś związek z tobą. Uczyniło cię mordercą, dostarczając powodu do zabicia Taggerta.
- Zastrześliłem go w dobrej wierze - powiedział. -Przyznaję, że bez żalu usunąłem go z drogi. Za bardzo podobał się Mirandzie. Ale strześliłem do niego, żeby ratować ciebie.
- Nie kłam, - Odczuwałem zimny gniew. Gwiazdy tkwiły jak śnieżne kryształy w czarnym niebie, oblewając mi chłodem głowę.
- Ja tego nie zaplanowałem. Nie miałem na to czasu. Taggert chciał cię zastrzelić, więc ja go zastrześliłem. To najzupełniej proste,
- Zabijanie nigdy nie jest proste, kiedy zabiera się do niego człowiek o twojej inteligencji. Jesteś znakomitym strzelcem, Graves. Nie musiałeś go zabijać.
- Taggert zasługiwał na śmierć - odrzekł opryskliwie. - Dostał kulę, która mu się należała.

- Ale w nieodpowiednim momencie. Zastanawiałem się, ile z tego, co mówił, słyszałeś. Musiałeś usłyszeć dosyć, żeby domyślić się w nim jednego z porywaczy. Zapewne dosyć, żeby w razie tego zabójstwa liczyć na śmierć Sampsona z rąk współników Taggerta.

- Usłyszałem bardzo niewiele. Zobaczyłem, że chce cię zastrzelić, więc ja go zastrzeliłem. - Głos Gravesa znowu zabrzmiał twardo. - Najwyraźniej popełniłem błąd.

- Popeliłeś kilka błędów. Pierwszym było zabicie Taggerta... od tego wszystko się zaczęło, prawda? W rzeczywistości jednak zależało ci nie na śmierci Taggerta, lecz Sampsona. Nigdy nie chciałeś, żeby wrócił do domu żywy, i myślałeś, że zapobiegiesz temu zabijając tamtego. Ale Taggert miał już tylko jedną współniczkę, ona zaś się ukrywała. Nie wiedziała nawet o jego śmierci, dopóki ja jej nie powiedziałem, i nie miała okazji zabić Sampsona, chociaż przypuszczalnie by to zrobiła, gdyby miała szansę. Więc sam musiałeś go zamordować.

Wstyd i coś zbliżonego do niepewności znów odmalowało się na jego twarzy. Szybko się z nich otrząsnął.

- Jestem realistą, Archer. Tak jak ty. Śmierć Sampsona nie przynosi straty otoczeniu. Głos mu się zmienił, nagle przybrał płytkie, bezbarwne brzmienie. Człowiek ten cały zmieniał się i osła-

229

niał, wypróbowywał pozy, szukał takiej, która byłaby mu oparciem.

- Przywiązujesz do morderstwa mniejszą wagę niż za dawnych czasów - powiedziałem. - Posyłałeś za nie ludzi do komory gazowej. Czy przyszło ci do głowy, że tam prawdopodobnie zmierzasz?

Zdołał się uśmiechnąć. Uśmiech wyrzeźbił głębokie, brzydkie bruzdy wokół jego ust i między oczami.

- Nie masz żadnego dowodu mojej winy. Choćby najmniejszego.

- Mam przeświadczenie moralne i twoje własne pośrednie zeznanie...

- Ale nie zaprotokołowane. To za mało, żeby mnie postawić przed sądem.

- Nie ja się tym będę zajmował. Wiesz lepiej ode mnie, jak sprawa wygląda. Nie

wiem tylko, dlaczego musiałeś zamordować Sampsona.

Milczał przez dłuższą chwilę. Kiedy się odezwał, głos miał ponownie zmieniony.

Brzmiał szczerze i jakoś młodzieńczo, był to głos mężczyzny, którego znałem przed laty z dyskusji w gronie kolegów.

- Dziwne jest usłyszeć z twoich ust, że musiałem, Lew. Takie miałem uczucie.

Musiałem to zrobić. Nie byłem zdecydowany, dopóki nie znalazłem Sampsona samego w szatni. Nawet się do niego nie odezwałem. Zobaczyłem, co będzie można zrobić, a jak już zobaczyłem, musiałem tak postąpić, niezależnie od własnych chęci.

- Przypuszczam, że chętnie to zrobiłeś.

- Tak. Zabiłem go chętnie. Teraz nie mogę o tym myśleć.

- Czy nie zanadto sobie pobłażasz? Nie jestem psychoanalitykiem, ale wiem, że kierowałeś się innymi pobudkami. Bardziej oczywistymi i mniej zajmującymi.

Ożeniłeś się po południu z dziewczyną potencjalnie bardzo bogatą. W razie śmierci jej ojca, istotnie bardzo bogatą. Nie wmawiaj mi, że nie zdajesz sobie sprawy, iż

230

ty i twoja oblubienica byliście przez ostatnich parę godzin warci pięć milionów dolarów.

- Wiem o tym doskonale - odparł. - Ale nie pięć milionów. Pani Sampson dostaje połowę.

- Zapomniałem o niej. Czemu i jej nie zabiłeś?

- Napadasz na mnie w dość bezwzględny sposób.

- Ty w jeszcze bardziej bezwzględny sposób napadłeś na Sampsona za nędzny milion i ćwierć. Za połowę połowy jego pieniędzy. Czy nie byłeś ostrożnym graczem, Graves? Albo może planowałeś, że później zamordujesz panią Sampson i Mirandę?

- Wiesz, że to nieprawda - odrzekł bezdźwięcznym głosem. - Za co mnie masz?

- Jeszcze nie wiem. Za mężczyznę, który się ożenił i tego samego dnia zabił ojca dziewczyny, żeby z niej zrobić dziedziczkę. Co się stało, Graves? Czy nie chciałeś jej bez milionowego posagu? Myślałem, że jesteś w niej zakochany.

- Odwal się - powiedział z udreką. - Nie mieszaj w to Mirandy.

- Muszę. Gdyby nie Miranda, mielibyśmy jeszcze o czym pogadać.

- Nie. Nie ma już o czym gadać.

Zostawiłem go w samochodzie, ze skamieniałym uśmiechem hazardzisty na ustach.

Przechodząc przez zwirowany podjazd przed domem, byłem zwrócony do niego plecami, a on miał w kieszeni rewolwer, ale nawet się nie obejrzałem. Uwierzyłem w to, co mówił, że mdli go od stosowania przemocy.

W kuchni się paliło, ale nikt nie odpowiedział na moje pukanie. Ruszyłem do windy.

Pani Kromberg była w hallu na górze, kiedy z niej wysiadłem.

- Dokąd pan idzie?

- Muszę zobaczyć się z panią Sampson.

- To niemożliwe. Była dziś strasznie zdenerwowana. Jakąś godzinę temu zażyła trzy pastylki nembutalu.

231

- Chodzi o coś ważnego.

- Bardzo ważnego?

- O wiadomość, na którą czekała.

Błysk zrozumienia pojawił się w jej oczach, ale była za dobrą służącą, żeby mnie wypytywać.

- Zobaczę, czy śpi. - Podeszła do zamkniętych drzwi pokoju pani Sampson i cicho je uchyliła.

Dobiegł zza nich zalekniony szept:

- Kto tam?

- Kromberg. Pan Archer mówi, że musi się z panią zobaczyć. Mówi, że to bardzo ważne.

- Doskonale - powiedziała szeptem. Rozbłysło światło lampy. Pani Kromberg cofnęła się, żeby mnie przepuścić.

Pani Sampson wsparła się na łokciach, mrużąc oczy od blasku. Brązową twarz miała oszołomioną po zażyciu leków i obrzmiała od snu albo nadziei na sen. Okrągłe, ciemne brodawki jej piersi przeświecały spod jedwabnej piżamy jak zmatowiałe oczy.

Zamknąłem za sobą drzwi.

- Mąż pani nie żyje.
 - Nie żyje - powtórzyła.
 - Nie wydaje się pani zdziwiona.
 - A powinnam być zdziwiona? Nie wie pan, jakie miałam sny. To straszne, kiedy nie można uciszyć myśli, kiedy człowiek jest na tyle oszołomiony, że zwidują mu się twarze, ale niezupełnie może zasnąć. Twarze były dziś wieczór tak żywe. Widziałam jego twarz opuchniętą od morskiej wody, grożącą, że mnie pożre.
 - Słyszała pani, co mówiłem? Mąż pani nie żyje. Został zamordowany dwie godziny temu.
 - Słyszałam. Wiedziałam, że go przeżyję..
 - Nie ma to dla pani większego znaczenia?
 - A jakie mieć powinno? - Jej głos, niewyraźny i nieczuły, z sykiem błędził unosząc się na fali w głębokim kanale na pograniczu snu i jawy. - Owdowiałam już wcześniej i wtedy to odczułam. Kiedy zabili Boba,
- 232
- plakałam po całych dniach. Nie zamierzam opłakiwać jego ojca. Chciałam, żeby umarł.
- A zatem pragnienie się spełniło.
 - Nie całkiem. Umarł za wcześnie albo nie dość wcześnie. Wszyscy pomarli za wcześnie. Gdyby Miranda wyszła za tamtego, Ralf zmieniłby testament i wszystko byłoby dla mnie. - Rzuciła mi przebiegłe spojrzenie. - Wiem, co pan musi myśleć. Że jestem złą kobietą, Ale naprawdę nie jestem zła. Mam tak niewiele. Nie widzi pan tego? Muszę się troszczyć o tę odrobinę, którą posiadam.
 - O połowę pięciu milionów dolarów - powiedziałem.
 - Nie chodzi o pieniądze, ale o władzę, jaką dają. Tak bardzo była mi potrzebna. Teraz Miranda odejdzie i zostawi mnie zupełnie samą. Proszę się zbliżyć i usiąść tu na chwilę. Mam takie straszne lęki przed zaśnięciem. Myśli pan, że będę musiała widzieć jego twarz co wieczór przed snem?
 - Nie wiem, proszę pani. - Litowałem się nad nią, ale inne uczucia były silniejsze. Podszedłem do drzwi i zamknąłem je z drugiej strony.

Pani Kromberg wciąż jeszcze była w hallu.

- Słyszałam, jak pan mówił, że pan Sampson nie żyje.

- To prawda. Pani Sampson jest zbyt zamroczona, żeby rozmawiać. Nie wie pani, gdzie jest Miranda?

- Chyba gdzieś na dole.

Znalazłem ją w salonie; obejmując ramionami nogi siedziała na podnóżku przed kominkiem. Lampy były pogaszone i przez wielkie środkowe okno widziałem ciemne morze i srebrzysty horyzont.

Podniosła oczy, kiedy wszedłem do pokoju, ale nie wstała na moje powitanie.

- Czy to pan, panie Archer?

- Tak. Mam pani kilka rzeczy do powiedzenia.

- Znalazł go pan? - Rozżarzone polano na kominku

233

rozjaśniało jej głowę i szyję kapryśnym różowym blaskiem. Oczy miała czarne, szeroko rozwarte i nieruchome. "

- Tak. Nie żyje.

- Wiedziałam, że tak będzie. Od początku już nie żył, prawda?

- Niestety nieprawda.

- Co pan przez to rozumie? Odłożyłem wyjaśnienie na później.

- Odzyskałem pieniądze.

- Pieniądze?

- To. - Cisnąłem jej torbę pod nogi. - Sto tysięcy.

- Nie zależy mi na nich. Gdzie go pan znalazł?

- Niech pani posłucha, Mirando. Jest pani zdana na samą siebie.

- Niezupełnie - odparła. - Dziś po południu wyszłam za Alberta.

- Wiem. Mówił mi o tym. Ale musi się pani wynieść z tego domu i zatroszczyć o siebie. Po pierwsze musi pani schować te pieniądze. Z wielkim trudem je odzyskałem, a ich część może się pani przydać.

- Bardzo mi przykro. Gdzie je umieścić?

- W sejfie w gabinecie, zanim złoży je pani w banku.

- Dobrze.

W przyпіywie stanowczości wstała i poprowadziła mnie do gabinetu. Ręce miała sztywne, ramiona uniesione, jakby opierały się zaciskowi z góry.

Kiedy otwierała sejf, z podjazdu dobiegł warkot odjeżdżającego samochodu.

Obróciła się do mnie z nieporadnością bardziej pociągającą niż wdzięk.

- Kto to był?

- Albert Graves. Przywiózł mnie tutaj.

- Czemu, na litość boską, nie wszedł do środka? Zebrałem resztki odwagi, żeby jej powiedzieć:

- Dziś wieczór zamordował pani ojca.

Nie mogąc złapać tchu poruszała wargami, po czym z wysiłkiem wykrztusiła;

234

- Żartuje pan, prawda? On by nie mógł.

~ Zrobił to. - Uciekłem się do faktów. - Po południu dowiedziałem się, gdzie trzymają pani ojca. Zadzwoiłem do Gravesa z Los Angeles i powiedziałem, że ma jak najszybciej jechać tam z szeryfem. Graves dotarł na miejsce przede mną, bez szeryfa. Ja po przybyciu tam nic nie zauważyłem. Zaparkował wóz tak, że nie było go widać, i siedział cicho w budynku razem z pani ojcem. Wszedłem do środka, a wtedy uderzył mnie od tyłu i straciłem przytomność. Kiedy ją odzyskałem, udawał, że właśnie przed chwilą się zjawił. Ojciec pani nie żył. Ciało było jeszcze ciepłe.

- Nie mogę uwierzyć, że Albert to zrobił.

- A jednak pani wierzy.

- Ma pan dowody?

- Będzie to musiał być dowód rzeczowy. Nie miałem czasu go szukać. Znalezienie dowodu to sprawa policji.

Opadła na skórzany fotel.

- Tyłu ludzi umarło. Ojciec i Alan...

- Obu zabił Graves.

- Alana zabił w pańskiej obronie. Mówił mi pan...

- To nie takie proste - odparłem. - Było to usprawiedliwione zabójstwo, ale i coś

więcej. Nie musiał zabijać Taggerta. Jest dobrym strzelcem. Mógł go tylko zranić. Ale chciał jego śmierci. Miał swoje powody.

- Jakie mianowicie?

- Chyba jeden z nich jest pani znany.

Uniosła twarz do światła. Zdawało mi się, że dokonała wyboru i zdecydowała się na odwagę.

- Tak, jest mi znany. Byłam zakochana w Alanie.

- Ale zamierzała pani wyjść za Gravesa.

- Zdecydowałam się dopiero wczoraj wieczór. Chciałam wyjść za męża, a on wydawał mi się odpowiednim kandydatem. „Lepiej żyć w małżeństwie niż płonąć”.

- Postawił na panią i wygrał. Ale stawiał na coś

235

jeszcze, co nie wypaliło. Wspólniczka Taggerta nie zabiła pani ojca. Więc Graves sam go udusił.

Rozpostartą dłonią przysłoniła sobie oczy i czoło. Niebieskie żyły na jej skroniach były młodzieńcze i delikatne.

- To niewiarygodnie obrzydliwe - powiedziała. - Nie potrafię zrozumieć, jak on to zrobił.

- Zrobił to dla pieniędzy.

- Ale jemu nigdy na nich nie zależało. To między innymi w nim podziwiałam. -

Opuściła rękę i zobaczyłem, że gorzko się uśmiecha. - Niemądrze lokowałam swoje uczucia.

- Może był taki okres, kiedy Gravesowi nie zależało na pieniądzach. Może są takie miejsca, gdzie mógłby pozostać na nie obojętny. Santa. Teresa do nich nie nfe*ma, jesf tylko na pół żywy. Musiała mu doskwierać praca u milionerów, obracanie ich pieniędzmi i fakt, że sam nic nie posiada. Nagle dostrzegł szansę zostania milionerem. Uświadomił sobie, że najbardziej z wszystkiego na świecie pragnie pieniędzy.

- Wie pan, o czym w tej chwili marzę? - zapytała. - Marzę, żeby nie mieć pieniędzy i płci. Jedno i drugie sprawia więcej kłopotu, niż jest dla mnie warte.

- Nie można winić pieniędzy o to, co robią z ludźmi. Zło tkwi w ludziach, a pieniądze są kołkiem, na którym je wieszają. Szaleją na punkcie pieniędzy, kiedy przestają cenić inne wartości.

- Ciekawe, co się stało z Albertem Gravesem.

- Tego nikt nie wie. On sam również nie. Ważne teraz jest to, co się z nim stanie.

- Musi pan zawiadomić policję?

- Zamierzam to zrobić. Będzie mi łatwiej, jeśli pani wyrazi zgodę. A na dalszą metę łatwiej i pani.

- Prosi mnie pan, żebym podzieliła z panem odpowiedzialność, ale w gruncie rzeczy nie obchodzi pana moje zdanie. I tak ich pan zawiadomi. Mimo to przyzna-

236

je pan, że brak mu dowodów. - Niespokojnie poruszyła się w fotelu.

- Nie będzie się wypierał, jeśli zostanie oskarżony. Zna go pani lepiej niż ja.

- Wydawało mi się, że dobrze go znam. Nie jestem już pewna ... niczego.

- Właśnie dlatego powinna pani pozwolić, żebym to zrobił. Pani

musi rozstrzygnąć wątpliwości. aniemożna ich rozstrzygnąć nic nie robiąc. Nie można też żyć dalej z niepewnością.

- Nie jestem przekonana, że muszę żyć dalej.

- Niech się pani nie zgrywa przede mną na romantyczkę - powiedziałem opryskliwie. - Użalanie się nad sobą nie jest wyjściem z sytuacji. Miała pani strasznego pecha z dwoma mężczyznami. Wydaje mi się pani

--A^Af. TMV,,, ł« . "c^- —

już przedtem, że musi pani pokierować własnym życiem. Jest pani zdana na samą siebie.

Nachyliła się ku mnie. Jej piersi zarysowały się wyraźnie, wrażliwe i delikatne. Usta miała łagodne.

- Nie wiem, jak zacząć. Co mam robić?

- Pojechać ze mną.

- Z panem? Chce pan, żebym pojechała z panem?

- Niech pani nie próbuje przerzucać na mnie ciężaru odpowiedzialności, Mirando.

Jest pani śliczną dziewczyną i bardzo mi się pani podoba, ale nie mogę wszystkiego za panią robić. Proszę pojechać ze mną, porozmawiamy z prokuratorem okręgowym. Jemu pozostawimy decyzję.

- Doskonale. Pojedziemy do Humphreysa. Zawsze był bliski Albertowi.

Powiozła mnie krętą drogą na skalisty płaskowyż nad miastem. Kiedy zatrzymała się przed parterowym domem z drzewa sekwojowego, należącym do Humphreysa, na podjeździe stał już inny samochód.

- To wóz Alberta - powiedziała. - Proszę, niech pan sam wejdzie. Nie chcę go widzieć.

237

Zostawiłem ją w samochodzie i wspiałem się po kamiennych stopniach na taras. Humphreys otworzył drzwi, zanim dotknąłem kołatki. Jego twarz bardziej niż kiedykolwiek przywoływała na pamięć kościotrupa.

Wyszedł na taras, zamykając za sobą drzwi.

- Jest tu Graves - oznajmił. - Przyjechał parę minut temu. Powiedział mi, że zamordował Sampsona.

- Co pan zamierza zrobić?

- Wezwałem szeryfa. Jest już w drodze. - Przeczesał rzadniejące włosy palcami. Gesty, podobnie jak głos, miał łagodne i powściągliwe, jakby stracił kontakt z rzeczywistością. - To tragiczne. Wierzyłem, że Albert Graves jest przyzwoitym człowiekiem.

- Zbrodnia często się tak szerzy - stwierdziłem. — Jest zaraźliwa. Widział pan już, jak to się zdarzało.

- Ale nie moim przyjaciółom. - Zamilkła chwilę. - Bert mówił właśnie o Kierkegaardzie. Zacytował coś o niewinności, że przypomina stanie na skraju głębokiej przepaści. Nie można spojrzeć w przepaść nie tracąc niewinności. Kto raz spojrział, już jest winny. Bert powiedział, że spojrział w dół, że był winny, zanim zamordował Sampsona.

- Wciąż jest dla siebie pobłażliwy. On nie patrzył w dół; patrzył w górę. Na domy położone na wzgórzach, gdzie mieszkają bogacze. Postanowił sam być dla odmiany

bogaty, z jedną czwartą majątku Sampsona.

- Nie wiem - odrzekł powoli Humphreys. - Nigdy tak bardzo nie zależało mu na pieniądzach. I nadal chy-' ba mu nie zależy. Ale coś się z nim stało. Nienawidził Sampsona, nienawidziło go jednak mnóstwo ludzi. Każdy pracownik Sampsona musiał się czuć jak lokaj. Ale u Gravesa to tkwiło głębiej. Pracował ciężko przez całe życie i nagle wszystko nabrało goryczy, straciło sens. Nie było już cnoty ani sprawiedliwości, w nim ani na świecie. Dlatego zrezygnował ze stanowiska prokuratora, wie pan.

?38

" - Nie wiedziałem.

- Wreszcie bez namysłu wymierzył światu cios i zabił człowieka.

- Nie bez namysłu. Bardzo sprytnie.

- Całkiem bez namysłu - powiedział Humphreys. -Nie widziałem jeszcze mężczyzny tak nieszczęśliwego jak Bert Graves w tej chwili.

Wróciłem do Mirandy.

- Jest tu Graves. Niezupełnie się pani co do niego myliła. Postanowił zrobić to, co należy.

- Przyznał się?

- Był za uczciwy, żeby dalej blagować. Gdyby nikt go nie podejrzewał, może by to robił. Nie ma ludzi bezwzględnie uczciwych. Ale on wiedział, że ja wiem. Pojechał do Humphreysa i opowiedział całą historię.

- Cieszę się, że to zrobił. - Zaprzeczyło temu po chwili jej łkanie. Wstrząsana głębokim szlochem pochyliła się nad kierownicą.

Przesadziłem ją na moje miejsce i sam zacząłem prowadzić. Kiedy zjeżdżaliśmy z góry, ukazały mi się wszystkie światła miasta. Wydawały mi się nie całkiem realne. Gwiazdy i lampy w oknach domów migotały niby świetliki, były iskrami zimnych ogni zawieszonymi w czarnej próżni. Realnością w moim świecie była siedząca obok dziewczyna, ciepła, rozdygotana i zagubiona.

Mogłem ją objąć i przywłaszczyć sobie. Taka była zagubiona, taka słaba. Ale gdybym to zrobił, znienawidziłaby mnie po tygodniu. Po sześciu miesiącach ja

mógłbym znienawidzić Mirandę. Trzymałem ręce na kierownicy i pozwoliłem jej
kończyć ból. Wypłakała się na moim ramieniu, tak jakby się wypłakała na ramieniu
kogoś innego.

Jej szloch, coraz bardziej jednostajnie rytmiczny, ucichł stopniowo. U stóp wzgórza
minął nas radiowóz szeryfa i skręcił w stronę domu, w którym czekał Graves.